„MINISTRA" DZIEMIANOWICZ-BĄK UDERZA

Leszek Żebrowski staje w obronie Józefa Kurasia i Brygady Świętokrzyskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 10/568 4–10 MARCA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Naczelna Izba Lekarska kontra sumienia lekarzy

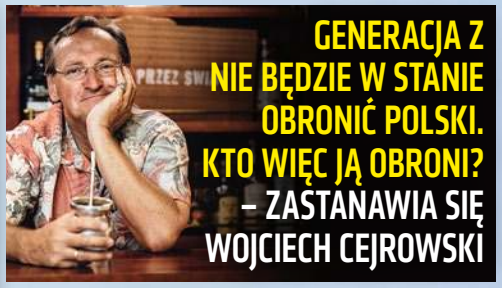

GENERACJA Z NIE BĘDZIE W STANIE OBRONIĆ POLSKI. KTO WIĘC JĄ OBRONI? – ZASTANAWIA SIĘ WOJCIECH CEJROWSKI

Ile szkół w Niemczech jest już w rękach islamistów?

# Koniec epoki Kaczyńskiego?

ANALIZUJĄ: PROF. ANDRZEJ NOWAK, RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ I PIOTR SEMKA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 10 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl a97f843e85

LIDO
JURATA

Jeśli Bałtyk, to Jurata,

jeśli hotel, to Lido!

KUP APARTAMENT NAD MORZEM I ZARABIAJ

Dowiedz się więcej

lidojurata.pl
+48 222 645 279

eprasa.pl a97f8a3e85

W RZECZY SAMEJ

# Problem deficytu wiarygodności

PAWEŁ LISICKI

Większość analityków sądzi, że najbliższe wybory, tak samorządowe, jak do Parlamentu Europejskiego, oraz wreszcie prezydenckie PiS przegra. Różnica dotyczy tylko skali – jedni mówią, że będzie to niewielka porażka, inni przewidują wręcz klęskę.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji pojawiają się różne pomysły na pokonanie kryzysu na prawicy. Nie ma jednej recepty. Są tacy, którzy myślą, że w obecnej sytuacji należy zacieśnić szeregi i przeczekać. Prędzej czy później rządząca koalicja będzie musiała się zmierzyć z realnymi wyzwaniami, miesiąc miodowy się skończy. Zła karta się odwróci. Nie wierzę w taki scenariusz. Bez realnych zmian w samym PiS powrót do władzy wydaje się niemożliwy. Dlatego rację mają ci, sądzę, którzy myślą, że warunkiem odrodzenia musi być dokonanie rachunku sumienia, wskazanie odpowiedzialnych za przegraną i zapewne nowych przywódców. Wydaje się, że w podobnym kierunku szedł prof. Andrzej Nowak, który postawił sprawę jasno: „Najwyższa pora na zmianę lidera".

Rozumiem wątpliwości tych, którzy się boją, że taki rachunek za błędy doprowadzi do ostrych podziałów – jak wiadomo, chętnych do przyznawania się do porażek wielu nie ma, a wśród polityków jest ich jeszcze mniej niż wśród pozostałych ludzi. Ale czy bez tego istnieje wyjście z zapaści? Czy uda się przezwyciężyć największą bolączkę PiS-owskiej opozycji, którą jest, moim zdaniem, ogromny deficyt wiarygodności? Doskonale widać go na kilku przykładach. Po pierwsze, mam na myśli protesty rolnicze ze względu na napływ taniego zboża z Ukrainy, po drugie – kwestię Europejskiego Zielonego Ładu, po trzecie – kwestię upamiętnienia Wołynia. Teoretycznie każda z tych spraw mogłaby zostać przez PiS wykorzystana i mogłaby pozwolić poobijanej oraz pokiereszowanej partii wrócić do gry. Teoretycznie tak, praktycznie – właśnie ze względu na wspomniany deficyt – nie.

Jak bardzo dziś PiS ogłaszałby, że jest po stronie protestujących rolników, nie da się zapomnieć, że to jego rząd w dużym stopniu za nie odpowiada. W czerwcu 2022 r. lider PiS, polemizując akurat wtedy z Donaldem Tuskiem, mówił o problemie napływu ukraińskiego zboża tak: „Ważne, by nasi rolnicy wiedzieli, że to zboże nie jest dla nich żadnym zagrożeniem […]. Moskwa chce wywołać chaos na naszym kontynencie i wprowadzić Europę w potężny, wielowymiarowy kryzys. W tej sprawie nie ma szarości – można być albo po dobrej, albo po złej stronie mocy". Nie ma szarości, są tylko dobro albo zło – to kwintesencja braku roztropności. Kto się nie zgadzał, ten „reprezentował punkt widzenia zbieżny z rosyjską propagandą".

Takich cytatów z okresu zachłyśnięcia się ideą pomocy Ukrainie za wszelką cenę można znaleźć więcej. Prezes nie był odosobniony. To samo w 2022 r., kiedy to ważyła się kwestia embarga, mówił premier Mateusz Morawiecki. Twierdził, że Polska została poproszona o „pomoc w wywozie towarów, głównie zboża z Ukrainy". Dodawał, że otrzymaliśmy na to środki z UE. I ogłaszał, że Polska będzie dla Ukrainy hubem gospodarczym.

Po lutym 2022 r. polski rząd patrzył na wojnę wyłącznie z perspektywy potrzeb Ukrainy, a nie interesów polskich rolników. Każda wątpliwość traktowana była jako niemal zdrada interesów państwa. Wodzowski system zarządzania partią plus manichejska zasada „żadnych szarości" sprawiły, że realna dyskusja nie była możliwa.

Tak samo było w przypadku Europejskiego Zielonego Ładu. O ile teraz prezes PiS twierdzi, że Zielony Ład zdusi polską gospodarkę, o tyle wcześniej mówił coś całkiem przeciwnego. W maju 2021 r. stwierdzał: „Odrzucenie Zielonego Ładu oznaczałoby ustawienie się na marginesie i innego rodzaju kłopoty. To plan, w którym warto uczestniczyć nawet za pewną cenę". W ten sposób wyraził poparcie dla decyzji premiera, który się pod Zielonym Ładem podpisał. Nie chodzi, w obu tych wypadkach, o brak informacji, których nie można było mieć, lub o nowe, nieoczekiwane okoliczności, których nie można było wziąć pod uwagę. Chodzi o – trudno to nazwać inaczej – zawinioną i uporczywą niewiedzę.

Trzeci przykład to relacje polsko-ukraińskie odnośnie do historii i pamięci. Żeby nie narazić dobrych relacji z Kijowem na szwank, polski rząd nie podnosił problemu kultu banderowskich zbrodniarzy na Ukrainie oraz zrezygnował z postulatów ponownego pochówku ofiar rzezi wołyńskiej i ich godnego upamiętnienia.

Jak teraz politycy PiS mogą w wiarygodny sposób krytykować tchórzliwe i kapitulanckie wypowiedzi polityków PO? Jak mają wspierać rolników, gdy w odpowiednim czasie zlekceważyli przestrogi? I jak mają być twarzą oporu wobec Zielonego Ładu i centralistycznej polityki Unii, skoro się pod nią podpisali? Bez odpowiedzi na te pytania w żadne odrodzenie nie wierzę. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

## TEMAT TYGODNIA


**14** ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
**POTRZEBA WSTRZĄSU**
Jaka będzie przyszłość prawicy?

**18** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**Z KACZYŃSKIM ŹLE, BEZ NIEGO NIE LEPIEJ**

**21** PIOTR SEMKA
**KACZYŃSKI ALBO ROZPAD. ZMIANY ALBO UWIĄD**


## KRAJ


**24** JERZY KARWELIS
**TUSK ŁAMIE NIEPISANE ZASADY III RP**
Koniec wojny polsko-polskiej?

**26** ŁUKASZ ZBORALSKI
**DESUWIZACJA MOTORYZACJI?**

**28** ZUZANNA DĄBROWSKA
**DWOJE BEZ DZIECI**


## KULTURA


**30** PIOTR GOCIEK
**DOBRA ROBOTA**
Kapitalizm na ekranie

**33** WIESŁAW CHEŁMINIAK
**POWRÓT DO EDENU**


## NIE PRZEGAP


**36** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA**


## OPINIE


**42** ŁUKASZ WARZECHA
**ODZIERANIE Z PRYWATNOŚCI**
Władza nas podgląda

**46** WOJCIECH GOLONKA
**ŚMIERTELNE PANACEUM**

**48** BOGDAN CHAZAN
**NOWELIZACJA CZY LIBERALIZACJA?**

**50** PAWEŁ CHMIELEWSKI
**KATOLICKO-ANGLIKAŃSKA UNIA REWOLUCJI**


## HISTORIA


**52** LESZEK ŻEBROWSKI
**ZAKAZ UPAMIĘTNIANIA „OGNIA"**
Czyja władza, tego historia

**55** ROZMOWA Z MIROSŁAWEM OLSZYCKIM OLSENSIS
**TROPEM „ANIOŁA ŚMIERCI"**


## ŚWIAT


**58** ROZMOWA Z FABRICE'EM LEGGERIM
**CHCĘ POWSTRZYMAĆ SZKODLIWĄ AKTYWNOŚĆ KOMISJI EUROPEJSKIEJ W SPRAWIE MIGRACJI**
Były dyrektor agencji Frontex: Pushbacki to szkodliwa propaganda

**61** JAN BOGATKO
**ILE SZKÓŁ W NIEMCZECH JEST JUŻ W RĘKACH ISLAMISTÓW?**

**64** PIOTR WŁOCZYK
**FENTANYLOWA ŚMIERĆ**


## EKONOMIA


**68** ROZMOWA Z ARTUREM SZCZEPKIEM
**ZMIERZAMY W KIERUNKU PRZEPAŚCI**
Dyrektor gabinetu w Biurze Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców o niebezpieczeństwach ESG

**72** JACEK PRZYBYLSKI
**GORĄCZKA ZŁOTA**


## FELIETONY:


SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (45), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl a97f8a3e85

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Domiński/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

**Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW**

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki**, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
**Joanna Gosek, Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
**Kolporter sp. z o.o.** (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
**Garmond**: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
**GLM sp. z o.o.** tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy**

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

**Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.**
**© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin**

## *Drodzy Czytelnicy!*

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## *À propos poprawności politycznej*

*Szanowna Redakcjo,*
*od dłuższego czasu z zapartym tchem śledzę postęp regresu na Starym Kontynencie i w Nowym Świecie i... zaraz, zaraz. Czy można jeszcze bezkarnie używać „stary", „nowy"? Z pewnością któreś pojęcie jest niewłaściwe, a zatem na wszelki wypadek postaram się zredukować epitety do niezbędnego minimum.*

*Skoro o kontynentach mowa. Dziwię się bardzo, że empatyczni i wrażliwi szermierze walki o sprawiedliwość pomijają kwestię, wydawałoby się, zasadniczą. Przecież tak naprawdę żaden z kontynentów nie powinien nosić nazwy nadanej im przez kolonizatorów. Może tylko Europa nosi względnie usprawiedliwione miano, chociaż nie wiadomo, do czego mogą doprowadzić nowoczesne odkrycia. A jak wiadomo, pomysłowość jest ogromna.*

*Lecz obie Ameryki, Antarktyda, Afryka, Australia... Przecież wyłącznie rdzenni mieszkańcy powinni je sobie nazwać wedle uznania. Zamiast Australia, powiedzmy, Aborygenia itd. Należałoby również zmienić nazwy państw i miast. Czy taka Kolumbia na pewno nosi nazwę, której pragnąłby dla swojego terytorium lud Kogi? A Argentyna? Przecież sama jej nazwa jest dowodem na eksploatację złóż srebra przez białych barbarzyńców. Przykłady można mnożyć i pole do popisu jest olbrzymie. Należy wziąć się czym prędzej do roboty. Polska może stać się pionierem w tej dziedzinie, inicjując dyskusję w Parlamencie Europejskim, a najlepiej powołując specjalną komisję do badania niewłaściwego nazewnictwa geograficznego.*

***Z poważaniem***
***Ewa Kowynia***

## *„Czy wybuchnie wojna rosyjsko-polska", Lech Mażewski, „DRz" nr 5/2024*

*[...] mam uwagę do łacińskiej sentencji sparafrazowanej przez Autora na stronie 51. Brzmi ona: „Bartosiak locuta, causa finita". Oryginalna sentencja to: „Roma locuta, causa finita". Trzeba jednak wiedzieć, że „Roma" to rzeczownik rodzaju żeńskiego, i dlatego jest „locuta", natomiast Bartosiak jest rodzaju męskiego i powinno być „Bartosiak locutus (est)". Chodzi o imiesłów „locutus-locuta-locutum" od czasownika „loquor". Nie umniejsza to jednak w niczym wartości artykułu.*

***Serdecznie pozdrawiam***
***Przemysław Czekała***

## *Od autora*

*Ma Pan, oczywiście, rację, ale żeby nie komplikować, pozostawiłem brzmienie łacińskiej sentencji bez zmian, być może popełniłem błąd.*

***Lech Mażewski***

## *Wyjaśnienie*

*W tekście o Benedykcie Dybowskim chodziło oczywiście o powstanie styczniowe. Za niedopatrzenie bardzo przepraszam Czytelników i Redakcję.*

***Jacek Pałkiewicz***

## *Wyjaśnienie*

*W moim artykule „Polski chłop jako menel i morderca Żydów", opublikowanym w „DRz" nr 8/2024 na s. 54, wkradła się omyłka pisarska. Powinno być: „od ok. 30 do liczby ok. 50 ofiar". Za błąd przepraszam.*

***Piotr Gontarczyk***



eprasa.pl a97f8a3e85

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Rolnicy na liście podejrzanych

PIOTR SEMKA

Obóz postępu zawsze był podejrzliwy wobec chłopów. Już Karol Marks wskazywał na „idiotyzm życia wiejskiego". Dziś te uprzedzenia wracają w najmniej oczekiwanej formie. Oto spektakularne protesty chłopskie postawiły na baczność całą kastę zwolenników nowej koalicji, która podejrzewa, że mieszkańcy wsi to posłuszna armia, którą przeciwko rządzącym wysyła czy to Putin, czy to demoniczny Jarosław Kaczyński. Co do władcy Kremla, to żelaznym dowodem na tajne powiązania jest rolnik, który przymocował do traktora proputinowski szyld, za co zresztą ma odpowiadać prawnie. A co do zarzutów o tajne wpływy Jarkacza? Przecież wielu rolników ma pretensje o brak sprzeciwu wobec wprowadzenia Zielonego Ładu. Na protestach chłopskich politycy PiS nie zawsze są witani z otwartymi ramionami.

No ale od czego jest odpowiednie zmajstrowanie tytułów? Oto na portalu Onet czytamy: „Protest rolników jest na rękę PiS. Jarosław Kaczyński wydał jedno polecenie". Gdy wczytać się w tekst notatki Andrzeja Gajcego, można tam znaleźć tylko informacje, że lider PiS nakazał swoim politykom podłączać się pod wszelkie akcje rolników.

Armia zwolenników elit nowej koalicji operuje także setkami kpinek, żarcików czy demonstracji swojej niechęci, ubranej w pseudointelektualny sztafaż. Jak zwykle najbardziej prostolinijna jest Magdalena Środa, która ogłosiła: „Zero solidarności z rolnikami. To bogata i bardzo roszczeniowa klasa społeczna". Stwierdziła, że protestujący „mają bliskie kontakty z faszystami". I dalej: „Mają ogromne dopłaty z Unii, ale gardzą nią, nie płacą podatków, ale gardzą rządem, nie pamiętają, kto zaniedbał ich interesy (PiS), ale walą w KO". Pani Magdalena próbuje wyśmiać postulaty rolników, posuwając się do wręcz czystej demagogii. „Domagają się absurdalnych gwarancji sprzedaży własnych produktów – można iść w ich ślady i domagać się od rządu zakupienia wszelkich produktów intelektualnych, muzycznych i artystycznych". W ślad za panią Magdaleną suną pomniejsi miłośnicy podkreślania swojej elitarności.

Zwróćmy uwagę też na inne zjawisko: zupełnie bezkrytyczny wybuch fascynacji chłopskimi protestami po prawej stronie. Chłopskie marsze gwiaździste na Warszawę to największy problem, przed którym staje koalicja 13 grudnia. Konserwatyści patrzą na protesty rolnicze w całej Unii nieco tak, jak w epoce PRL na rewolty stoczniowców na Wybrzeżu patrzyli ludzie mający dość komuny. Tyle że ruch ten skupia bardzo różnych protestujących, z bardzo różnymi postulatami. Niektóre są słuszną reakcją na ekologiczne szaleństwa UE, ale ze spełnieniem niektórych postulatów problem miałby każdy rząd, nie tylko ekipa Tuska.

Na dodatek dopiero wyłania się jakaś struktura liderów tego nowego ruchu i dopiero po takim wykreowaniu się przywódców będzie można ocenić ten fenomen. Faktem jest, że na polskiej scenie politycznej pojawiła się nowa siła. I nie bardzo jeszcze wiadomo, jaki kształt przyjmie i w którym kierunku pójdzie. Jedni traktują już rolników jako „warchołów", a inni widzą w nich zbawców ojczyzny. ©℗

FOT. BIURO PRASOWE KEP

## XX GALA NAGRODY IM. KS. BP. ROMANA ANDRZEJEWSKIEGO

Zespół Szkół nr 3 im. Stanisława Staszica we Włoszczowie to tegoroczny laureat wręczonej w ubiegły czwartek Nagrody im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego. Jubileuszowa XX Gala wręczenia tego wyróżnienia, przyznawanego przez Fundację „Solidarna Wieś", odbyła się w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski w Warszawie. Patronem medialnym wydarzenia jest tygodnik „Do Rzeczy". ***(jap)*** ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Mamy złą wiadomość w sprawie nowej wielkiej telewizji PiS. Ostatecznie nie będzie ani nowa, ani wielka. Inwestor zagraniczny wszystko sobie policzył i wyszło mu, że się to jednak biznesowo nie zepnie. A jaki inwestor? – zapytacie. Nie możemy powiedzieć, ale mamy nadzieję, że jeszcze kiedyś wróci nad Wisłę. Gdyż – jak mówi jedno z przysłów w kraju inwestora – „obok wielkiej bramy zawsze jest mała furtka". A poza tym Polak i inwestor dwa bratanki.

Tymczasem wielki kongres sił patriotycznych – który miał być w styczniu, a potem 25 lutego, a potem w marcu – został przełożony na później, a dokładnie na czas między wyborami samorządowymi a europejskimi. Taka jest wersja oficjalna. My nieoficjalnie ukuliśmy taki żarcik: „Dlaczego nie będzie kongresu sił patriotycznych? Może dlatego, że nie ma w Polsce sił patriotycznych".

Człowiek uczy się całe życie. Na przykład my nauczyliśmy się ostatnio czegoś o byłym premierze Mateuszu. Gorąco zwalcza Zielony Ład, którego wprowadzenie firmował. I zapałał miłością do powrotu do tzw. kompromisu aborcyjnego, odkąd różni goście mówią, że jego zmiana kosztowała PiS przegrane wybory. To, czego się nauczyliśmy, ujęliśmy w zgrabnym aforyzmie: „Miał być Mateusz Morawiecki-Kaczor, wyszedł Mateusz Morawiecki-Kamysz".

Tymczasem w Eine Totalkoalition. Radek Sikorski to ludzki pan. Miał zwalniać – nie zwalnia. Starzy wyjadacze z MSZ pamiętający poprzednie rządy Radka mówią: „Nie ten sam człowiek!". I nawet wiemy, dlaczego. Niby na przeszkodzie rzezi ambasadorów stoi prezydent Andrzej Sebastian, ale pojawiło się inne wytłumaczenie. Radek niebawem może opuścić resort, więc nie dorzyna watahy, bo będzie potrzebował przynajmniej neutralności frakcji konserwatywnych w europarlamencie podczas starań o funkcję komisarza do spraw obrony. Choć i są tacy, którzy uważają, że woli się starać o szefostwo NATO.

Pewne cięcia jednak będą, ale w uzgodnieniu z Andrzejem Sebastianem, a nie wbrew niemu. Z Rzymu zjedzie Anna Maria Anders. Jednak nie jest to przedwczesny zjazd: była na placówce od ponad czterech lat, a to zwyczajowa kadencja. Ciekawsze jest to, kto ją zastąpi, bo ma to być Ryszard Schnepf, niegdyś ambasador w USA i Hiszpanii. Nas to bawi, bo niedawno pomstował, że PiS na placówki wysyła ludzi nieznających języka kraju urzędowania. Tymczasem wielu słyszało, jak Schnepf peroruje po angielsku lub hiszpańsku, ale nikt nigdy nie słyszał go mówiącego po włosku.

Zmiana szykuje się też w Berlinie. Tamtejszy ambasador Pawłoś nie jest przedatowany, bo urzęduje ledwie rok z okładem. I choć ma wsparcie tak potężnych osób jak Witold Jurasz, to Pałac Prezydencki nie będzie za niego umierał. Podobnie inni dawniejsi protektorzy, których zniesmaczył lataniem z puszką od Owsiaka, by podlizać się nowej władzy. Radek zaś nad Szprewę wysłać chce swoją wice, której nazwisko większości z państwa nic nie powie, bo i my je usłyszeliśmy po raz pierwszy w minionym tygodniu: Henryka Mościcka-Dendys.

Wracając do europarlamentu. Rychu Richard Henry Czarnecki znalazł się w pierwszej setce rankingu najbardziej wpływowych europosłów (miejsce 46). Mamy nadzieję, że otrzyma jakąś statuetkę albo choć plakietkę. Ponadto miło widzieć, że wyprzedził wszystkie te Belki, Millery, Cimoszewicze i inne Kopacz. Swoją drogą, nam imponuje całkiem inne osiągniecie Rycha – w gazecie „Prawda jest ciekawa" (założonej przez śp. Kornela Morawieckiego) prowadzi stałą rubrykę zatytułowaną „Rysie oko". Tego by najstarsze rysie nie wymyśliły.

Narodowy Instytut Wolności to instytucja wspomagająca tzw. trzeci sektor rozmaitymi grantami. Na jej czele stoi Wojciech Kaczmarczyk, bezpartyjny fachowiec niezbyt lubiany przez PiS, gdyż nosi kolorowe skarpetki. Nowy reżim uważa go z kolei za PiS-owca, więc jego dni są policzone. NIW miał przypaść człowiekowi Hołowni. Nie przypadnie, bo Tusk zapowiedział odpartyjnienie instytucji. Szefem zostanie więc Michał Braun. Mniejsza, że radny PeŁo. Ważniejsze, że – jak wieść gminna niesie – jest z tych właśnie Braunów. Co oczywiście nic nie znaczy, bo ród ten jest równie politycznie skłócony wewnątrz, co Kurscy.

Na placu Na Rozdrożu jednak powstanie pomnik Bitwy Warszawskiej. Co ciekawe, za budowę ma odpowiadać Instytut Adama Mickiewicza. Nie bardzo wiadomo, co ma wieszcz do Bitwy Warszawskiej. Niemniej cieszymy się, że victoria warszawska znajdzie godne upamiętnienie.

Z cyklu „oj, nie doczekał się". Wicerzeźnik praw obywatelskich, a prywatnie konkubent Roberta Biedronia, czyli Krzysztof Śmieszek, miał lecieć służbowo do Hameryki. Zarezerwowano mu business class w dreamlinerze i wypasiony hotel w Niujorku. Koszt delegacji: 50 tys. I co? I nic. Podróż zablokowała KPRM, uznając, że delegacja jest niepotrzebna. I to się nazywa oszczędne państwo, bo nie śmiemy podejrzewać, że mógłby to być przejaw homofobii. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Hamulcowy

Kluczowy dziś wybór: albo podejmujemy wysiłek, by Polska była państwem silnym i ważnym – do czego wiodą osiągnięcia 30 lat nieprzerwanego rozwoju i pozycja, według rankingu Davos, 21. gospodarki świata – albo też chcemy nadal dziadować na peryferiach jako podwykonawca i eurokmiotek, szczęśliwy, że ma promocje w supermarketach i może zarobić u Niemca na spłatę kredytów, a nawet na wakacje w Egipcie (do czego z kolei wiedzie nas kultywowany przez lata zaborów, okupacji i PRL pańszczyźniany mental, wzmocniony „pedagogiką wstydu" michnikowszczyzny). Ponieważ państwem silnym stać się możemy tylko ze szkodą dla potęgi Niemiec, i tak już mocno zachwianej przez ich ideologiczne szaleństwa, strategiczny wybór Tuska i jego ekipy jest oczywisty. Ponieważ jednak przeciętny Polak, choć zakompleksiony i pańszczyźniany, nie chce słyszeć prawdy o sobie wprost, Tusk nie może swej strategii realizować otwarcie.

Symbolem tego wszystkiego jest taktyka wobec CPK. Ponieważ ta budowa cieszy się poparciem Polaków, Tusk rakiem wycofał się z otwartego jej wyśmiewania i dyskredytowania jako „pisowskiej gigantomanii" i obiecał, że, oczywiście, zbuduje. Ale budowę powierzył otwartym wrogom projektu, na czele z Maciejem Laskiem, by ten budował CPK, tak jak (kto jeszcze pamięta?) za poprzednich rządów Tuska budował elektrownie atomowe Aleksander Grad. Lasek zaczął od ogłoszenia, że wszystko trzeba wstrzymać do czasu „audytu". W ubiegłym tygodniu w końcu audytora znalazł i wybuchł skandal nawet w mediach protuskowych, bo okazało się, że celowość i przygotowania inwestycji za 150 mld ma ocenić konsorcjum trzech firm razem mających kilka milionów kapitału i 20 pracowników, bez żadnego doświadczenia w dużych projektach, za to z prezesem, który, podobnie jak sam Lasek, już dawno ogłosił, że CPK jest zbędny, skoro powstaje lotnisko pod Berlinem.

Pan Lasek bynajmniej nie zmartwił się krytyką: umorzył wybór i go powtórzy. Czas mija. I o to chodzi. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

# Skutki skuteczności

Mamy nową ponadczasową bohaterkę, prawdziwą Arkę Przymierza między starymi, nowymi i najnowszymi czasami. Posłanka dublerka Monika Pawłowska to ucieleśnienie niegasnącego przekonania, że Nieobecni Nie Mają Racji. Idei ożywiającej kariery w najróżniejszych epokach; łączącej PRL (bo tam idea ta zyskała największą popularność) z Polską dobrej zmiany i zmiany jeszcze lepszej. Idei jednoczącej w tajemniczym duchowym przymierzu tych, którzy chcą „być w polityce" – od SLD przez PiS do Trzeciej – i pewnie każdej kolejnej – Drogi. Ileż hartu ducha trzeba, by w tak zmiennych okolicznościach historii pokusie Nieobecności nie ulec i dalej iść naprzód! A posłanka dublerka dała radę i wszystkie przeszkody pokonała!

Jarosław Kaczyński wielokroć pokazał, jak obalać liderów i rozbijać partie. Każde porozumienie traktował jako ograniczenie własnej nieokiełznanej wolności i każde potrafił zerwać. Łamał przymierze z Prawicą Rzeczypospolitej (bo „warunki się zmieniły", bo Jacek Kurski przestał już wysyłać go na emeryturę, a Jarosław Gowin wystąpił już z PO), by potem rozbić z kolei partię Gowina (bo wprawdzie Gowin jako dysydent z PO w roku 2015 pociągnął za sobą część liberalnych wyborców, ale przez następne lata PiS sobie znalazł 3 mln nowych, więc Gowin przestał już być potrzebny).
I nagle w Prawie i Sprawiedliwości – niczym Judyta w namiocie Holofernesa – pojawiła się posłanka (jeszcze nie dublerka) Pawłowska. Miała być dowodem, że PiS jest naprawdę „partią wszystkich", że – w respekcie dla „światopoglądowych wyborów subiektywnego sumienia" – zmieszczą się w nim nawet aborcjoniści, co przecież nie naruszy tożsamości partii, bo i tak „większość z nas to katolicy".

Z tej smutnej historii płynie nie tyle morał, ile nauka. Tak bowiem wyglądają prawdziwe skutki „skuteczności" i nie są to zapewne jej skutki ostatnie. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# Przepraszam, czy tu biją?

We Włoszech siły postępu wyszły na ulice z hasłami „Wolna Palestyna" i „Stop ludobójstwu". Naturalnie nie chodziło o atak Hamasu na Izrael z 7 października.

Demonstranci w Pizie, głównie młodzież i zadymiarze, doszli do wniosku, że najlepiej te cele osiągnąć, atakując policję. Zboczyli nieco z trasy pochodu i natarli na kordon. Bilans: dwóch policjantów w szpitalu i pięcioro poobijanych demonstrantów, w tym dwóch uczniów szkolnych.

Kontrszarża policji była bezwzględna i brutalna. Telewizje pokazały naprawdę wstrząsające filmiki z pałowania młodzieży. Dla jasności przekazu wycięto z nich to, co się działo kilkadziesiąt sekund wcześniej, gdy przyszłość narodu lżyła i atakowała policjantów. Prezydent Mattarella potępił policję za nieproporcjonalną reakcję i trudno mu odmówić racji. MSW wdrożyło śledztwo.

Zawrzało w mediach i szeregach opozycji. Nieustraszeni łowcy faszystów przez kilka dni nie wychodzili ze studiów telewizyjnych. Wyszło na to, na co miało wyjść: faszystowski reżim premier Meloni pałuje swoich przeciwników jak za Mussoliniego. Szukający zaczepki z policją młodzi ludzie trafili na ołtarze lewicowej wiary jako obrońcy demokracji w kraju i pokoju za granicą.

Profesorek socjolog, ideologicznie na lewo od Trockiego, zdiagnozował w telewizji, że do policji, gdzie się zarabia grosze, idą wyłącznie głąby. Gdy widzą naprzeciw inteligentną, protestującą młodzież z dobrych domów, odreagowują kompleksy i pałują bez opamiętania, za to z przyjemnością. Obecny w studiu policjant próbował protestować, ale usłyszał, że jako człowiek bez wyższego wykształcenia nie ma prawa polemizować z profesorem uniwersytetu, autorem wielu książek.

Tak właśnie przedstawia się stan umysłów dzisiejszej włoskiej lewicy: megalomania skrzyżowana z pogardą. Gubernator Kampanii Vincenzo De Luca dzień przed wydarzeniami w Pizie nazwał premier Meloni dziwką i szmaciarą. Zareagował prezydent Mattarella, ale postępowe media uznały, że trzeba to pominąć milczeniem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl a97f8a3e85

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

# JEST SUPER, JEST SUPER

Neo-TVP radzi sobie, jak sobie radzi. Mniejsza o serwisy informacyjne, bo paleo-TVP nie była w tym temacie żadnym wzorem. Ale żeby w tak ekspresowym tempie rozwalić śniadaniówkę? Okazuje się, że poranny program „Pytanie na śniadanie" w porównaniu z pierwszymi miesiącami poprzedniego roku stracił prawie 25 proc. widowni. Wyniki zmalały również względem tygodni poprzedzających wymianę kadrową. Poproszona o komentarz nowa szefowa programu, Kinga Dobrzyńska, bagatelizuje problem. – 21 lutego „Pytanie na śniadanie" miało 10,1 proc. udziału w rynku w porównaniu z 5,7 proc. „Dzień dobry TVN". 22 lutego nasz wynik wynosił 9,9 proc. W przypadku programu TVN było to 5,6 proc. Ja nie będę porównywała naszych wyników oglądalności do „Pytania na śniadanie" sprzed roku. To, co się dzieje teraz w mediach publicznych, to jest zupełnie inna sytuacja. Jeżeli mogę do czegoś porównać nasze wyniki, to wyłącznie z „Dzień dobry TVN". Tu i teraz – skomentowała. Dobrzyńska nie martwi się, że być może widzom nie podobają się nowi gospodarze śniadaniówki. – Nie będę przyrównywała oglądalności z grudnia do tego, co dzieje się w lutym. Oczywiście, że publiczność musi się przekonać i poznać nowych prowadzących. To jest normalny proces [...]. Gdy kupujemy nowe buty, stopa musi się do nich przyzwyczaić – stwierdziła. Nie ma planów, aby zweryfikować decyzje personalne i przywrócić poprzednich prowadzących, bo ci obecni (według pani Kingi, nie widzów) są najlepsi i fantastyczni. – Jestem zachwycona ich profesjonalizmem, poczuciem humoru, merytorycznym podejściem do tematów. Ja ich kocham i uwielbiam. Jesteśmy jak jedna rodzina. Nasi goście po wizycie na planie nieraz już komentowali, że było zabawnie, sympatycznie i profesjonalnie – zapewnia szefowa „PnŚ". Jest super, jest super, więc o co ci chodzi?

FOT. TVP

# ŚRODA WAM WYJAŚNI

W całej Europie trwają masowe protesty rolników. Podobnie w Polsce, choć u nas obok postulatów związanych z unijnym Zielonym Ładem na sztandarach pojawiają się też hasła dotyczące zablokowania napływu produktów z Ukrainy. Tymczasem Magdalena Środa postanowiła, na przekór faktom i zdrowemu rozsądkowi, udowodnić, że rolnicy to łasi na kasę egoiści. „Zero solidarności z rolnikami. To bogata i bardzo roszczeniowa klasa społeczna. Mają ogromne dopłaty z Unii, ale gardzą nią, nie płacą podatków, ale gardzą rządem, nie pamiętają, kto zaniedbał ich interesy (PiS), ale walą w KO; nie mają żadnej wrażliwości na to, co dzieje się w Ukrainie: przedkładają swój interes ekonomiczny nad sprawy życia i śmierci naszych sąsiadów; współdziałają ramię w ramię z konfederatami i myśliwymi (trudno powiedzieć, co gorsze), są przeciwko wszelkim prawom, które humanizują stosunek do zwierząt, przeciw zielonej Europie (w ogólności ekologię mają w d....). Domagają się absurdalnych gwarancji sprzedaży własnych produktów (można iść w ich ślady i domagać się od rządu zakupienia wszelkich produktów intelektualnych, muzycznych, artystycznych etc.), no i co najważniejsze: są (świadomie lub nie) manipulowani przez Rosję" – taki wpis opublikowała na Facebooku. Nic zaskakującego, że na Środę posypały się gromy. Wyciągnęła wnioski, złagodziła ton? A skąd! Idzie jeszcze mocniej. „Mój wpis dotyczący braku akceptacji dla formy rolniczych strajków wywołał u niektórych chęć zlinczowania mnie. Trochę mnie to dziwi i bardzo zasmuca. Mój brak akceptacji odnosi się do formy strajków, zapewne uciążliwej i przykrej dla wielu rolników: palenie ukraińskich flag, namawianie Putina, by położył kres Brukseli" – wylicza Środa. Im dalej w las, tym gorzej. Feministka stwierdza bowiem, że rolnicy mają... „bliskie kontakty z faszystami". Magdalenie Środzie nie podobają się też „marnowanie żywności przez wyrzucanie jej na tory, nienawiść i podatność na manipulacje – nie sprzyjają pozytywnemu obrazowi słusznych skądinąd roszczeń rolników". „Strajkować można na różne sposoby, najskuteczniejszy opór przeciwko władzy to ten – jak wskazuje historia – który oparty jest na działaniu bez przemocy. Lepiej jest kultywować tradycje Witosa niż Szeli..." – poucza ety(cz)k(a) z Uniwersytetu Warszawskiego. Studentom pani profesor pozostaje tylko współczuć.

# ZBYT PIĘKNA

Niejaka Laluna Unique, patocelebrytka znana przede wszystkim z gal okładania się po twarzach, relacjonowała niedawno kolejną wyprawę do Turcji. Nie, nie na wakacje, ale na zabieg „upiększający". Ponad rok temu Laluna zafundowała sobie nowy uśmiech. Sęk w tym, że nowe zęby... nie pasowały do starych. „Rozwiązanie jest tylko jedno – nowe usta. Wszystko ładnie, tylko że wydaje mi się, że do tych zębów mam za duże usta. Już terroryzuję lekarzy w Istambule. Jutro lecę robić lip lifta, żeby mi wywinęli" – relacjonowała na Instagramie. Okazało się, że doktor odmówił wykonania operacji. „No to się zoperowałam. Doktor nie zrobi mi tego. Powiedział, że mam przepiękne usta i nie ma zamiaru ich ruszać, i będę gorzej wyglądała, jak to zrobię. Dziękuję. Do widzenia" – przekazała. Nie-do-zobaczenia. Oby. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, strasznie nam utrudniają życie w wielkim ośrodku te protesty rolników. Nie po to zamieszkaliśmy w Krakowie, iżby teraz pod oknami jeździły nam traktory, muczały osobokrowy, chłopi pojedynkowali się na widły, a z głośników leciał Zenek Martyniuk.

W dodatku przez te protesty nie zdołaliśmy zrealizować naszego porannego rytuału, a więc najpierw spaceru do kraftowej piekarni po wypieki pełnoziarniste, potem na ekologiczny bazarek, gdzie zazwyczaj kupujemy pasternak, rzepę, jarmuż i niedobór żelaza, a także mleko bez laktozy, bez tłuszczu i bez białka.

Niestety, natrafiliśmy na barykadę złożoną z ciągników, jakichś dziwnych urządzeń, których nazw nie znamy i w sumie nie chcemy znać, ale wyglądających, jakby robiły okropną krzywdę osobomatce Ziemi, a na jej szczycie siedziała osobokura.

I tak sobie pomyśleliśmy, iż mamy gdzieś te całe protesty rolników, iż przecież wszystko, czego potrzebujemy do życia, możemy nabyć w mieście: pieczywo, warzywa, napoje, owoce. Po co nam więc wieś, skoro miasto jest samowystarczalne, a lokalna balkonowa hodowla kiełków sushi zaspokaja wszystkie nasze potrzeby?

Niech więc rolnicy jadą sobie tymi smrodzącymi dieslowskimi ciągnikami do siebie na wieś i tam się okładają kłonicami i piją samogon – czy jakie tam mają inne zwyczaje realizowane w wolnym czasie. My w wielkich ośrodkach nie chcemy oglądać takich scen – nie tylko dlatego, iż mamy problemy z zaopatrzeniem się w żywność, lecz także dlatego, iż przez spowodowane przez rolników korki spóźniamy się do korpo, gdzie mamy bardzo krótkie deadline'y, wszystko się odbywa na asapie, ale przynajmniej produkujemy jakąś realną wartość i płacimy podatki, z których potem idą dotacje na całą tę wieś.

No i kto tu kogo w końcu utrzymuje i żywi, co?

Wogóle te rolnicze protesty to są jakieś takie, sami nie wiemy, mało estetyczne. My jesteśmy przyzwyczajeni albo do kolorowych i pozytywnych manifestacji, jak marsze równości, albo do kreatywnych i postępowych protestów, jak np. czarne marsze, gdzie bawiliśmy się nie tylko formą, lecz także treścią.

A tu co? Czy wpadł nam w ucho chociaż jeden slogan? Oni w ogóle coś skandują? W sumie tego nie wiemy i się nie dowiemy, iż te klekoczące silniki traktorów wszystko zagłuszają. A i sami rolnicy nie wydają się szczególnie przyjaźni i uśmiechnięci.

Przydałoby się na te protesty wysłać jakieś brygady lewicowych aktywistów, żeby ogarnęli to towarzystwo, podszkolili w hasłach, wprowadzili jakieś ciekawe outfity, może jakieś formy tańca w proteście – to teraz modne, zwraca uwagę na problemy i wszyscy o tym mówią.

No, dałoby się to jakoś ogarnąć, ale trzeba chcieć o tę pomoc poprosić. Trochę więcej flexu i odbiór społeczny byłby zupełnie inny, nawet my byśmy spojrzeli bardziej przychylnym okiem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

## PODSŁUCHANE

# Dwa kije i tyle

**Donald, zobacz, jak ci rolnicy u mnie byli, to mi dali takie coś w prezencie. Ty myślisz, że co to jest?**

Coś mi chodzi po głowie, ale nie mogę skojarzyć. Ale to chyba nie jest nic nowoczesnego. Jakieś dwa kije i tyle. Ale zobacz, Szymon, ja taki model dostałem, jak u mnie byli. To kombajn chyba jest.

**Nie, no co ty. Kombajn ma takie coś z przodu. Takie jak suszarka na bieliznę.**

To co to jest?

**Bo ja wiem? Tu taka dziura jest, to pewnie coś w nią wchodzi. A tu jest druga dziura, to pewnie wychodzi.**

Co ty nie powiesz. Może Siekierskiego spytam.

**Żeby się śmiał, że nie wiesz?**

A, już skojarzyłem, co to jest. To twoje, co ci dali. To cep jest. ©℗

*Łukasz Warzecha*

## OD RZECZY

**„Mamy praworządność. Mamy 600 miliardów".**

***DONALD TUSK,*** *premier, o pieniądzach z Unii Europejskiej w ramach KPO*



eprasa.pl a97f8a3e85

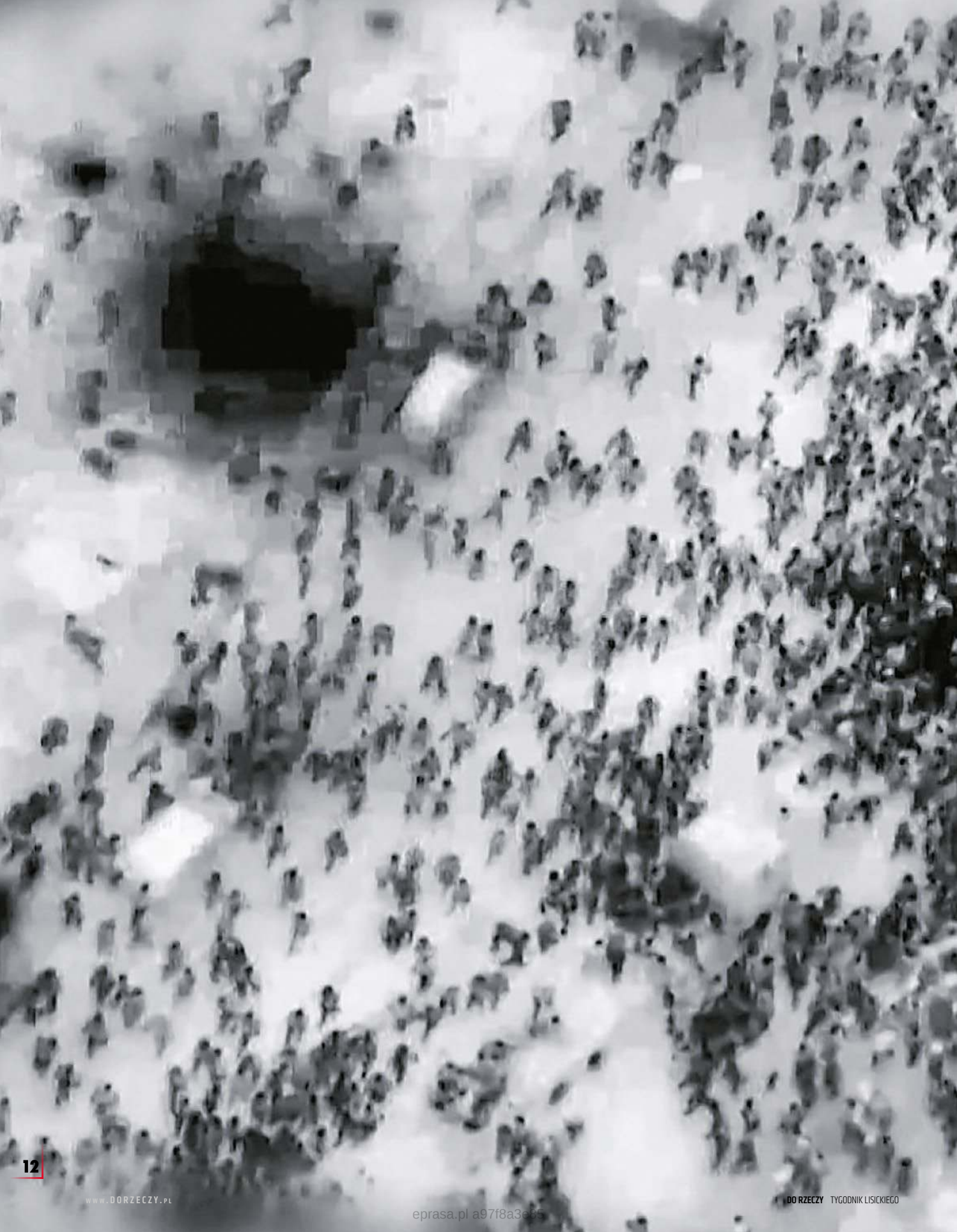


eprasa.pl a97f8a3e8

FOT. ALINE MANOUKIAN/ISRAELI ARMY/AFP/EAST NEWS

# MASAKRA CYWILÓW W STREFIE GAZY

Palestyńskie władze poinformowały w ubiegłym tygodniu, że w wyniku izraelskiego ataku na północy Strefy Gazy tylko w czwartek zginęło ponad stu cywilów, a kilkuset zostało rannych. Według Palestyńczyków izraelskie wojsko otworzyło ogień do osób, które czekały w kolejce po pomoc humanitarną. Zdjęcie lotnicze opublikowane przez armię izraelską pokazuje – według Izraela – dziesiątki Gazańczyków otaczających ciężarówki z pomocą w mieście Gaza 29 lutego 2024 r. Według agencji prasowych źródła izraelskie potwierdziły, że żołnierze otworzyli ogień do Palestyńczyków biegnących w kierunku ciężarówek z pomocą humanitarną. Izraelscy żołnierze mieli bowiem uważać, że ludzie ci stanowili dla nich zagrożenie.

– Izrael powinien robić więcej, by chronić cywilów w Strefie Gazy – oświadczył w ubiegły czwartek szef Pentagonu Lloyd Austin, zwracając uwagę, że od rozpoczęcia przez Izrael operacji odwetowej po ataku palestyńskiego Hamasu z 7 października 2023 r. w Strefie Gazy zginęło co najmniej 25 tys. kobiet i dzieci. Było to już kolejne wezwanie skierowane ze strony USA do władz Izraela o „ograniczenie ofiar cywilnych" wśród Palestyńczyków. Według danych resortu zdrowia Strefy Gazy w wyniku izraelskiej inwazji zginęło już ponad 30 tys. Palestyńczyków, a ponad 70 tys. zostało rannych.

Krwawy konflikt rozpoczął sie po tym, jak bojownicy Hamasu zaatakowali Izrael. Wówczas zginęło ok. 1,2 tys. osób, w większości cywilów.



eprasa.pl a97f8a3e85

**Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kawalerem Orderu Orła Białego**
*rozmawia Ryszard Gromadzki*

# Potrzeba wstrząsu

**RYSZARD GROMADZKI: W tekście pt. „Głos starego wyborcy z myślą o młodszych", opublikowanym na portalu Arcana, zaapelował pan do Jarosława Kaczyńskiego o rezygnację z przywództwa w Prawie i Sprawiedliwości, a do samego PiS o głęboką refleksję po przegranych wyborach. Przekonuje pan, że to konieczne działanie w interesie PiS, jeśli chce w przyszłości odzyskać władzę, a jeszcze bardziej państwa polskiego, w tempie blitzkriegu niszczonego przez nową koalicję pod przywództwem Tuska. Znając realia, nie obawia się pan, że pański głos będzie wołaniem na puszczy?**

**PROF. ANDRZEJ NOWAK:** Nie mam wrażenia, żeby mój tekst „był głosem wołającego na puszczy", ponieważ w niektórych kręgach znalazł on pozytywny oddźwięk. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w kręgu otaczającym szczelnie prezesa Prawa i Sprawiedliwości ten oddźwięk będzie zapewne – czy jest – zupełnie inny.

Dzień przed naszą rozmową wysłuchałem w Telewizji Republika



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

**Jak wrócić do pluralizmu medialnego w sytuacji, kiedy krajem rządzą – w sposób bez porównania bardziej autorytarny, niż było przypisywane to PiS – Donald Tusk i jego formacja**

dość dziwnego komunikatu w postaci krótkiego, kilkudziesięciosekundowego oświadczenia przywódcy PiS, które chyba było jakimś nawiązaniem do mojego tekstu. Nie każdy z czytelników naszego wywiadu mógł je słyszeć, więc przypomnę jego treść. Otóż prezes Kaczyński oświadczył, że rezygnacja z przywództwa PiS w obecnym momencie byłaby czymś w rodzaju dezercji. To, co zapowiadał w ubiegłym roku, jest już nieaktualne. Nie ustąpi z funkcji przywódcy, jeśli taka będzie wola partii. Więc jakaś reakcja jest.

Tym bardziej nie mogę powiedzieć, żeby mój tekst był „głosem wołającego na puszczy". Myślę, że w kręgu osób bardzo blisko towarzyszących Prawu i Sprawiedliwości, dobrze życzących PiS jako partii, która odgrywała i odgrywa nadal bardzo ważną rolę w życiu politycznym Polski, jest to jakaś zachęta do zastanowienia się, jak zareagować na kryzys, w którym znalazła się Polska, wobec którego Prawo i Sprawiedliwość wydaje się w tym momencie dość bezradne.

**Cztery miesiące po przegranych przez PiS wyborach w wypowiedziach samego prezesa Kaczyńskiego czy innych czołowych polityków tej partii nie widać oznak jakiejś głębokiej samorefleksji. Znam wiele osób, także wśród zwolenników PiS, które uważają, że bez wewnętrznego wstrząsu Prawo i Sprawiedliwość nie ma szans na skuteczną walkę z ekipą Tuska.**

Nie chcę wypowiadać się kategorycznie w tej sprawie, bo nie mam wiadomości na temat tego, co się dzieje w wewnętrznym kręgu Prawa i Sprawiedliwości. Sądząc z zachowań i wypowiedzi publicznych części osób, które taki krąg tworzą, są to ludzie jak najbardziej zdolni do autorefleksji, rozumiejący sprawy, które ujawniły się z całą ostrością po wyborach. Mam na myśli m.in. problemy związane z sytuacją, w której całe media publiczne będą w brutalny, ale jednak naturalny sposób, wynikający z rozstrzygnięć wyborczych, przejęte przez nową władzę i wykorzystane do zamknięcia frontu medialnego, a tym samym odcięcia PiS od ogromnej większości wyborców.

Ten przykład jest chyba najbardziej dolegliwy. Powstaje pytanie, jak wrócić do pluralizmu medialnego w sytuacji, kiedy krajem rządzą – w sposób bez porównania bardziej autorytarny, niż było przypisywane to PiS – Donald Tusk i jego formacja. Argument, że w 2007 r., po przegranych wyborach, też



eprasa.pl a97f8a3e85

pojawiały się głosy, iż PiS jest skończony, a Jarosław Kaczyński też już nigdy nie wróci do władzy, a jednak wrócił do władzy i nastąpiło osiem wspaniałych lat dla Prawa i Sprawiedliwości, wygłaszany przez niektórych ludzi, niestety jest bardzo słaby i nie przekreśla potrzeby zmiany i autorefleksji.

Od 2007 r. upłynęło już 17 lat. Jarosław Kaczyński miał w 2007 r. 58 lat, teraz ma 75 lat. Wtedy miał brata, co było bezcenne. Ten tandem był kwintensencją całej gry politycznej PiS, także gry skrzydłami, której niedostatek zarzucam Prawu i Sprawiedliwości. Najistotniejszy jest jednak nieubłagany czynnik czasu. Jeśli sytuacja polityczna nie pozwoliłaby prezesowi Kaczyńskiemu odzyskać rządów przez osiem lat, to kiedy potencjalnie wróciłby do władzy, miałby 83 lata. Wiem, że jest przykład amerykański, ale jest to bardzo niedobry przykład, którego nie powinniśmy powtarzać. Nie wymawiam nikomu wieku, sam przedstawiam się jako stary wyborca, ale myślę, że w sytuacji ogromnego przyspieszenia cywilizacyjnego czy antycywilizacyjnego, które wynika ze zmian technologicznych, zmian w umysłach młodych pokoleń, potrzebne jest otwarcie możliwości dotarcia do świata wyobraźni młodszych generacji.

**Czy wobec tego model partii wodzowskiej w wersji Prawa i Sprawiedliwości jest przeżytkiem?**

Nie sądzę, żeby model partii wodzowskiej był przeżytkiem, kiedy widzimy jego bezwzględną skuteczność, powiedziałbym – w swoistym wymiarze turańskim (nawiązując do kategorii cywilizacyjnych Feliksa Konecznego), tworzonym przez partię Tuska. Tylko że to nie jest dobre na dłuższą metę dla życia politycznego w Polsce.

**A może to nie kwestia modelu, lecz obsady?**

Nie jestem zwolennikiem partii wodzowskiej. Wyznaję pogląd, który być może jest błędny, ale uważam się za republikanina, który wierzy w głos obywateli. Wiem, że partie wodzowskie sprawdzają się w działaniu i być może w historii – mówię to jako historyk – bywały przyzwolenia społeczne, jeśli można tak powiedzieć, na taką formułę działania. W sytuacji zagrożenia państwa, walki o jego niepodległość, dyktatura Kościuszki czy pierwsza dyktatura Naczelnika Państwa, czyli Józefa Piłsudskiego, do 1922 r., Polsce się przydawały, a w każdym razie popierali je sami Polacy. Myślę, że Prawo i Sprawiedliwość próbowało skutecznie działać jako partia wodzowska – w moim przekonaniu dla dobra Polski. Najważniejszym sprawdzianem tego, czy partia wodzowska ma rację bytu, jest jej skuteczność. Moim zdaniem ostatnie wybory, a także sytuacja po wyborach pokazują, że ten model w wypadku PiS okazuje się przeciwskuteczny. Rozumiem, że Jarosław Kaczyński i przeciwnicy odważniejszych zmian odpowiadają, że potrzeba jest jedna – jeszcze bardziej skupimy się wokół przywódcy w sytuacji kryzysu i zagrożenia i tak wytrwamy w PiS jako w swoistej szalupie ratunkowej, a potem zwyciężymy. Tu właśnie jest różnica zdań. Myślę, że w każdym zdrowym systemie politycznym potrzebne jest poszukiwanie odpowiedzi na kryzysy nie w jednej głowie wodza, ale w szerszej debacie, w której dopuszcza się także głosy docierające spoza partii i otwiera się na współpracę z nowymi, wynikającymi z dynamiki życia społecznego (teraz np. strajki rolników, ruch wokół CPK) ruchami. Zajmowanie się samą partią, jej „uszczelnianiem" na czas sztormu, to dla mnie jako zwykłego obywatela – który na tę partię głosował nie dla niej samej, ale dla tego, co uważa za dobro Polski – to za mało.

**Od 2007 r. upłynęło już 17 lat. Jarosław Kaczyński miał w 2007 r. 58 lat, teraz ma 75 lat**

**W jakim horyzoncie prawica, być może wcale nietożsama z PiS, ma szansę na odwojowanie tych wszystkich strat, które są i zapewne jeszcze będą skutkiem przegranych wyborów parlamentarnych w 2023 r.? Poczucie realizmu podpowiada, że prawdopodobnie będzie to długotrwały proces.**

Przywołam słowa świętego papieża Jana Pawła II, który mawiał, że nie należy stawiać tamy Bożej opatrzności. Ona może zadziałać w dowolnej chwili. Myślę, że z ogromnego doświadczenia politycznego prezesa Kaczyńskiego może wynikać założenie, że przełom, o który pan pyta, mógłby nastąpić szybciej. Nawet w sytuacji szczelnego parasola medialnego, który rozpięła rządząca w sposób autorytarny obecna koalicja. Być może w takiej cudownie krótkiej perspektywie czasowej nawet znajdująca się w fazie słabnącej, ale zarządzana w dotychczasowy, powiedziałbym – wodzowski sposób, partia Prawo i Sprawiedliwość może odzyskać władzę. Jednak moje założenie jest inne: prawdopodobnie władza Donalda Tuska może potrwać dłużej.

Moim zdaniem w najbardziej prawdopodobnym scenariuszu obecna władza dotrwać może co najmniej do następnych wyborów parlamentarnych. Pierwszym poważnym sprawdzianem będą dla niej wybory prezydenckie. Bardzo bym chciał, żeby zmiana nastąpiła już po nich, żeby nie wygrał ich jakiś kandydat wysunięty przez Donalda Tuska czy on sam, domykając niejako autorytarny system.

Ostatecznym sprawdzianem skuteczności obecnej władzy – i opozycji wobec niej – będą wybory parlamentarne w 2027 r. Jeżeli ta autorytarna władza do nich w ogóle dopuści, bo naprawdę poważnie biorę pod uwagę możliwość, że prawdziwych wyborów w Polsce już nie będzie. Odpowiedzią na to byłby może jakiś rodzaj rewolty, jeśli społeczeństwo polskie byłoby jeszcze do niej zdolne. Mówię o autorytaryzmie jako perspektywie realnej, bo widać, że ten sam trend zaczyna dominować wśród elit europejskich.

**W ewidentny sposób objawia się on też w USA, co przejawia się w próbie zablokowania ponownego wyboru Donalda Trumpa na prezydenta.**

Jeżeli pojawia się polityk uznany przez samozwańcze elity za „złego kandydata", to należy odebrać demosowi, czyli wyborcom, możliwość jego wyboru, bo mogą „źle wybrać". Mogą się „pomylić" – jak oceniają owe elity, które oczywiście wiedzą, co jest dobre dla ludzi, a ludzie mogą tego nie wiedzieć, więc trzeba zabrać „prostakom" samą możliwość popełnienia „błędu". Przy samej zasadzie demokracji pojawia się znak zapytania, coraz wyraźniej stawiany przez samozwańcze elity ekspercko-medialno-ideologiczne. Ale wracam do pańskiego pytania. Zakłada-


eprasa.pl a97f8a3e85

jąc, że wybory parlamentarne za trzy i pół roku jednak się odbędą, myślę, że będzie to ten decydujący moment, do którego trzeba się już teraz przygotowywać. Mój apel jest sformułowany w takim horyzoncie czasowym. Żebyśmy mogli – wszyscy ludzie dobrze życzący Polsce – wygrać. Nie tylko Prawo i Sprawiedliwość – choć oczywiście PiS jest najsilniejszą, najskuteczniejszą dotąd partią tzw. obozu patriotycznego i nie mam nic przeciwko temu, aby nadal nią pozostał – ale żeby mógł wygrać wybory razem z innymi formacjami prawicowymi. To też jasno napisałem. Nie budować murów na prawicy, tylko mosty. Nie można tworzyć w kampanii wyborczej sytuacji, w której głównym wrogiem jest wróg na prawicy. A właśnie tak było w kampanii wyborczej roku 2023.

**Użył pan wcześniej określenia „rewolta". Co się stało z naszą narodową skłonnością do rewolty? Czy obecne protesty rolnicze mają taki potencjał, żeby znieść rządy Tuska? Wydaje się, że PiS nie wykorzystuje politycznie potencjału buntu, który się w Polsce objawił. Czy ta pasywność wynika z tego, że Prawo i Sprawiedliwość nie potrafiło w okresie swoich rządów przeciwstawić się skutecznie ani unijnemu Zielonemu Ładowi, ani bezkrytycznemu otwarciu na Ukrainę, czego owoce dziś zbieramy?**

Długie pytanie, w którym było kilka tez. Z częścią tych tez się nie zgadzam. Wymienił pan jednym tchem to, co można nazwać Zielonym Ładem, czyli skrajną, ideologiczną konstrukcję, która ma zniszczyć dobrobyt Europejczyków, na co reakcją jest wystąpienie rolników, i jednocześnie jako zarzut wymienił pan „otwarcie na Ukrainę". Z tą drugą częścią pana tezy się nie zgadzam. Uważam, że pomoc dla Ukrainy jest potrzebna – bo Rosja Putina grozi nie tylko jej, lecz także nam. I tu postawię kropkę, żeby nie rozwijać tego wątku. Po prostu tu się różnimy z czymś, co postrzegam jako linię „Do Rzeczy". Pana pytanie kierowało się w tę stronę, po pierwsze, gdzie jest duch rewolty naszego społeczeństwa; druga część pytania starała się zwekslować tylko na Prawo i Sprawiedliwość odpowiedzialność za gaszenie tego ducha. Jeśli właściwie pana zrozumiałem, to PiS nie podnosi tej rewolty, bo w istocie rząd Tuska realizuje politykę, którą wcześniej Prawo i Sprawiedliwość akceptowało. To dwa różne pytania. Gdzie się podział duch społecznej rewolty Polaków poza rolnikami i czy on się odrodzi? I druga kwestia: Czy dlatego PiS nie reaguje obecnie mocniej, bo popierał to, co robi dziś rząd Tuska? Znów z tą drugą częścią pana diagnozy się nie zgadzam. Myślę, że PiS nie reaguje dlatego, że nie jest teraz, w swym wodzowsko-dworskim zapętleniu, zdolny do reakcji. To powód mojego apelu. Widać nieruchomość, słabość inicjatyw politycznych, powtarzalność pewnych ruchów, nieskuteczność. Nie dlatego, że PiS nie chce reagować. Nie jest w stanie. Bo wódz przez lata został odizolowany od głosów innych niż jego własne pomysły. I tu widzę problem.

**Sprawdzianem skuteczności obecnej władzy – i opozycji – będą wybory parlamentarne w 2027 r. Jeżeli ta autorytarna władza do nich w ogóle dopuści**

**A ów duch polskiej rewolty? Gdzie on się podział, panie profesorze?**

W dużym stopniu pożera go wzmiankowana już przeze mnie olbrzymia zmiana cywilizacyjna, która powoduje coraz większe znaczenie technologii jako usypiacza lub kontrolera emocji społecznych. W 1980 r. nie było niczego, nawet w jednej setnej, dającego komunistom taką władzę nad emocjami, jaką w tej chwili mają właściciele najpotężniejszych mediów i tzw. mediów społecznościowych, które w dużej mierze odgrywają rolę odspołeczniającą. Młode pokolenie może żyć w świecie gier, fantasy – i czuć, że to, co w tym sztucznym świecie znajdują i co ich pochłania w coraz większym stopniu, jest satysfakcjonujące, a „rzeczywista rzeczywistość", że tak to ujmę, nie ma wielkiego znaczenia dopóty, dopóki mam swoje smartfon, filmiki i gry. Wystarczy włączyć sobie Netflix – i już jest „fajnie".

**Real ich mało obchodzi...**

Tak. Ale myślę, że do pewnych granic. W tym miejscu chcę przejść do nieco mniej pesymistycznej tezy. Tą granicą jest oczywiście możliwość kontynuowania owej gry w świecie nierzeczywistym, do czego potrzebne jest pewne minimum socjalne. Nie mam wątpliwości, że rząd Donalda Tuska będzie prowadził – tak jak poprzednio to robił – do zubożenia niemałej części społeczeństwa, a na pewno do zamykania szans rozwoju gospodarczego dla Polski.

**W pana diagnozę wpisuje się dobrze gra prowadzona przez rząd Tuska wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego czy budowy elektrowni jądrowych w Polsce...**

Dziękuję, że przywołał pan ten wątek. To jest przykład rodzenia się jeśli jeszcze nie pewnej rewolty, to przynajmniej refleksji, która może prowadzić do zorganizowania ruchu społecznego, protestu przeciwko temu rządowi, który chce ograniczyć szansę rozwoju Polski. Mam na myśli ten ruch, który tworzy się wokół obrony budowy CPK. To jest ponadpartyjny ruch ludzi, którzy chcą, żeby w Polsce było lepiej. A „lepiej" nie oznacza dla tych ludzi tylko zemsty na „faszystach z PiS", co obiecał i wykonuje ku uciesze zaczadzonych fanatyków Tusk. „Lepiej" to znaczy, żeby tutaj były równie silne – a może nawet jeszcze nowocześniejsze – ośrodki rozwoju gospodarczego niż u naszych zachodnich sąsiadów. „Lepiej" to znaczy, że nie akceptujemy stanu, w którym jesteśmy półkolonią silniejszych gospodarczo i politycznie członków Unii Europejskiej. To emocja, powiedziałbym, jakiegoś elementarnego przywiązania do własnego domu. Wolelibyśmy, żeby on lepiej wyglądał, miał solidniejsze fundamenty. To nie zostało jeszcze chyba z ludzkiej natury wyrugowane i myślę, że do tego będzie można się odwoływać w wyborach za cztery lata, a może nawet już w tych wcześniejszych – prezydenckich.

Trzeba pokazywać tego rodzaju emocje i uczucia, odwoływać się do dobrze uargumentowanych myśli, które pokazują, że rząd Donalda Tuska chce w istocie szkodzić Polsce – i robi to. Wszystko to może być czynnikiem przygotowującym jeśli nie rewoltę, to na pewno zmianę polityczną, którą dobrze byłoby właściwie wykorzystać. Czyli wygrać wybory. O to mi chodzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

# Z Kaczyńskim źle, bez niego nie lepiej

*Rafał A. Ziemkiewicz*

**Przegrana, rugowana z życia publicznego i brutalnie spychana do jakiegoś getta prawica potrzebuje zrozumienia, co się stało i dlaczego, a nie castingu na nowego „komendanta" zamiast tego, który się zestarzał**

Bezpośrednio po wyborach Jarosław Kaczyński zaskoczył partię i jej wyborców, publicznie biorąc na siebie całkowitą odpowiedzialność za błędy, które – jak przyznał – doprowadziły do utraty władzy. Deklaracja w normalnej demokracji oczywista i stanowiąca początek naturalnego procesu rozliczania przegranej, wyciągania z niej wniosków i wprowadzania zmian obliczonych na odzyskanie zaufania wyborców tutaj miała jednak sens dokładnie odwrotny: „Jeśli ktoś chciałby rozliczać błędy kampanii i ośmiu ostatnich lat, to będzie musiał się zmierzyć osobiście ze mną". Nieoczekiwane oświadczenie, choć gołosłowne, bo nie towarzyszyły mu żadne konkrety co do owych błędów, rzeczywiście skutecznie ostudziło frakcje, które już szykowały się, by skoczyć sobie do gardeł ze wzajemnymi oskarżeniami.

Ale nic za darmo. Udało się zapobiec wzajemnemu wywlekaniu sobie brudów, czego Kaczyński zapewne słusznie się obawiał – powyborcze rozgoryczenie wyraziło się tylko w szemraniu, nie w otwartej krytyce; pomógł w tym zresztą Tusk, uruchamiając przeciwko



eprasa.pl a97f8a3e85

PiS działania z pogranicza politycznego bandytyzmu. Ubocznym skutkiem było jednak zaszczepienie w PiS, a zwłaszcza w jego eksperckim zapleczu, w przeciwieństwie do aparatu partyjnego nieskłonnym do dyscypliny, myśli, że Jarosław Kaczyński nie jest już nieomylny, że także on, a nie tylko nieudolni współpracownicy, odpowiada za przegraną i także on powinien zostać rozliczony.

Była to „incepcja" brzemienna w skutki. Sanacja, której wzorzec kopiowany jest w Polsce współczesnej we wszystkich nurtach politycznych, ale w PiS uczyniono to najbardziej otwarcie, opiera się na zaufaniu do nieomylności wodza, bo owej nieomylności dowodzą jego sukcesy. Jak to ujmował modelowy piłsudczyk z powieści Andrzeja Struga: „Komendant nas zawsze z najgorszych opałów cało umiał wyprowadzić, i zawsze wyprowadzi". Jarosław Kaczyński przetrwał ćwierć wieku niewiarygodnej propagandowej kanonady i brutalnych ataków, a następnie dokonał cudu, który w pewnym momencie nikomu już, poza najwierniejszymi wyznawcami, nie mieścił się w głowie: zdobył dla polskiej prawicy (pomińmy tu spory co do ścisłości tego określenia) Sejm, Senat, prezydenturę, TVP, TK i wiele innych ośrodków władzy. Właśnie to sprawiało, że mógł pozwolić sobie na najróżniejsze wolty, niezrozumiałą politykę personalną, nawet jawne odstępstwa od ideowych pryncypiów, w imię których PiS szedł do władzy – bolesne szczególnie w stosunkach z Unią Europejską. My nie rozumiemy, o co chodzi, ale on na pewno wie, trzeba zaufać, że ostatecznie wyjdzie to na dobre.

Ponad cztery miesiące po przegranej niewiele z tego zaufania zostało; przede wszystkim dlatego, że te cztery miesiące pokazały brak jakiegokolwiek pomysłu na funkcjonowanie w opozycji i odzyskanie władzy. Jeśli przez cały ten czas wygłoszone przez Kaczyńskiego zaproszenie, by to jego właśnie rozliczać z błędów, nie zostało przez żadnego z działaczy partyjnych podchwycone, to już raczej z obawy, by w trudnej dla wszystkich chwili nie „rozchwiać łódki", niż z lęku przed wszechmocą Prezesa. Poza tym po ośmiu latach oduczania działaczy PiS jakiejkolwiek samodzielności w myśleniu i inicjatywy – niekiedy w sposób nader brutalny, by wspomnieć potraktowanie Jana Krzysztofa Ardanowskiego – naturalną reakcją większości z nich na pasmo klęsk stało się kulenie niczym stadko bezradnych owieczek w oczekiwaniu na interwencję pasterza.

Można się obawiać, że wśród takiej kadry, jeśli oczekiwanie będzie się przedłużać jeszcze bardziej, a dotychczasowy wódz nie zdoła odbudować wiary, że „zawsze z najgorszych opałów cało wyprowadzi", prędzej pojawi się potrzeba zaufania i bezwolnego poddania wodzowi nowemu niż gotowość akcji samodzielnej. I to jest największe niebezpieczeństwo związane z przełamaniem przez prof. Andrzeja Nowaka sławnym już „Głosem starego wyborcy…" tabu, które stanowiły w PiS o otaczającej go „bańce" ocena skutków przywództwa Kaczyńskiego i dyskusja o sukcesji po nim.

## NIE WYSTARCZY ZMIENIĆ „KOMENDANTA"

Szeroko rozumiana „prawica", czyli ta część Polaków, którzy wierzą w swój kraj, w jego patriotyczne wartości i tradycję, dziś przegrana, rugowana z życia publicznego i brutalnie spychana do jakiegoś getta, w którym ma, wedle wyobrażeń triumfujących po ośmiu latach lewicowo-liberalnych salonów, „wymrzeć jak dinozaury", potrzebuje bowiem zrozumienia, co się stało i dlaczego, a nie castingu na nowego „komendanta" zamiast tego, który się zestarzał. Można długo wyliczać błędy popełniane przez osiem ostatnich lat przez PiS. W każdym wypadku można jako wspólny mianownik wskazać, że w ten czy inny sposób za błędną decyzją stał Jarosław Kaczyński. Jednak wniosek, że wystarczy zmienić Kaczyńskiego na kogoś, kto nie będzie błędów popełniał – czy raczej żywienie iluzji, że da się znaleźć kogoś, kto na jego miejscu i w jego sytuacji błędów by nie popełnił – nie prowadzi donikąd.

PiS bardzo potrzebuje refleksji nad swoimi rządami. Kilka punktów, dość przypadkowych, wskazanych we wspomnianym artykule prof. Nowaka dalece tej potrzeby nie wyczerpuje. Tym bardziej nie nadaje się na punkt wyjścia do tej dyskusji poufny (ale wszystkim już znany) memoriał wystosowany do Jarosława Kaczyńskiego przez byłego szefa TVP Jacka Kurskiego – jest w nim kilka trafnych spostrzeżeń, ale dotyczących spraw drugorzędnych, taktycznych zagrywek z dziedziny marketingu politycznego.

Nie miejsce tu na szersze rozważanie sprawy, ograniczę się więc tylko do stwierdzenia, że nie będzie miała większej wartości żadna analiza przyczyn utraty władzy, w której nie pojawią się pojęcia „polityka covidowa", „piątka dla zwierząt", „Polski Ład" (a w szczególności „składka zdrowotna od przedsiębiorców"), „TVP Info", „KPO" i „kamienie milowe". Osobną kwestią była źle pomyślana kampania wyborcza – tu trzeba zmierzyć się z problemem, dlaczego na ostatniej prostej zmobilizowały się przeciwko PiS 3 mln wyborców dotąd nieaktywnych, podnosząc frekwencję o ok. 10 proc., na czym skorzystała głównie Trzecia Droga.

Nie zgadzam się z często wyrażaną opinią, że przyczyną było orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego wykluczające „przesłankę eugeniczną" do aborcji, aczkolwiek odegrało ono rolę symbolu – głównie wskutek zupełnie niepotrzebnego „zrekonwalidowania" wyboru trzech sędziów, przysługujących Sejmowi poprzedniej kadencji, podjętej dla celów, jak sądzę, rozgrywki wewnątrzpartyjnej, na początku rządów, po której to operacji nikt nie wierzył, że orzeczenia TK nie są wydawane na Nowogrodzkiej. W moim przekonaniu kluczowe były tu dwie sprawy.

## ROZDRAŻNIENIE NOWOBOGACKICH

Pierwsza, taktyczna, to rozdrażnienie nasilonymi do absurdu obietnicami rozdawnictwa pieniędzy wyborców wielkomiejskich, a ściśle – szczególnej ich grupy „nowobogackich na kredyt", która, paradoksalnie, niezwykle wzmocniła się dzięki sukcesom kolejnych rządów PiS w gospodarce. Ta grupa społeczna, zwykle skupiona na sobie i przez to nieangażująca się w życie publiczne, jest bardzo przywiązana do swego statusu materialnego i do przekonania, że zawdzięcza go własnej ciężkiej pracy. Odebrała więc lawinę obietnic premiera jako zapowiedź okradzenia jej na rzecz wspierających władzę „nierobów" – podczas gdy domniemanych beneficjentów obietnice i tak wcale do liczniejszego głosowania nie popchnęły. Było to tylko częścią generalnego błędu strategicznego:



eprasa.pl a97f8a3e85

przekonania, że elektoraty są rozdane raz na zawsze i między „patriotami" a „unijczykami" nie dochodzi do żadnych przepływów. Ci zaś, którzy znajdują się pomiędzy, „nieinteresujący się polityką", zagłosują na tego, kto obieca im więcej pieniędzy.

Wskutek takiego myślenia – zgodzę się z zarzutem, że narzuconego PiS przez samego Kaczyńskiego, który w taki sposób rozumował od czasów PC i zawsze skupiał się na eliminowaniu konkurencji do wyborców „prawicowych", nie tracąc sił na próby poszerzania tej grupy – PiS w ostatnich latach prześlepił wszystkie zmiany społeczne, starzenie się swojego elektoratu oraz zmieniające się aspiracje. Formuła „utwardzanie betonu plus rozdawanie kasy" miała zapewnić kolejną kadencję z samodzielną większością; innych wariantów nie brano pod uwagę. Tusk tym razem wygrał, bo wykazał się większą elastycznością: też chciał rządów „jednej listy", włożył w zapędzanie na nią wiele wysiłku, ale gdy sondaże pokazały mu, że to mrzonki, umiał zatrąbić na odwrót i podstawić do głosowania przyszłych koalicjantów.

Dlaczego Kaczyński tego nie potrafił? W kręgach zbliżonych do PiS krążą opowieści o tym, że był przez otaczających go seniorów z „zakonu PC" dezinformowany, że pokazywali mu oni sondaże z Podkarpacia jako ogólnopolskie etc. Nie bardzo w to wierzę. Sądzę, że jeśli nawet Kaczyński dostrzegłby w porę, że PiS ma szansę pozostać przy władzy tylko z jakimś koalicjantem, to nic nie byłby już w stanie zrobić. W przeciwieństwie do Tuska, który dziś, mówiąc brutalnie, trzyma swoich polityków i lewicowo-liberalne salony krótko za pysk, przekonanie o wszechwładzy „Kaczora-dyktatora" jest już tylko mitem. Jedynowładztwo, możliwe w opozycji, u władzy podlega nieustannej erozji. Dyktator zmuszony jest godzić żrące się u dworu frakcje i koterie, wyważać między nimi wpływy i – w coraz większym stopniu – zaspokajać oczekiwania tych, na których jego władza się opiera.

## UKŁAD PRZESTEROWANY

Mówiąc językiem kultowego filmu Barei, „to nie jest żadne nihil novi". Każda struktura wodzowska, poddana wyzwaniom rządzenia czymś tak rozległym i skomplikowanym jak państwo, staje się rychło „układem przesterowanym". Choćby Jarosław Kaczyński naprawdę miał, jak kiedyś żartobliwie pisał o nim Piotr Wierzbicki, komputer zamiast mózgu i choćby był to superkomputer z klasy „big blue", to na dłuższą metę nie starczyłoby mu mocy obliczeniowej do przerabiania na bieżąco wszystkich danych i podejmowanie decyzji za oduczonych podejmowania decyzji podwładnych. Tak samo ugrzązł w inercji wypromowanych przez siebie miernot starzejący się Piłsudski, choć mając do dyspozycji Berezę i fałszując wybory, mógł sobie pozwalać na znacznie więcej niż Kaczyński. Ostatecznie nie był w stanie nawet skutecznie namaścić swojego następcy – wyznaczony na niego Walery Sławek został błyskawicznie wyślizgany przez zmowę wydziedziczonych. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jednoznaczne wskazanie Jarosława Kaczyńskiego na Mateusza Morawieckiego będzie równie nieskuteczne.

**Problemem PiS nie jest wódz, problemem jest wodzowska struktura**

Leszek Miller, wiedząc, że jego partia zużyje się u władzy, hodował sobie jako przyszłego koalicjanta Samoobronę, Tusk dopuścił do współrządzenia Hołownię. Kaczyński nie mógł zrobić niczego podobnego – ostatni okres jego rządów i tak był naznaczony coraz bardziej rozpaczliwym staraniem o zachowanie większości, wymuszającym przekupywanie kolejnych cwanych grupek coraz to nowymi koncesjami. O budowaniu czy pozyskiwaniu potencjalnego koalicjanta nie było w tej sytuacji mowy, nawet gdyby nie szła za Kaczyńskim pamięć o tym, jak pożarł swego czasu wspomnianego Leppera, do podzielenia losu którego z oczywistych powodów nie ma chętnych. A ewentualne obudowanie PiS jakimś „ruchem społecznym", o którym słyszymy, poniewczasie, teraz? Kto pamięta, jak regionalne struktury PiS niszczyły na swoim terenie rodzący się spontanicznie po tragedii smoleńskiej Ruch im. Lecha Kaczyńskiego, nie może mieć złudzeń co do tego, że aparat nigdy nie pozwoli, by wyrosła mu taka konkurencja.

## ROZPAD

Podsumowując: problemem PiS nie jest wódz, problemem jest wodzowska struktura (choć, oczywiście, nie sposób zaprzeczyć, że to on ją stworzył i przez długie lata wyjaławiał z talentów oraz osobowości). W obecnym swoim stanie nie jest ona zdolna funkcjonować inaczej niż pod dyktando „charyzmatycznego przywódcy", ale nie może takiego wyłonić ze swoich szeregów, a ewentualny „outsourcing" wydaje się mało prawdopodobny. W tej sytuacji musi rozpaść się na małe Kościółki, każdy ze swoim mikrowodzem. Oznaczałoby to powrót do czasów niesławnego Konwentu Świętej Katarzyny, rozbicia i skłócenia centroprawicy, którego zakończenie, poprzez kolejną eliminację rywali, było politycznym dziełem życia Kaczyńskiego. Nic dziwnego, że w tej sytuacji nie tylko nie jest on skłonny odchodzić, lecz także wycofuje się z wcześniejszych obietnic, że nie będzie się ubiegał o dalsze przewodzenie partii na statutowym kongresie wypadającym w roku 2025.

Każdy znak osłabienia dominacji Kaczyńskiego jest bowiem sygnałem dla diadochów, czekających niecierpliwie na starcie o sukcesję. Czy można sobie wyobrazić, że rezygnując z marzeń o jedynowładztwie, zdołają oni podzielić się wpływami w partii i zbudować polityczny kartel mający różnych wodzów dla różnych grup elektoratu, tak jak funkcjonowała w czasach swych największych triumfów postkomunistyczna lewica? Na razie jest to możliwość czysto teoretyczna.

Z Kaczyńskim PiS nie jest w stanie wygrać. Bez niego – prawdopodobnie się rozpadnie. Przegrywając kolejne wybory, również się rozpadnie, także z Kaczyńskim. Jedyną osobą władną rozwiązać tę kwadraturę koła jest Kaczyński, ale w tej obecnej sytuacji nie może zrobić ruchu ani w tę, ani we w tę. Pozostaje mu trwać w oczekiwaniu na diametralną zmianę okoliczności. Już dwa razy w swej długiej karierze, gdy już wróżono mu koniec, dotrwał w ten sposób do kolejnej szansy. Ale czy ten cud może się powtórzyć raz jeszcze?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Kaczyński albo rozpad. Zmiany albo uwiąd

*Piotr Semka*

**Jedyną drogą do osłabienia impetu Platformy jest dla prezesa mądry sposób na podzielenie się władzą. Tyle że łatwiej o tym mówić czy pisać w publicznych listach niż to po prostu zrobić**

Apel prof. Andrzeja Nowaka o odejście Jarosława Kaczyńskiego z funkcji lidera PiS nie wywołał w krótkim planie żadnych faktów politycznych. Wręcz na odwrót. Prezes Kaczyński, który mówił o definitywnym odejściu w 2025 r., teraz nie wyklucza kolejnych kadencji. Ale w dłuższej perspektywie apel znanego historyka może uruchomić proces tranzycji władzy. Tyle że – jak potwierdzają to liczni politycy PiS – nie uda się to bez zgody i udziału samego naczelnika z Nowogrodzkiej.

## APEL W ŚRODKU POLITYCZNEJ BURZY

Profesor Andrzej Nowak wyrobił już sobie w obozie patriotycznym status swego rodzaju Bożego szaleńca. W 2015 r. wystosował dramatyczny apel do Jarosława Kaczyńskiego, by ten porzucił plany startu w wyborach prezydenckich i wyznaczył kogoś młodszego. Przyjaciele krakowskiego historyka komplementowali go, że być może to publiczne wystąpienie skłoniło lidera PiS najpierw do szczęśliwego skierowania do wyborczej walki Andrzeja Dudy, a potem do wyznaczenia na kolejnych premierów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego.

Najwyraźniej uznając, że poprzedni apel wywołał dobry skutek, prof. Nowak postanowił 19 lutego br. ogłosić „Głos starego wyborcy z myślą o młodszych", który został opublikowany na portalu Arcana. Podstawowym zarzutem Nowaka nie była wyborcza porażka w 2023 r., tylko to, że PiS oddał władzę zupełnie do tego nieprzygotowany i jest obecnie bezradny wobec brutalnych działań ekipy Tuska. Kluczowe zdanie w tekście brzmiało: „Dziś, w roku 2024, mówię wyłącznie we własnym imieniu: Jarosław Kaczyński niestety nie sprostał już tej wielkiej odpowiedzialności, którą sam na siebie przyjął".

Profesor Nowak wśród kandydatów do schedy po Kaczyńskim wymienił dwa nazwiska: Przemysława Czarnka i Patryka Jakiego.

List Nowaka skonfundował najważniejsze media, z którymi utożsamia się PiS-owski elektorat. Poważną analizę problemu podjęło jedynie Radio Wnet Krzysztofa Skowrońskiego, które zaprosiło Andrzeja Nowaka do przedstawienia swoich racji. Krakowski uczony powtórzył na antenie apel o zmianę pokoleniową w PiS i przypomniał, że „skoro zmienia się świat, zmieniać się muszą także ci, którzy chcą odgrywać rolę publiczną i chcą wpływać na sposoby myślenia wyborców". Prowadzący rozmowę publicysta Łukasz Jankowski zarzucił Nowakowi pięknoduchostwo i brak zrozumienia zasad, którymi kieruje się polityka partyjna. Odpowiedź historyka była zwięzła: jeżeli taka partia jak PiS, która działa w jednoosobowy sposób, jak zorganizował ją Kaczyński, ponosi porażki, to znika usprawiedliwienie dla takiego sposobu rządzenia partią. Po prostu on się nie sprawdza. Nowak ocenił, że w PiS zamarło życie wewnętrzne w sytuacji istnienia wodza i otaczających go ludzi działających na zasadzie dworu. Nowak mówił: „Gdy formułuję krytyki, spotyka mnie szum oburzenia dworaków. Często odnoszę wrażenie, że jestem na dworze szczelnym na możliwość autokorekty".

Swoistym pendantem dla wystąpienia Nowaka była rozmowa na antenie tego samego Radia Wnet z dr. Józefem Orłem – osobą zbliżoną do Nowogrodzkiej, ale zachowującą sporą dozę niezależności w ocenach. Orzeł zarzucił Nowakowi niezrozumienie mechanizmów rządzących partią i brak świadomości nieprzygotowania partii na odejście Kaczyńskiego. „PiS bez prezesa wszedłby w takie wojny wewnętrzne, że przestałby odgrywać rolę w polskiej polityce. Pod nieobecność Jarosława Kaczyńskiego PiS czekałaby wyłącznie katastrofa".

Nie zmienia to tego, że w opinii Józefa Orła apel prof. Nowaka zawiera trafne zarzuty. Tyle że Orzeł skrytykował historyka za taktyczny błąd w postaci wymienienia z nazwisk potencjalnych następców Kaczyńskiego. „Andrzej Nowak wyjął siekierę, walnął nią, ale to nie spowoduje zmiany. Przetasowania są możliwe i pożądane, ale ochronę nad tym procesem musi zapewnić sam Jarosław Kaczyński. Jeśli ktoś z zewnątrz proponuje nazwiska nowych liderów, to może to spowodować tylko odrzucenie".

## EUFORIA W OBOZIE LIBERALNYM

Na temperaturę dyskusji o liście Nowaka w obozie prawicy pośrednio



eprasa.pl a97f8a3e85

wpłynęły nieskrywana radość i satysfakcja, z którymi list ten przyjęto wśród zaprzysięgłych przeciwników PiS. Dominujący ton można streścić następująco: oto konkretny dowód, że epoka Jarosława Kaczyńskiego przeminęła. Jak ogłaszano z emfazą, o konieczności odejścia prezesa mówi niekwestionowany autorytet obozu konserwatywnego. Dziennikarka „Gazety Wyborczej" w Krakowie Magdalena Kursa spekulowała, że deklarację prof. Andrzeja Nowaka można powiązać z zapowiedzią prof. Ryszarda Legutki o odejściu z polityki. „Legutko, podobnie jak Nowak, jest związany z »Arcanami«, obaj mają identyczne spojrzenie na politykę polską i europejską" – wyjaśniała redaktor Kursa.

Z kolei „Rzeczpospolita" komplementowała Andrzeja Nowaka za niezwykle trafną analizę kryzysu PiS, ganiąc go jednocześnie za wskazywanie Czarnka i Jakiego na następców naczelnika. Jeszcze inni publicyści liberalnych mediów wyrażali nadzieję, że list Nowaka to początek procesu podziału PiS na frakcję rozsądku i umiaru oraz na twardogłowy zakon wyznawców prezesa.

Najbardziej szczerze nadzieje związane z listem krakowskiego naukowca wyraził zaprzysięgły wróg PiS, publicysta Maciej Gawlikowski: „Och, długo czekałem na jakiegoś Brutusa odpowiedniej rangi. Jest! I to nie byle kto, bo prof. Andrzej Nowak [...]. Czy prof. Nowak pociągnie za sobą lawinę? Z kim może grać wewnątrz PiS? [...] Ani słowo w tekście prof. Nowaka nie pada na temat Andrzeja Dudy i jego kręgu. Podobnie jak na temat Mateusza Morawieckiego. To znaczące. Czy to na razie tylko spekulacje i pobożne życzenia prof. Nowaka? Chyba nie, trudno go posądzić o taką naiwność. Myślę, że jakieś kroki już są zrobione".

Pozwalam sobie cytować te uwagi, gdyż mogą one wyjaśnić, dlaczego skala dyskusji nad tekstem Nowaka okazała się w obozie prawicy dosyć ograniczona. Nieskrywane nadzieje, że list krakowskiego naukowca pomoże doprowadzić do rozłamu w PiS lub przynajmniej wewnętrznego zamieszania, wywołały efekt mrożący. PiS atakowany jest przez obóz Tuska z taką furią, że wielu działaczy tej partii instynktownie woli zachować dogmat jedności. Oczywiście taka sytuacja zawsze odsuwa na dalszy plan czy to rozliczenia, czy to dyskusje o zmianach. I liderzy partii, które poniosły klęskę, zawsze z tej okoliczności robią użytek dla uratowania swojej pozycji mimo przegranych wyborów. Tak było w wypadku Tuska w 2005 r. i tak jest dzisiaj w PiS.

## ECHA KORYTARZY

Politycy różnych frakcji Prawa i Sprawiedliwości w zaskakująco zgodny sposób reagują „off the record" na list Nowaka irytacją. Nie dziwi to w wypadku przedstawicieli tzw. zakonu PC, którzy przeszli z Jarosławem Kaczyńskim długą drogę politycznej walki od początku lat 90. i nie wyobrażają sobie PiS bez „Jarka na czele". Dla nich Kaczyński był zawsze elementem stabilizacji także własnych karier politycznych. Ale rozdrażnienie sposobem myślenia Andrzeja Nowaka reprezentują też przedstawiciele młodszego pokolenia, którzy obawiają się, że zmiana przywództwa wywołać może polityczne trzęsienie ziemi, na którym stracą wszyscy.

„To bardzo słaby i naiwny tekst" – mówi jeden z polityków średniego pokolenia w PiS. „Wręcz fizycznie boli, jak znany historyk nie rozumie mechanizmów, które kierują partią. Jeśli Nowak chciał pomóc politykom młodszego pokolenia PiS, to powinien rozumieć, że podawanie konkretnych nazwisk jest jak pocałunek śmierci". Inny polityk tej partii mówi: „Jeżeli dziś Kaczyński odejdzie, to w ciągu dosłownie paru tygodni PiS będzie rozbity tak jak niegdyś Akcja Wyborcza Solidarność. Dziś w PiS i poza nim żadnego nowego Kaczyńskiego nie widać". Jeszcze jeden z polityków czołówki ugrupowania twierdzi: „Nowak na pewno miał dobre intencje, co więcej, wskazuje on na ewidentne słabości naszej partii, ale wybrał na swoje posłannictwo najgorszy możliwy moment. Wpierw musimy przebrnąć przez wybory samorządowe, potem być może nieco odbijemy się w górę przy okazji wyborów do europarlamentu i dopiero wtedy będzie można wziąć głębszy oddech i zastanowić się, co i jak zmienić. Ale nie teraz, gdy właśnie jesteśmy świadkami mijanki w sondażach między Platformą a PiS. Mijanki na naszą niekorzyść".

**Skala dyskusji nad tekstem prof. Nowaka okazała się w obozie prawicy dosyć ograniczona. Nieskrywane nadzieje antypisowskich mediów, że list krakowskiego naukowca pomoże doprowadzić do rozłamu w PiS lub przynajmniej wewnętrznego zamieszania, wywołały efekt mrożący**

Na kryzysową sytuację, którą mógł wywołać list Andrzeja Nowaka, zareagował też sam Kaczyński. Na konferencji prasowej 23 lutego powiedział: „Na skutek tych wszystkich wydarzeń, które dzisiaj mają miejsce w Polsce,


eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. FOTOKIBIT/EAST NEWS

doszedłem do wniosku, że będę musiał się zastanowić nad przyszłym rokiem. Nie jestem z natury dezerterem, a to jest walka wewnątrz Polski". Jak zaznaczył: „Jeśli uzyskam odpowiednie poparcie ze strony kongresu partii, to dalej tym szefem partii będę".

Czy ta deklaracja oznacza wyłącznie determinację do trzymania się fotela prezesa PiS? Niekoniecznie. Kaczyński mógł chcieć zadbać o to, by nie zyskać statusu nazywanego w amerykańskiej polityce „lame duck" – kulawej kaczki. Kogoś, kto niby formalnie wciąż rządzi, ale kto będzie z wolna pomijany w trakcie procesów decyzyjnych. Jak każdy lider z polityczną intuicją Kaczyński uznał, że musi zachować wizerunek kogoś, kto jest gotowy do kolejnej kadencji, inaczej jego władza zacznie słabnąć. A lider PiS ma już za sobą bardzo groźny precedens. Jego apel do komisarza UE do spraw rolnictwa, Janusza Wojciechowskiego, o ustąpienie z funkcji został zlekceważony. Najwyraźniej Kaczyński uznał, że na kolejne dowody słabnięcia swojej pozycji nie może sobie pozwolić. Tyle że nie zatrzyma to zjawisk, przed którymi ostrzega Andrzej Nowak.

## LIDER ZDOLNY DO SAMOOGRANICZENIA?

Jeden z młodych polityków, którzy towarzyszyli premierowi Mateuszowi Morawieckiemu w ostatnich paru latach, mówi: „Obecny układ władzy w partii jest anachroniczny. Faktycznym ośrodkiem ustalania politycznych decyzji jest tzw. PKP. Chodzi o Prezydium Komitetu Politycznego PiS, które zbiera się, aby śledzić bieżące wydarzenia polityczne. Dziś według krytyków sytuacji w partii jest to ciało powolne i w 90 proc. przytakujące Jarosławowi Kaczyńskiemu. W śladowym stopniu skłonne do szybkiego reagowania na groźne manewry ze strony przeciwników partii. To grono po prostu jest za stare. Tworzą je w większości ludzie, którzy trafili tam dzięki swoim funkcjom, które dzisiaj już przestali pełnić. To np. była marszałek Sejmu Elżbieta Witek, były marszałek Senatu Stanisław Karczewski, jego zastępca Marek Pęk, były wszechmocny minister Jacek Sasin, była premier Beata Szydło i były premier Mateusz Morawiecki, a także szacowni seniorzy, jak np. Antoni Macierewicz czy były wicemarszałek Ryszard Terlecki. W tym gronie jedynie stosunkowo młodymi postaciami są 36-letni nowy sekretarz generalny partii Piotr Milowański oraz Mariusz Błaszczak i Mateusz Morawiecki".

Jak wskazują krytycy, PKP w obecnym składzie późno zauważa nowe tendencje polityczne lub zagrywki Platformy. Reaguje na nie z takim opóźnieniem, że stanowisko PiS nie miewa już większego znaczenia. Kaczyński musi też sobie zdawać sprawę, że struktury decyzyjne w partii nie były w stanie skutecznie reagować na bezprawie Tuska i nie zdołały dobrze przygotować się do wyborów samorządowych. Stąd tak bardzo spóźnione kandydatury polityków PiS startujących na urząd prezydentów w największych metropoliach.

Tyle że analizy błędów krytyków „zakonu PC" kończą się tym samym fatalistycznym akcentem: „Bez projektu zmian, które musi podjąć sam Jarosław Kaczyński, każda próba zmian przeprowadzana przeciw liderowi okaże się iluzoryczna. To Kaczyński musi przeprowadzić zmiany, choć jednocześnie to one ograniczą zakres jego władzy".

Czy jest zdolny do takich poświęceń i samoograniczeń? Trudno orzec. A jednak obecny stan wymaga szybkiej naprawy. To rozdarcie pomiędzy pozycją broniącego się oblężonego obozu a potrzebą reform jest dla PiS niezwykle trudną sytuacją. Jednak bez jakiegoś pomysłu na kontrolowany i oświecony sposób wprowadzenia młodych i wybijających się do centrum decyzyjnego PiS Kaczyński dostanie zadyszki w wyścigu z Tuskiem. Rywalem, który na dodatek korzysta ze zbójeckiego prawa konkurencji i bezlitośnie punktuje wszystkie słabości Kaczyńskiego z racji jego podeszłego już wieku. Jedyną drogą do osłabienia impetu Platformy jest dla prezesa mądry sposób na podzielenie się władzą. Tyle że łatwiej o tym mówić czy pisać w publicznych listach niż to po prostu zrobić. I na tym polega straszny dylemat Jarosława Kaczyńskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

Jerzy Karwelis

# Tusk łamie niepisane zasady III RP

**Ekipy u władzy się zmieniały, ale jedno pozostawało niezmienne – nie rozliczamy poprzedników. Obecny rząd ten system właśnie burzy**

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Wielu się zastanawia i wierzy, że wie, dlaczego obecne przejęcie władzy jest wyjątkowe. Większość kieruje swą uwagę ku pozasystemowej brutalizacji przejęcia władzy, wchodzeniu do instytucji z agencjami ochrony, podejmowaniu decyzji na podstawie uchwał anulujących ustawy czy taktyki „nie mamy pana płaszcza i co pan nam zrobisz?".

Jednak wyjątkowość momentu można upatrywać (także) gdzie indziej i moim zdaniem ten aspekt zaważy od tej pory na kształcie sceny politycznej bardziej niż „polityka rympału" Tuska. Ta jest opisana i opisywana oraz będzie opisywana w miarę jej eskalacji, niektórzy mówią, że do wyborów do europarlamentu, inni – że do wyborów prezydenckich. Można więc te dywagacje odłożyć i zająć się pomijanym meritum.

Chodzi o odejście od żelaznej zasady, być może konstytuującej realny system III RP, czyli „My nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych". Można było tę zasadę prześledzić przez cały okres III Najjaśniejszej. Ekipy się zmieniały o 180 stopni wajchy zawierzenia suwerena, większość budowała swe przewagi na krytyce poprzedników, a „postęp" w tej dziedzinie prowadził już do deklaracji rozliczeń poprzedników, aż do kryminału włącznie. Potem przychodziła zamiana wyborcza i triumfatorzy, chciałoby się rzec – wspaniałomyślnie, rezygnowali z postulatów pociągania do odpowiedzialności, innej niż ta przed Bogiem czy (tu bez lewaków) historią. Następowało odejście od tematu, z czego lud wywodził opisaną zasadę jako jedyny (?) element łączący polityczne elity, bez względu na ich barwy i obietnice.

W okresie wzrostu napięcia wojny polsko-polskiej wysnuto na tej podstawie tezy o istnieniu PO-PiS, ogólnej zgody plemion co do pryncypiów, tylko narracyjnie walczących na śmierć i życie. Teraz ten ciąg został przerwany i pora to odnotować, gdyż złamanie tej niepisanej zasady wysoce wpłynie na naszą przyszłość.

## DLACZEGO TUSK TO ZROBIŁ?

No właśnie – dlaczego została złamana ta nieświęta zasada polityki III RP? Dlaczego teraz i dlaczego przez Tuska?

Po pierwsze, trzeba zapytać, dlaczego nie została złamana przez PiS, który w drugiej kadencji miał już praktycznie wszystko w ręku, o wiele więcej niż Tusk teraz. Może PiS jednak się trzymał tej zasady, a dopiero Tusk Kaczyńskiego oszukał i ją złamał? Może PiS miał badania, że co najmniej jego elektorat nie chce dintojry i że na tym PiS straci?



eprasa.pl a97f8a3e85

A może to są tzw. miękiszony i tylko tak straszą, a jak przyjdzie co do czego, to nawet takiego Nowaka muszą im złapać i dostarczyć Ukraińcy (i im jakoś, jak mecenas Giertych, skutecznie procesowo nie zemdleje)? Tak czy siak PiS miał tu wszystko, nie musiał nikogo straszyć ochroniarzami i dojechałby Tusków bez większych (formalnych) problemów w świetle prawa. Nie zrobił tego i pewnie żałuje.

Dlaczego robi to więc Tusk? Ano dlatego, że z jednej strony ma przyzwolenie społeczne, posadowione na chęci rewanżyzmu po latach upokorzeń w ramach (często rozdmuchiwanej medialnie i dozowanej permanentnie) bezceremonialności PiS. Poziom tego zawierzenia jest teraz wśród akolitów nowej władzy testowany i widać, że idzie dobrze, nawet można przesuwać akceptację w okolice dotąd początkującym ultrasom nieznane, bo ci biedacy dowiadują się codziennie, że można zajść jeszcze dalej, niż przypuszczali. I akceptują wszystko, o co dba mniejsze, acz pilnujące porządku grono eskalatorów. Ekstrema w obozie zwolenników Tuska i tak powie, żeby więcej i śmielej, bo ci bardziej nienawidzą PiS, niż kochają państwo polskie, które przy takich zabiegach drży w posadach.

Grupa zaskoczonych tym tempem zwolenników nowych władz jest sprowadzana do wspólnictwa – poprzez dotychczasową akceptację tych działań (a wyczyszczone media codziennie zajmują się już tylko serwowaniem uzasadnień tych systemowych rympałów) stają się obiektem obniżania własnych oczekiwań co do sztandarowych przecież haseł przywracania praworządności. Cel uświęca środki, nawet jak te prowadzą do demontażu państwa. Tak wielka nienawiść stoi za celem, którym jest śmierć PiS.

Po drugie – Tusk gra va banque. To znaczy, że wypowiedział niepisane reguły wojny polsko-polskiej, tę konwencję niegenewską o pobłażliwymi traktowaniu jeńców tej wojenki. No bo jak było do tej pory? Oba plemiona rywalizowały naprzemiennie o to, kto będzie rządził Polakami, przegrany mościł się w resztówkach samorządowych i systemie finansowania partii, po czym czekał na lepszy fart. Jak się zdarzył, to zmieniały się tylko role, nie reguły. Ten system konserwował bowiem prawdziwy fundament wojny polsko-polskiej, która stała się realnym systemem ustrojowym III RP. A jest nią gwarancja dwójpolówki, nienaruszalności tego wymiennego systemu, bo wedle utrzymania tych reguł nie ma prawa pojawić się ten trzeci, bo to rozwaliłoby ten wygodny system. Jednak jak się dochodzi do momentu, że się jest pewnym swego, to po co nam taki zmiennik? Ten trzeci się nie pojawi. To po co utrzymywać drugiego, skoro można go „dojechać" dowolnymi metodami, bo nasz elektorat wzmożony szuka ujścia dla swej żądzy zemsty, a świat tylko przyklaśnie, by pozbyć się tego konserwatywnego ewenementu? Przy takim nielimitowanym kredycie kwestia środków jest wyborem dowolnym. Jak widać.

## SZKODLIWA CECHA POLSKIEGO SYSTEMU

Ważne są nie tylko ten moment i strategia, lecz także jej konsekwencje. Te, nawet przy jednorazowym zastosowaniu środków rympałowych, pozostawią swe rezultaty na długo. Bo już po tym, co wiemy, każda następna walka o władzę będzie walką o życie jej uczestników. I przegranych, i wygranych. PiS zobaczył już, że zasada „my nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych" nie działa i nie ma już do niej powrotu. No bo jak PiS-owcy (czy jakieś inne przyszłe formy po tamtej stronie) wygrają kolejne wybory, to już do tej zasady nie wrócą, tylko dojadą z kolei przegranych. Dla tych więc kolejne wybory to będzie walka o życie i wolność, a więc motywacja do bycia wybranym się zwiększy. Kandydaci będą coraz częściej uciekać w bezkarność immunitetu i polska polityka zapełni się uciekinierami przed dintojrą, a nie przedstawicielami woli suwerena ubranej w program polityczny. Choć i tu Tusk podniósł stawkę, pokazując na Wąsiku i Kamińskim, że również ochronna wartość immunitetu może być iluzoryczna.

Moim zdaniem by uniknąć eskalacji tak rozhuśtanej wojny polsko-polskiej, Tusk zamierza się pozbyć tej wajchy raz na zawsze. Zanihilować PiS, przeprowadzić go przez ścieżkę zdrowia omijania prawa, docisnąć na wyborach prezydenckich i zakończyć ten byt, kumulując wcześniej impulsy gry na jego podział.

I to jest wiekopomny wkład w schemat sceny politycznej. Naprzemienna plemienność ma zniknąć, a była ona bardzo szkodliwą cechą polskiego systemu politycznego. Każde z plemion miało swoich gdzie indziej ulokowanych patronów i skoro Amerykanie nie zawahali się poprzeć Tuska, to los PiS został przesądzony. Z tego widać, że mechanizmy naszej polityki wewnętrznej są coraz bardziej zewnątrzsterowne, jakby powiedział prof. Zybertowicz. Tusk mając do tego wciąż funkcjonujący kredyt zemsty w czarnych duszach swych środowisk, nie musi, ale i psychologicznie ze względu na ultrasów nie może wzdragać się przed ostrymi krokami już nawet poza bandą. Wszystko zostanie mu odpuszczone.

## GORSZA ALTERNATYWA

Z takim kapitałem można więc marzyć o zagarnięciu całej puli. Za wojną polsko-polską tęsknić nie będę, ale alternatywa jest jeszcze gorsza. Hermetyczne, zamknięte rządy monopartii, wspieranej przez psychopatyzujący elektorat zemsty, uwiarygodniane biernością większości zagrożonej społecznym ostracyzmem stymulowanym przez media. Czyli znowu Polacy staną przed wyborem mniejszego zła. I co? Może wybiorą PiS następnym razem? Tertium non datur? Czyli już nie wyjdziemy z tego chocholego tańca? Czyżby przyszło nam wybierać znowu mniejsze zło, ale już nie na poziomie wyboru między braunowską dżumą a cholerą? Przyjdzie głosować na PiS, żeby uchronić Polskę przed rozniesieniem. Paradoks, bo przecież to sam PiS hodował to towarzystwo i wypuścił z opozycyjnych klatek.

**Każda następna walka o władzę będzie walką o życie jej uczestników. I przegranych, i wygranych**

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# DeSUVizacja motoryzacji?

FOT. ADOBE STOCK

*Łukasz Zboralski*

**Za dwa lata każdy posiadacz spalinowego samochodu będzie płacił dodatkowy podatek. Dla cięższych samochodów ma być on większy – tak rząd chce pozbywać się z dróg SUV-ów**

Podatek od samochodów spalinowych wprowadzi obecny rząd, ale to nie jego pomysł – to Zjednoczona Prawica zobowiązała się do tego, by dostać unijne pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Taki zapis znalazł się w dokumencie przygotowanym przez rząd Mateusza Morawieckiego: „Planuje się wprowadzenie nowych przepisów mających na celu ograniczenie emisji pochodzących z transportu. Planowana opłata i podatek uzależnione będą od emisji $CO_2$ lub NOx, a ich wysokość zależna będzie od poziomu szkodliwych emisji danego pojazdu – zgodnie z zasadą »zanieczyszczający płaci więcej«. Planuje się, że opłata rejestracyjna zostanie wprowadzona do końca 2024 r.".

Oczywiście od tego, że ktoś zanieczyszczający powietrze zapłaci podatek, powietrze nie zrobi się czystsze. Dlatego żeby opłata ta miała sens, musi wywołać jakąś zmianę. I wiadomo jaką: podatek ma zniechęcać do posiadania najstarszych samochodów, których normy emisji są najgorsze. Tak przynajmniej zaplanowano na poziomie unijnym.

Jak to zadziała w Polsce? Tu trzeba by sięgnąć do statystyk dotyczących wieku pojazdów. Tych nigdy prawidłowo nad Wisłą nie podawano, bo państwowa baza CEPiK zawiera w sobie „martwe dusze" (czyli auta, których z pewnością dawno już nie ma i nie poruszają się po naszych drogach). Dopiero w tym roku baza ma zostać wyczyszczona.

Dlatego ze statystyk Eurostatu jeszcze np. w 2019 r. wynikało, że to w Polsce jest najwięcej samochodów, których wiek przekracza 20 lat – ma ich być rzekomo 37 proc. To oczywiście nie są dane rzetelne.

Trochę bardziej realne dane o parku samochodów w Polsce podało w tym roku ACEA (Europejskie Stowarzyszenie Producentów Pojazdów). Z tego raportu wynikało, że średni wiek 252 mln samochodów osobowych poruszających się po unijnych drogach to 12,3 roku. W tym zestawieniu Polska nie była już umieszczona jako kraj z najstarszymi samochodami. Średni wiek pojazdów u nas oszacowano na 14,9 roku i lokuje to nas w drugiej połowie europejskiej stawki, ale średnio auta w podobnym



eprasa.pl a97f8a3e85

wieku mają Litwini (14,7 roku) i Słowacy (14,7 roku). Starszymi samochodami od nas jeżdżą Czesi (15,9 roku), Rumuni (14,9 roku), Łotysze (15,2 roku) i Estończycy (16,6 roku).

## ZAPŁACĄ NAJBIEDNIEJSI

Nawet jeśli urealnione dane z Polski pokażą w końcu, że mamy średnio jeszcze młodsze samochody, to nadal osób posiadających te najstarsze będzie niemało. I jeśli nowe opodatkowanie ma wypchnąć te pojazdy z rynku, to czyj to będzie problem? Tu nie może być innego wniosku – będzie to największym zmartwieniem dla najbiedniejszych Polaków, których stać na najgorsze (czyli też najstarsze) samochody. Podwójnym problemem będzie to, że skarceni podatkiem „od trucia" zostaną przede wszystkim rodacy mieszkający w mniejszych ośrodkach. Bo nie tylko są relatywnie mniej zamożni, lecz także nie mają innego sposobu, by poruszać się po swojej okolicy. Transport publiczny w Polsce zamarł i samochód jest jedynym sposobem, by np. w ogóle móc pracować.

Podatek byłby więc zupełnie innym mechanizmem niż strefy czystego transportu (pierwszą wprowadza Warszawa), które rzeczywiście eliminowałyby samochody wydzielające najbardziej zanieczyszczone spaliny z centrów miast, do których relatywnie łatwo dojechać innymi środkami transportu.

Nie ma więc wątpliwości, że „odtrute" zostaną najpierw portfele najbiedniejszych. Otwarte pozostaje pytanie, jak bardzo będzie chciał ich nacisnąć polski rząd – który nie ma obecnie dobrego pomysłu na odtworzenie publicznego transportu (nie miały go zresztą wszystkie poprzednie ekipy). Każdy kraj może zadziałać z nadmierną gorliwością albo tak, by jak najmniej zaszkodzić własnym obywatelom przy spełnianiu unijnych zobowiązań. W Polsce, niestety, często rządy promowały rozwiązania nadgorliwie.

## DROŻSZA REJESTRACJA JUŻ ZA ROK

Pierwsze deklaracje brzmią optymistycznie, choć tylko na krótką metę. Polska zobowiązała się bowiem do dwóch rodzajów opodatkowania – większa ma być opłata dla spalinowych samochodów po raz pierwszy rejestrowanych w naszym kraju oraz ma istnieć też cykliczna, coroczna danina od posiadania takich samochodów.

W KPO terminy zapisano tak: „Opłata rejestracyjna zostanie wprowadzona do końca 2024 r., a podatek od posiadania pojazdu do końca II kwartału 2026 r. Działanie to ma na celu zmniejszenie liczby najbardziej emisyjnych pojazdów i promocję niskoemisyjnych środków transportu. Środki pozyskane z ww. opłat przeznaczone będą na rozwój niskoemisyjnego transportu zbiorowego, który ograniczy zjawisko wykluczenia transportowego".

Wiadomo już jednak, że podatek od rejestracji wejdzie dopiero w przyszłym roku. Ujawnił to w rozmowie z „Rzeczpospolitą" wiceminister klimatu i środowiska Krzysztof Bolesta. Zapowiedział jednocześnie, że danina od samego posiadania samochodu zacznie obowiązywać od 2026 r.

**14,9 roku**

**NA TYLE ACEA OSZACOWAŁA ŚREDNI WIEK SAMOCHODU OSOBOWEGO W POLSCE W 2024 R.**

To, co najbardziej interesuje właścicieli pojazdów, to oczywiście stawki tych podatków. Niestety, to jeszcze niewiadoma. Choć wcześniej spekulowano w prasie, że podatek od posiadania samochodu spalinowego (objęte nim zostać miałyby też hybrydy, bo w końcu posiadają również spalinowy silnik) może wynieść od 5 do 18 proc. wartości auta. Nie ma na to jednak żadnego potwierdzenia, resort klimatu wciąż nie podjął decyzji o skali opłat.

Wiadomo już za to, że polskim urzędnikom marzy się wariant francuskiej wojny z konkretnymi modelami samochodów. Wiadomo, że podatek może być oparty na normach Euro czy po prostu skali emisji $CO_2$. Jednak nie tylko.

„Można i tak, i tak. Będę proponował dodanie jeszcze jednego elementu, mianowicie wagi. Problem z dużymi SUV-ami narasta, SUV-izacja motoryzacji to bardzo złe zjawisko. Jeśli będzie można zmusić właścicieli tych samochodów do wzięcia, przynajmniej finansowo, większej odpowiedzialności za zajmowanie większej przestrzeni, to skłaniałbym się do tego, by to zrobić" – zapowiedział w „Rz" wiceminister Bolesta.

I tak jak w przypadku SCT podatek w Polsce będzie wycelowany w coś zupełnie innego niż np. regulacje przyjęte niedawno we Francji. W lutym w Paryżu odbyło się bowiem referendum w sprawie opłat parkingowych dla SUV-ów. Powód? To są samochody większe gabarytowo – zajmują więc więcej miejskiej przestrzeni. Większa ich masa potrzebuje też większych jednostek napędowych, które spalają więcej paliwa – czyli zanieczyszczenia też mogą być większe. Paryżanom pozwolono zdecydować w referendum, czy parkowanie tych samochodów powinno kosztować więcej niż zwykłych osobówek. Większość uznała, że tak być powinno. Choć należy zauważyć, że w samym referendum udział wzięło niecałe 6 proc. uprawnionych do głosowania (widocznie większość mieszkańców sprawa ta mało obchodziła). Od jesieni w Paryżu parkowanie SUV-a kosztować będzie w samym centrum 18 euro za godzinę, a w pozostałych częściach – 12 euro (to trzykrotnie więcej niż poprzednio).

A w Polsce? Jeśli zostaną zrealizowane deklaracje przedstawiciela resortu klimatu, to dodatkowa opłata uderzy w każdego posiadacza SUV-a – nawet w tych, którzy nie jeżdżą nimi po centrach dużych miast, tylko używają ich w swoim gospodarstwie domowym pod lasem na małej wsi. I choć osobiście nie jestem fanem SUV-ów (nie mają żadnych zalet użytkowych poza tym, że płaci się za nie więcej, trudniej nimi parkuje i przepala więcej paliwa, a w dodatku w polskich realiach często przekraczają wagę 2,5 t, co oznacza, że nie wolno nimi zaparkować na części chodnika), to doprawdy nie potrafię dostrzec w zapowiedziach ministerialnych sensu.

No, chyba że Polska w ogóle chce wyprzeć SUV-y z dróg. Byłoby to zaskakujące. Bo akurat ten segment samochodów zdominował całą motoryzację (czy to nam się podoba czy nie). Dość powiedzieć, że w 2023 r. już ponad połowę pojazdów sprzedanych w Europie stanowiły właśnie SUV-y.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Dwoje bez dzieci

Zuzanna Dąbrowska

**DINK, czyli Double Income No Kids, to stosunkowo nowy, zyskujący na popularności model życia, w którym para wyklucza posiadanie dzieci. Powodami są najczęściej chęć wydawania pieniędzy tylko na swoje zachcianki oraz strach przed „utratą wolności"**

Jesteśmy DINKs, mamy snobistyczne hobby, jak jazda na nartach i golf. Jesteśmy DINKs, możemy w każdej chwili spontanicznie pojechać na Florydę. Jesteśmy DINKs, już teraz planujemy przyszłoroczne wakacje w Europie. Jesteśmy DINKs, w nocy przesypiamy pełne osiem godzin, a czasami nawet więcej. Jesteśmy DINKs, możemy bawić się z obcymi dziećmi, ale później oddać je rodzicom. Jesteśmy DINKs, i wciąż robimy „to" trzy razy w tygodniu. Jesteśmy DINKs i przeznaczamy nasz dochód rozporządzalny na latte za 8 dol. Jesteśmy DINKs, nie używamy dziecka jako wymówki, aby urwać się wcześniej z imprezy, po prostu wychodzimy – tak zalety życia w systemie „podwójnego dochodu bez dzieci" opisuje jedna z tiktokowych, ok. 30-letnich par. Inna wskazuje, że dzięki braku potomstwa może codziennie wieczorem jeść na mieście i nie prosić rodziny o wsparcie finansowe ani o pomoc w opiece nad dzieckiem.

Chwalenie się życiem w stylu DINK stało się popularne szczególnie w amerykańskim Internecie. Pary pokazują wyjścia do kina, podczas których można skupić się na filmie, a nie na marudzącym dziecku, i nie trzeba oszczędzać na przekąskach. Wolna sobota, kiedy można spać do godz. 10, później wylegiwać się do 12, a resztę dnia spędzić w knajpie i na oglądaniu filmów to niemalże bożek DINK.

– Mam 34 lata, od dziewięciu jestem mężatką. Postanowiliśmy nie mieć dzieci, ponieważ jedną z najważniejszych wartości jest dla nas wolność. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, zakochaliśmy się w tym, jak niezależni oboje byliśmy i jak bardzo zaangażowani w rozwój naszych karier i celów – opowiada tiktokerka Sana Akhand, która zajmuje się „duchowym mentoringiem". – Miałam wtedy 24 lata i zdecydowaliśmy, że nie chcemy mieć dzieci. Jednocześnie miałam świadomość, że jestem bardzo młoda i mogę zmienić zdanie, więc moje stanowisko nie było definitywne. Mijał czas, widzieliśmy, jak nasi znajomi mają dzieci, także moje rodzeństwo i to wzmocniło decyzję o nieposiadaniu potomstwa. Zobaczyliśmy, jak bardzo dziecko zmienia życie, a ja i mój mąż mamy je cudowne. Robimy, co chcemy. Nawet podczas naszego szczęśliwego małżeństwa mieszkaliśmy w osobnych mieszkaniach w Nowym Jorku, później przeprowadziliśmy się do Los Angeles, kupiliśmy dom, teraz go wynajmujemy i wracamy do NYC z powodu pracy. Możemy skupić się na karierze. Nie jest tak, że nie możesz robić tych rzeczy, gdy masz dziecko, ale dzieci są drogie. Nie wiem, czy bylibyśmy właścicielami domu, mając 30 lat, gdybyśmy mieli dzieci. Nie wiem, czy moglibyśmy tak dużo podróżować. Rodzice nas obojga to imigranci, którzy pracowali tak niesamowicie ciężko, by móc zapewnić minimum godnego życia nam, swoim dzieciom. Przez to oboje czuliśmy się zaniedbani. Dziecko zasługuje, aby przyjść na świat dla rodziców, którzy są stuprocentowo podekscytowani rodzicielstwem i w nie zaangażowani. Zasługuje, aby jego potrzeby były na pierwszym miejscu – przekonuje Akhand.

## DECYZJA BIZNESOWA

„DINKs są często celem działań marketingowych finansowych produktów inwestycyjnych i producentów dóbr luksusowych, ponieważ zwykle mają wyższe dochody do dyspozycji. Istnieje kilka rodzajów sytuacji, w których para z dwoma pensjami nie ma dzieci – to pary z krótkim stażem, które jeszcze nie zdecydowały się na potomstwo; tzw. puste gniazda, czyli małżeństwa, które odchowały już dzieci i mogą się skupić na sobie, a także inne pary bezdzietne (borykające się z bezpłodnością oraz jednopłciowe). Kiedy dwie osoby w gospodarstwie domowym uzyskują dochody i nie mają dzieci, które muszą utrzymać, mogą przeznaczyć więcej pieniędzy na cele finansowe, takie jak oszczędzanie. Mają też do dyspozycji większy rozporządzalny budżet, pozwalający na niepotrzebne wydatki" – tak o DINK pisze serwis Investopedia. Według badania Brookings Institution na wychowanie do 17. roku życia dziecka urodzonego w 2015 r. amerykańska rodzina o średnich docho-



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADOBE STOCK

dach przeznaczy ok. 310 tys. dol. Z kolei z szacunków Departamentu Rolnictwa USA wynika, że kwota ta to ponad 233 tys., jednak nie uwzględnia ona inflacji (w styczniu 2024 r. 3,1 proc. r/r). Sumy te są przywoływane w opracowaniach opisujących powody popularności trendu DINK jako argument za wyborem takiej drogi.

Obserwując amerykańskie portale, szczególnie te zajmujące się usługami finansowymi, można odnieść wrażenie, że posiadanie dzieci stało się decyzją biznesową. Wiele jest zestawień plusów i minusów założenia rodziny większej niż 1 + 1 (ewentualnie plus kot). Wśród zalet wymieniane są wspomniane wcześniej korzyści finansowe i możliwość kontynuowania wygodnego stylu życia. Ciekawsze jest jednak to, o jakich problemach mówi się w kontekście DINK. Pierwszy to „zagrożenie nadmiernymi wydatkami na podróże i luksusy zamiast oszczędzania i inwestowania". Kolejny – „pary DINK mogą mieć wyższe dochody i muszą płacić wyższe podatki". Tak więc argumentem za posiadaniem dzieci są ulgi podatkowe, czyli znowu decyzja biznesowa.

## NIEIDEALNY STAN

Tak jak serwisy chętniej wskazują na zalety bycia DINK (instytucje finansowe zarabiają więcej na parze, która nie wydaje pieniędzy na pieluchy i śpioszki), tak samo osoby żyjące w takim trybie znacznie rzadziej mówią o trudnościach. Jednak można znaleźć i takie świadectwa. – Jesteśmy DINKs, to oczywiste, że wszyscy ciągle pytają nas, kiedy będziemy mieć dzieci. Jesteśmy DINKs, to oczywiste, że wszyscy uważają, że jesteśmy materialistami. Jesteśmy DINKs, to oczywiste, że zastanawiamy się, czy podjęliśmy najlepszą decyzję. Jesteśmy DINKs, to oczywiste, że czasami martwimy się o starość – słyszymy na jednym z tiktokowych nagrań. Trzeba podkreślić, że choć nadanie samemu sobie łatki „DINK" to najczęściej wybór podyktowany wymiernymi korzyściami materialnymi, to niekiedy jest następstwem biologicznej niemożności powiększenia rodziny. Wejście w ten styl życia może pomóc pragnącej parze dziecka w złagodzeniu bólu poprzez utożsamienie się z popularnym nurtem lifestyle'owym.

Innym problemem, o którym warto wspomnieć, opisując zjawisko, jest poczucie osamotnienia DINKs. Na pewnym etapie może się okazać, że podróże i weekendowe swawole są przyjemne, ale życie zaczyna „odjeżdżać". – Moje szczere pytanie do par DINK i proszę nie oceniajcie mnie, jeśli się mylę, poprawcie mnie. Byłam w tego rodzaju związku przez pięć lat. Wszyscy wokół mnie brali śluby, mieli dzieci, podejmowali ważne decyzje życiowe. Imprezy typu baby shower czy gender reveal [ujawnienie płci dziecka – przyp. Z.D.]. Zawsze cieszyliśmy się razem z nimi, przychodziliśmy z prezentami. I kiedy to w końcu my zrobiliśmy ważny krok, zaręczyliśmy się, to nie dostaliśmy w zamian takiego samego entuzjazmu od naszych znajomych. Czy to źle, że czuję się urażona? – pyta doktorantka Lynn, która na TikToku promuje sztuczki pomagające w bardziej efektywnej nauce. W komentarzach można znaleźć dość obrazowy, ale słuszny przykład – odbierający dyplom absolwent studiów wyższych oczywiście cieszy się, gdy jego młodszy brat zdaje z jednej klasy do drugiej, ale trudno wymagać, aby go za to podziwiał i skakał z ekscytacji.

Co ciekawe, DINK to tylko jedna z odnóg nowoczesnych sposobów życia. Inną z nich jest SINK, czyli „pojedynczy dochód, bez dzieci" – pisząc najprościej to singiel, który nie chce mieć ani potomstwa, ani partnera. Jest także DINKY – „double income, no kids yet" – para, która mając dwie pensje, na razie nie chce dzieci, choć nie wyklucza ich w przyszłości. Z kolei GINK – „green inclinations, no kids" – to singiel lub para, która nie chce mieć potomstwa ze względu na ich rzekomy zły wpływ na klimat. DINWAD, czyli „double income, no kids, with a dog", oznacza parę z podwójnym dochodem, bez dzieci... ale z psem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Dobra robota

Piotr Gociek

**Dla ludzi upartych, pracowitych, obdarzonych talentem i wyobraźnią nie ma przeszkód nie do pokonania. Hollywood jeszcze czasem o nich opowiada – szkoda, że coraz rzadziej**

Możesz być piratem, możesz być rekinem – ale jak radzić sobie w biznesie, kiedy nie masz w sobie ani talentów łupieżcy, ani ducha krwiożerczej bestii? „BlackBerry" Matta Johnsona to opowieść o sojuszu, jakich wiele: goście od kreacji i innowacji łączą siły z bezlitosnym, wyrachowanym graczem, który wie, że kapitalizm nie jest dla mięczaków. Historia mniej więcej wydarzyła się naprawdę; jest to opowieść o szybkim wzlocie i gwałtownym upadku firmy, która swego czasu kontrolowała 45 proc. rynku. Dziś kontroluje zero, gdyż telefony BlackBerry nie są już produkowane.

Znany brand jako pretekst do nakręcenia fabuły? Nie powinniśmy być zdziwieni. Skoro można było nakręcić biografię pani, która wymyśliła mopa („Joy" z 2015 r., z Jennifer Lawrence), to można wszystko. Nie każdy bohater musi być geniuszem jak Steve Jobs, twórca potęgi Apple. Wystarczy swym przedsięwzięciem odcisnąć ślad na życiu codziennym pokolenia albo kilku pokoleń. Michael Keaton zagrał więc w „McImperium" (2016) założyciela sieci McDonalds,



eprasa.pl a97f8a3e85

„BlackBerry" Matta Johnsona to opowieść o sojuszu, jakich wiele: goście od kreacji i innowacji łączą siły z bezlitosnym, wyrachowanym graczem, który wie, że kapitalizm nie jest dla mięczaków FOT. MATERIAŁY PRASOWE

a „Flamin' Hot: Smak sukcesu" (2023) to oda ku czci woźnego z firmy Frito Lay, który ubogacił kulturę światową pomysłem na produkcję chrupek Flamin' Hot Cheetos. I tak dalej.

## ZGRANE TRIO

Oczywiście produkt czy znana marka nie mogą być głównym tematem, potrzebni są ciekawi bohaterowie. W „BlackBerry" (dostępny m.in. w Canal+ Online i Playerze), jednym z najlepszych filmów kanadyjskich ostatnich lat, dostajemy ich trzech. Mike Lazaridis (Jay Baruchel) i Doug Fregin (gra go sam reżyser, Matt Johnson) to duet typowy dla opowieści o komputerowych geekach. Równie dobrze mogliby trafić do sitcomu „Teoria wielkiego podrywu" – Lazaridis rzeczy niemożliwe wymyśla od ręki, ale fatalnie wypada w relacjach międzyludzkich. Fregin ma umysł jak brzytwa, ale zachowuje się jak przerośnięty dzieciak: trzyma na komputerze przepychacz do toalet, a za swoje główne zadanie w życiu codziennym firmy uważa organizowanie wieczorów filmowych (chipsy plus „Poszukiwacze zaginionej Arki"). Pomysły mają kapitalne – np. w odróżnieniu od konkurencji wiedzą, jak zintegrować telefon komórkowy z komputerem i stworzyć całkiem nową kategorię produktów – ale potrzebny jest jeszcze ktoś, kto wie, jak to sprzedać. Oglądaniem Harrisona Forda nie zbuduje się firmy giganta.

I oto na scenę wkracza Jim Balsillie (kapitalna rola Glenna Howertona), ambitny i bezwzględny gość opętany marzeniem o wielkiej karierze, jeszcze większych pieniądzach i posiadaniu na własność klubu NHL. Nie wie, co to „Gwiezdne wojny", ale doskonale się orientuje, kiedy biznesowi partnerzy próbują cię oszukać, a konkurenci zorganizować wrogie przejęcie. Trio nie musi się lubić, najważniejsze, żeby wszystko zadziałało. I działa – marka BlackBerry staje się potęgą, dolary płyną strumieniami. Film Matta Johnsona nie jest jednak kolejną optymistyczną historią sukcesu – jak choćby „Air" w reżyserii Bena Afflecka (o czym więcej później). „BlackBerry" oddaje raczej niepokój i nieustanne napięcie towarzyszące robieniu biznesu, zdjęcia z ręki przywodzą na myśl dokument, relacje międzyludzkie natomiast takie klasyki jak „Glengarry Glen Ross" czy dramaty o Wall Street. Wszyscy biegną po ostrzu, w stawie zawsze znajdzie się większa ryba, kłopoty czekają za każdym rogiem za sprawą konkurencji, chciwości czy własnych źle ulokowanych ambicji. A zdrada to tylko inny sposób robienia pieniędzy.

## LIST MIŁOSNY DO LAT 80.

Wszystko to sprawia, że „BlackBerry" zajmuje ważne miejsce jednocześnie w dwóch nurtach kinowych opowieści. Z jednej strony to mocna przypowieść o kulisach korporacyjnego kapitalizmu. Z drugiej – jeszcze jedna historia ku czci magików od procesorów, którzy stworzyli nowoczesność, kolejna wycieczka do świata, który znamy z serialu „Halt and Catch Fire" czy filmów o nowatorach z Krzemowej Doliny. Za sprawą tych produkcji obiektami hollywoodzkich hołdów stają się już nie tylko tak znane figury jak Jobs, Wozniak czy Gates, lecz także ludzie, o których, gdyby nie poświęcony im film, mało kto miałby szansę usłyszeć. Przykładem jest choćby „Projekt Koliber" („The Hummingbird Project") Kima Nguyena z roku 2018. Opowiadał o tym, jak dwóch przedsiębiorczych i żądnych zysku osobników (Vincent i Anton Zaleski) walczy o położenie kabla światłowodowego z Kansas do New Jersey, żeby o milisekundę szybciej od innych składać zlecenia na giełdzie. Jak mówi stara maksyma: wszystko można powiedzieć, tylko trzeba wiedzieć jak.

**„BlackBerry" to mocna przypowieść o kulisach korporacyjnego kapitalizmu oraz historia ku czci magików od procesorów**

Powracający do formy po latach kłopotów zawodowych i osobistych Ben Affleck pokazał w ubiegłym roku filmem „Air" inną historię sukcesu: uwieńczony powodzeniem bój o skaptowanie koszykarza Michaela Jordana w szeregi gwiazd promujących Nike (film oglądać można już w serwisie Amazon Prime). Affleck, chwalony za „Operację Argo" i zmiażdżony (słusznie) za „Nocne życie", odstawił butelkę i wrócił zarówno na fotel reżysera, jak i na ekran, by Damonowi partnerować. Gdyby istniała nagroda dla „najlepszej niegejowskiej pary męskiej na ekranie", bez wątpienia mogliby się o nią ubiegać. Dobrze się na ekranie uzupełniają i napędzają nawzajem.

Matt Damon wciela się w rolę podtatusiałego speca od koszykówki (Sonny Vaccaro), przed którym szefowie stawiają zadanie niemożliwe: zwiększyć sprzedaż butów koszykarskich, choć koncern, kojarzony głównie ze sprzętem dla biegaczy, nie liczy się na rynku. Adidas i Converse mają wszystko: sławę, wielkie gwiazdy i ogromną sprzedaż. Nike konsumuje resztki, mało który



eprasa.pl a97f8a3e85

„Air" jest też rzadkim we współczesnym Hollywood listem miłosnym do wspaniałych lat 80. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z młodych obiecujących sportowców ma ochotę wiązać się z outsiderami. Jak mówi bluesowy standard Jimmiego Coxa: „Nobody Knows You When You're Down and Out".

Dla ludzi upartych, pracowitych i obdarzonych talentem nie ma jednak przeszkód nie do pokonania. Na pozór cała historia bardziej nadawałaby się na parodię, film Afflecka niebezpiecznie zbliża się do komedii, gdy projektant Nike pokazuje model butów Air Jordan, jakby wyciągał z niebytu Świętego Graala, ale przecież nie o butach, nie o koszykówce i nie o wielkich pieniądzach jest to tak naprawdę opowieść. Chodzi o zaufanie do drugiego człowieka, chodzi o przypomnienie, że nawet w świecie koncernów wciąż nieuchwytny – i tak wspaniały – pozostaje ludzki element, którego nie są w stanie zasymulować najlepsze algorytmy. Wedle raportów sprzedaży i słupków w Excelu pan Vaccaro powinien wylecieć na zbity pysk, a jego kolejne pomysły są, według wytrawnych szefów (z zawodu dyrektorów), drogą do zmarnowania kolejnych pieniędzy. Może i tak, ale wyliczenia nie pokazują wszystkiego. Dlatego piękna jest scena, kiedy grany przez Bena Afflecka twórca potęgi Nike, czyli Phil Knight, podejmuje ryzyko i mówi, że zrobił to, bo tak właśnie stworzył swoją firmę. Na tym polega różnica – doświadczeni CEO są dobrzy, gdy trzeba zarządzać, ale nie wtedy, gdy trzeba kreować.

„Air" jest też rzadkim we współczesnym Hollywood listem miłosnym do wspaniałych lat 80., które zwykle są ukazywane przez tamtejszych liberałów jako mroki reaganizmu (w kinie brytyjskim – mroki thatcheryzmu). Tymczasem sekwencja otwierająca film Afflecka jest wspaniała, czuć w niej energię złotej ery kapitalizmu reaganowskiego. Nie dlatego, że Gordon Gekko „Wall Street" nauczał, iż „chciwość jest dobra", lecz dlatego, że powraca do nas powiew optymizmu w duchu „sky is the limit". Może było to złudzenie, ale było to piękne złudzenie.

Co ciekawe, i „BlackBerry", i „Air", choć wychwalane jako jedne z najlepszych filmów minionego roku, nie znalazły jakoś przychylności w rozmaitych gremiach, gdy przyszedł czas ogłaszania nominacji do rozmaitych nagród. Niemodne jest dziś sławienie przedsiębiorczości i oryginalności, ciężkiej pracy i uporu – żyjemy w czasach akcji afirmatywnych, kwotowych ustaleń, ile i jakich mniejszości ma pojawić się na ekranie, a ci, którzy wywiązują się z tych zdań odpowiednio, mogą liczyć na laury i poklask. „Białe filmy o problemach białych ludzi" nie mają szans. Na szczęście wciąż publiczność może wydawać własne werdykty. W tych stuprocentowo amerykańskich opowieściach jest i miejsce na morał – wszak Amerykę zbudowano na jankeskim materializmie i purytańskiej religijności. I, co ważne, nigdy nie są to opowieści o sukcesie za wszelką cenę. Bo sukces za wszelką cenę nie jest sukcesem, lecz katastrofą – i dla tego, który do niego dąży, i dla tych, którzy staną na jego drodze.

„BlackBerry" był skromną produkcją niezależną; „Air" to nieduży film, niesiony przez charyzmę aktorów (prócz Bena Afflecka i Matta Damona także świetny Chris Tucker), tymczasem ubiegły rok przyniósł również prawdziwą superprodukcję w podgatunku „ludzie dobrej roboty" – chodzi o „Ferrari", najnowszy film Michaela Manna. Mann nie kręci filmów zbyt często, a kiedy już staje za kamerą, ma ku temu jakiś poważny powód. A stumilionowy budżet (w dolarach, rzecz jasna) czyni z niego, w porównaniu, superprodukcję.

W biograficznej opowieści o Enzo Ferrarim znajdujemy dopełnienie kinowych „historii sukcesu wybitnych jednostek" o element tragedii i winy. Nie jest to historia życia słynnego rajdowca, Mann rzuca światło na wycinek jego losów. I pokazuje dokładnie ten fragment, do którego pasuje zdanie, które sformułowałem powyżej: sukces za wszelką cenę nie jest sukcesem, lecz katastrofą. Ambicje pana Ferrari (skądinąd świetna rola Adama Drivera) skończą się źle i w życiu rodzinnym, i na torze wyścigowym. Z jednej strony trudno mu nie kibicować, z drugiej – trudno go nie potępiać. Film opowiedziany jest nieśpiesznie, znanym z innych filmów Manna rytmem, ale sekwencje akcji są oszałamiające, a całość, niczym włoski produkt de luxe, zachwyca stylem. Lada dzień „Ferrari" trafi do streamingu, najpewniej do Amazona, więc wszyscy, którzy przegapili film w kinach, będą mogli sobie zafundować domowy seans. Co nie zmienia faktu, że najlepiej takie kino ogląda się na dużym ekranie.

## LUDZIE, KTÓRZY MAJĄ RACJĘ

Łączy te wszystkie opowieści to, że twórcy nie biją się w cudze piersi, że w dziejach zmagań o sukces biznesowy, technologiczny czy rajdowy znajdują elementy głęboko ludzkie – i są to elementy kluczowe. A my chcemy oglądać facetów, który biorą swój los w swoje ręce i próbują zmieniać świat. Ludzie dzielą się bowiem na tych, którzy chcieliby wszystko robić tak jak inni, i na tych, którzy chcieliby czegoś innego. Ci ostatni nie zawsze mają rację, ale gdy wzlatują – wzlatują wysoko. Ci, którzy zawsze podążają za innymi, mogą sobie kupić buty Air Jordan, ale i tak zawsze będą maszerować w takt cudzej muzyki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

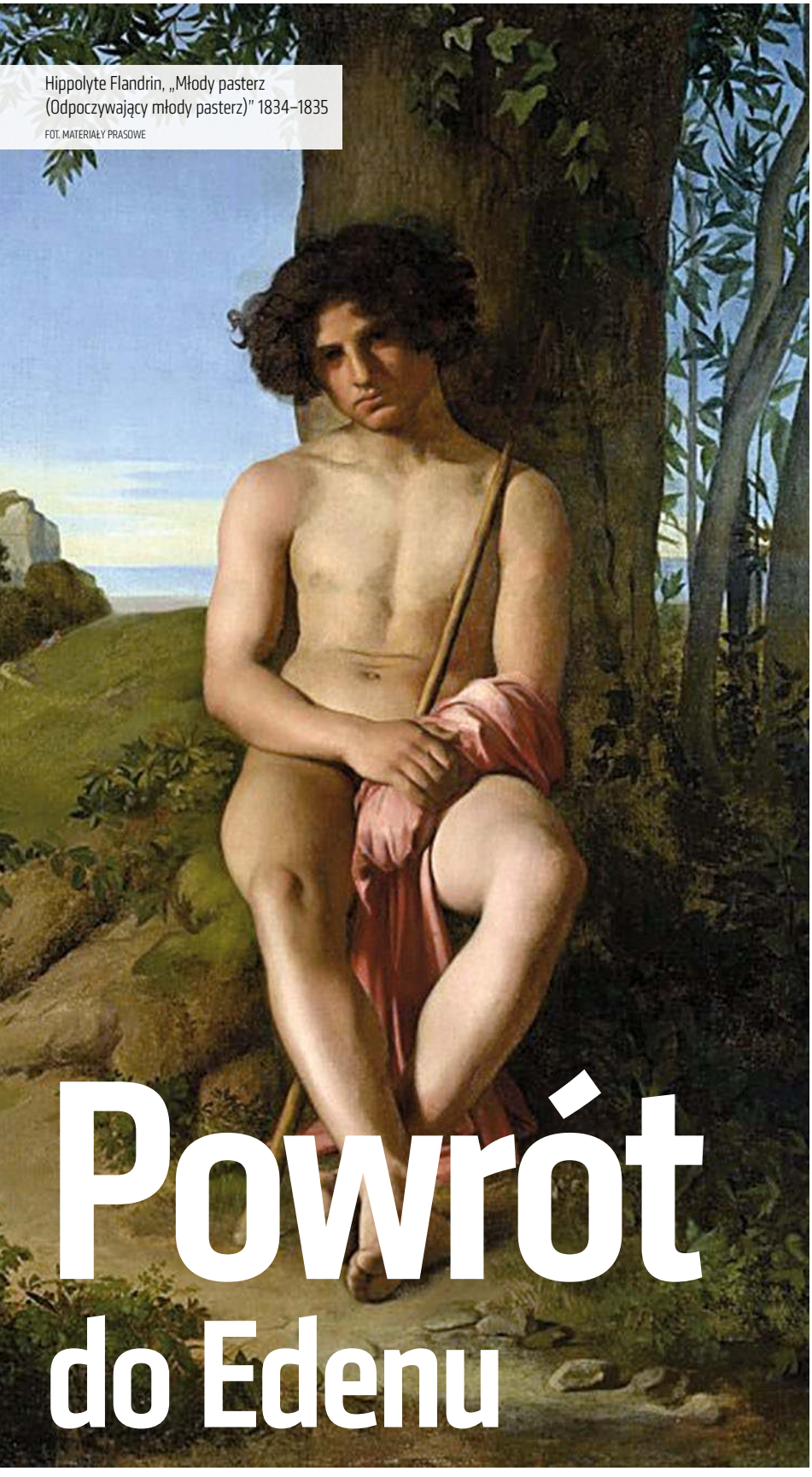

Hippolyte Flandrin, „Młody pasterz (Odpoczywający młody pasterz)" 1834–1835

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Powrót do Edenu

*Wiesław Chełminiak*

**Mit złotego wieku jest obecny w kulturze od zawsze. Wierzymy, że kiedyś było lepiej, tęsknimy do Pól Elizejskich, Wysp Szczęśliwych, epoki słodkiego lenistwa, w której człowiek żył w harmonii z naturą i w zgodzie z innymi ludźmi**

Od legendarnych ogrodów Hesperyd, sielanek Teokryta i krainy pieczonych gołąbków do hippisowskich komun oraz idei slow life. Od ojczyzny nimf, faunów, elfów i hobbitów do rajskich plaż. Arkadia to ucieczka od miejskiego hałasu, chaosu i pośpiechu w wiejskie lub leśne ustronie, marzenie o wiecznej młodości i miłości. Kuratorów wystawy w stołecznym Muzeum Narodowym nie przeraziła obszerność tematu, wałkowanego w literaturze i sztuce już od dwudziestu kilku wieków. A może powinna?

Prawdziwa grecka Arkadia jest skalista i jałowa. Mitotwórcom nie chodziło jednak o krainę realną, lecz wyobrażoną, omijaną przez kaprysy aury i drapieżne stworzenia. Nikt tam nie głodował, nie pracował ponad siły i nie parał się polityką, lecz co najwyżej filozofią. Z bóstw najwyżej ceniono Bachusa i Wenus, patronów muzyki, tańca i zmysłowych rozkoszy. Natura ludzka jest przekorna, więc eskapistyczne wizje często stawiano pod pręgierzem. Ripostą na utopię były dystopie, przesadny sentymentalizm prowokował szyderców.

Mimo to bukoliczne narracje nadal są żywe: notorycznie sięgają po nie branża reklamowa tudzież polityczna propaganda. Na wystawie – oprócz „Dziwnego ogrodu" Józefa Mehoffera, dzieł Henryka Siemiradzkiego (speca od rzymskich sielanek), piewców Kresów i szlacheckich dworków – znalazły się także stalinowskie plakaty. Jako że oblicza szczęścia są różne, muzeum ostrzega, iż „wystawa zawiera treści, które mogą zostać uznane za nieodpowiednie dla dzieci i młodzieży".

## SMAK WŁOSZCZYZNY

Północna Europa tkwiła jeszcze obiema nogami w średniowieczu, gdy



eprasa.pl a97f8a3e85

elity Italii rozpoczęły realizację projektu „powrót do antyku". Książęta i kościelni dostojnicy ściągali na swe dwory erudytów, artystów i uczonych rozmiłowanych w strofach Wergiliusza, Horacego czy Owidiusza. Jak grzyby po deszczu rosły sztuczne raje: pałacowe ogrody i wiejskie rezydencje.

Wkrótce uczniowie prześcignęli starożytnych mistrzów, a fama o urodzie i wspaniałym klimacie Włoch dotarła do najdalszych kresów Europy. Malowniczy kraj, usiany pomnikami idealizowanego imperium rzymskiego, zaczął jawić się jako ojczyzna piękna. Podróżni przekraczający Alpy oczami wyobraźni widzieli Arkadię, zanim jeszcze wiatr rozgonił poranne mgły. Fascynacja miała również swój merkantylny wymiar. Nawet artyści, którzy nigdy na Półwysep Apeniński nie dotarli, jęli produkować konterfekty nowego Edenu.

Wizyty w Wenecji, we Florencji i w Wiecznym Mieście stały się obowiązkowymi punktami grand tour, edukacyjnych eskapad, w które wysyłały synów magnateria i bogata szlachta. Italofilia kwitła również nad Wisłą. W pierwszej Rzeczypospolitej Włosi cieszyli się opinią najlepszych malarzy, rzeźbiarzy, architektów, muzyków i poetów. Jan Zamoyski studia rozpoczął w Paryżu, ale skończył w Padwie, a po powrocie zapragnął stworzyć namiastkę renesansowego miasta w swych dobrach na Lubelszczyźnie.

## PARYSKA ORGIA

Lwia część eksponatów warszawskiej wystawy pochodzi z własnych zbiorów Muzeum Narodowego. Luki uzupełniono artefaktami sprowadzonymi z Francji. Ma to sens, gdyż arkadyjskie wizje najobficiej pleniły się na dworze Burbonów. Claude Gellée, bardziej znany jako Le Lorrain, wynalazł nowy gatunek: pejzaż pastoralny. Taki tytuł nosi zresztą obraz z 1644 r., przywieziony z muzeum w Grenoble. Pasterz w wawrzynowym wieńcu na głowie gra na flecie, w oddali widać słynne antyczne budowle: most Mulwijski w Rzymie i ruiny świątyni Westy tudzież otoczoną parkiem renesansową willę d'Este w Tivoli. Rok później w podobnych okolicznościach przyrody raczyła się sportretować Maria Ludwika Gonzaga, która później została królową Polski.

François Boucher, „Uroki wiejskiego życia", 1735–1740 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Idea ogrodu, będącego egzemplifikacją „boskiego porządku", ewoluowała. Styl geometryczny, nakazujący, by w każdym zakamarku czuło się rękę projektanta, dobrze odzwierciedlał ambicje kard. Richelieu i „Króla Słońce". Z czasem jednak idealnie proste alejki, labirynty z bukszpanu oraz tarasy ozdobione fontannami i rzeźbami się znudziły. Parki krajobrazowe, sztuczne ruiny, wodospady, „świątynie dumania" i egzotyczne niespodzianki w rodzaju mauretańskiej wieży czy chińskiej pagody lepiej oddawały ducha nowej, płochej epoki.

**Dziś Arkadii zwykle szuka się na własną rękę. Nie jest łatwo. Dla obywateli PRL namiastką Edenu były ogródki działkowe. Wyobraźnię rozpalały dziczejące w efekcie wysiedleń Bieszczady**

Rokokowa Arkadia była idealną scenerią rozrywek francuskojęzycznych elit. Fêtes galantes (festyny wytworne) i fêtes champetres (święta wiejskie) opiewali pędzlem malarze tak utalentowani jak François Boucher i Antoine Watteau. Pierwszy stawiał na frywolność, drugi nie stronił od melancholii – być może dlatego, że chorował na gruźlicę. Flirt z buduaru przeniósł się na łono natury. Księżne udawały pastereczki (ale w jedwabnych sukniach), hrabiowie przebierali się za ogrodników, Turków lub Rosjan, jak na wypożyczonym z Angers płótnie Jeana-Baptiste'a Le Prince'a.

Pseudowiejskie i pseudoorientalne motywy zdominowały sztukę dekoracyjną. Sentymentalne sceny, odgrywane w plenerze przez błękitnokrwistych aktorów, chętnie uwieczniano w „białym złocie", czyli porcelanie. Figura szlachetnego dzikusa, któremu religia ani cywilizacja nie zaszczepiły pojęcia grzechu, rozpalała wyobraźnię lwic salonowych. Zapomniano, że Erosowi zwykle towarzyszy Tanatos. Porośnięta mchem czaszka, opatrzona napisem „Et in Arcadia ego", wkrótce przestała być jedynie nadużywanym przez malarzy symbolem przemijania. Wielu wodzirejów „wiejskich zabaw" trafiło pod gilotynę, na czele z żoną króla, Marią Antoniną. W rewolucyjnej propagandzie przedstawiano jej chęć uczynienia z ogrodów w Wersalu krainy szczęścia jako dowód moralnego upadku monarchii.

## IDYLLA NA WOŁYNIU

Polskie odnogi mitu Arkadii zasługują na osobną wystawę choćby dlatego, że bywały wielce oryginalne. Nie mam na myśli malowniczych parków, założonych koło Łowicza przez Helenę z Przeździeckich Radziwiłłową, a w Puławach przez Izabelę z Flemingów Czartoryską, ani pracującego dla obu pań naśladowcy Watteau, Jeana-Pierre'a Norblina.



eprasa.pl a97f8a3e85

Może i nasi herbowi zazdrościli Włochom klimatu (zwłaszcza w mroźnym XVII stuleciu). Zapewne imponowały im ogrody Burbonów. W głębi duszy byli jednak przekonani, że prawdziwie swobodne życie możliwe jest tylko na wsi.

Pierwsza Rzeczpospolita była de facto luźną federacją szlacheckich folwarków. Ich właściciele rzadko wyjeżdżali. Pańskie oko konia tuczy, bardziej opłacało się pilnować interesu na miejscu, lecz z konieczności rychło uczyniono cnotę. Nasi poeci – od Mikołaja Reya do Zbigniewa Herberta – nie unikali bukolicznych tonów. Czarnolas Jana Kochanowskiego, Soplicowo Adama Mickiewicza, Bohatyrowicze Elizy Orzeszkowej, Nawłoć Stefana Żeromskiego, Dolina Issy Czesława Miłosza – to najbardziej znane oblicza polskiego, szlacheckiego raju.

Jego sercem był dwór, a na polach pod czułym okiem pana krzątał się lud, któremu przypisywano wrodzoną, słowiańską łagodność.

Stanisław Trembecki, zostawszy na starość utrzymankiem targowiczanina Szczęsnego Potockiego, popełnił natchniony poemat na cześć Zofiówki. O ten gigantyczny park, założony na ukraińskim pustkowiu, dbało ponoć 200 ogrodników. Wierszokleci z młodszego, romantycznego pokolenia chętniej lokalizowali Arkadię na czarnomorskich stepach, które pachniały im wolnością. Dzika, ukraińska natura fascynowała również malarzy klasy Józefa Chełmońskiego, Leona Wyczółkowskiego czy Józefa Brandta. Centralne i zachodnie województwa z jakichś powodów nie wzbudzały takich emocji jak Wołyń i Wileńszczyzna.

## WYIMAGINOWANE WSPÓLNOTY

Ciąg dalszy nastąpił. Arkadyjskiej nici nie zerwały zabory, gdyż polska kultura (nie po raz ostatni) okazała się silniejsza od polskiego państwa. Idea mitycznej, lecz swojskiej krainy beztroski zapładniała wyobraźnię kolejnych pokoleń. Nimfy Witolda Pruszkowskiego, rusałki Jacka Malczewskiego, wiejskie korowody Zofii Stryjeńskiej, zdobiące polski pawilon na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych i Wzornictwa w Paryżu w roku 1925, to tylko najbardziej widowiskowe objawy jej żywotności.

Franz von Stuck, „Taneczny krąg", 1910 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Tańczący satyr", I–II w. po Chr., rzymska kopia rzeźby hellenistycznej z III–II w. przed Chr.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marian Wawrzeniecki, „Na świętym progu słowiańskiego uroczyska", 1920 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tymczasem Italia, zadeptywana przez turystów, zaczęła tracić swój czar. Dziewiczej Arkadii trzeba było szukać coraz dalej – w oazach na środku Sahary bądź na wyspach Pacyfiku. Chęć jak najwierniejszego oddania uroków natury doprowadziła do estetycznej rewolucji. Malarze ruszyli w plener, odkrywając przy okazji, że namiastką raju może być nawet Lasek Buloński. Gdy na Zachodzie artyści oswajali prymitywizm, u nas kwitła moda na Huculszczyznę i Zakopane. Bunt wykształconych w mieście chłopomanów na chwilę zagroził szlachecko-ziemiańskiej tradycji, ale szybko został przez nią wchłonięty.

Paul Gauguin, uważany za prekursora nowoczesnej sztuki, był niespokojnym duchem. Uganiał się za widmem Arkadii w Bretanii, Prowansji i na Karaibach. Dopiął celu w Polinezji, lecz szczęście trwało krótko. Brak pieniędzy, alkohol, morfina i choroba weneryczna, będąca skutkiem rozpustnego trybu życia, zabiły Francuza, zanim świat zdążył go docenić. Wiek XX odrobił lekcję Gauguina. Zaczęła się dekonstrukcja toposów, idealizm przestał się dobrze kojarzyć. Nowe interpretacje klasycznych mitów podkreślały tuszowane wcześniej przemoc i udrękę. Prezentowany na wystawie obraz Maxa Slevogta „Faun i dziewczyna" jest po prostu studium gwałtu.

Idea jednak nie umarła. Czymże jak nie kolejnym rozdziałem opowieści o powrocie do raju był ruch hippisowski? Co gra w duszy ekomaniakom? Jeśli coś osłabło, to chęć do uszczęśliwiania ludzi en masse. Dziś Arkadii zwykle szuka się na własną rękę. Nie jest łatwo. Dla obywateli PRL namiastką Edenu były ogródki działkowe. Wyobraźnię rozpalały dziczejące w efekcie wysiedleń Bieszczady. W XXI w. pustoszeją wszystkie wsie, w leśnych ostojach wolno poruszać się tylko po wyznaczonych trasach. Życie wspólnotowe zanika, od cywilizacji właściwie nie ma już ucieczki. Warszawska wystawa mogłaby być lepiej zaaranżowana i mniej hermetyczna, lecz w środku zimy warto skorzystać z oferty taniej wycieczki na Wyspy Szczęśliwe. Młody Mickiewicz kpił z tezy o narodowej skłonności do sielanek. Potem wymyślił Soplicowo. I bądź tu człowieku mądry.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Wystawa „Arkadia" w Muzeum Narodowym w Warszawie jest dostępna do 17 marca.***



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

# Ziarno miłości

★★★★★☆

**REŻ. PAUL SCHRADER**
**„DOBRY OGRODNIK" („MASTER GARDENER")**
**USA 2022**

wyst. Joel Edgerton, Sigourney Weaver, Quintessa Swindell

Ziarno miłości kiełkuje tak samo jak ziarno nienawiści" – zapisuje w swoim dzienniku Narvel Roth (Joel Edgerton). Opiekuje się Gracewood Gardens, należącymi do pani Haverhill (Sigourney Weaver). Jest świetny w swoim fachu, skryty i naznaczony przeszłością. Jak? Tego zdradzał nie będę, bo warto, by każdy widz powoli i po swojemu odkrywał tę historię. Nowy film Paula Schradera to kolejna w jego dorobku medytacja nad winą, karą i odkupieniem. Medytacja mistrzowska.

Schrader jest jednym z nielicznych głęboko wierzących autorów współczesnego kina; w dodatku nie boi się rozterek duszy czynić głównym tematem swoich filmów. O ostatnich mówi, że to dramaty typu „człowiek zamknięty w pokoju". Ich bohaterowie izolujący się od społeczeństwa i nękani traumami przeżywają egzystencjalne kryzysy. Nie inaczej jest w „Dobrym ogrodniku", który trafia do Polski dopiero teraz (HBO Max), choć film debiutował w Wenecji w roku 2022. Trudno wyobrazić sobie kino amerykańskie ostatniego półwiecza bez Schradera. Był scenarzystą „Taksówkarza" i „Wściekłego byka", nakręcił ponad 20 filmów, wśród których za swoje opus magnum uważa trzy ostatnie – luźną trylogię o udręczonych duszach: „Pierwszy reformowany", „Hazardzista" i właśnie „Dobry ogrodnik".

Wychowany w nienawiści Narvel Roth zgrzeszył przeciw Bogu i bliźnim straszliwymi występkami. Potem próbował naprawić je czynami równie krwawymi. Złą przeszłość zostawił za sobą. Zapłacił wielką cenę za ocalenie życia. Czy ocali duszę? Tylko bezwarunkowa miłość może dać mu szansę: musi pokochać (mimo dziedzictwa nienawiści), sam musi zostać pokochany (choć grzesznik z niego wielki) i błagać o wybaczenie. I tu pojawia się młoda, walcząca z własnymi demonami Maya (Quintessa Swindell).

Wszystko ma tu głębsze znaczenie, Gracewood, „Las łaski", staje się rajskim ogrodem, Narvel w języku Marathi oznacza „czas ludzkości", Maya w sanskrycie to matka, a także iluzja. Niemal 80-letni Schrader jest u kresu swej kariery w szczytowej formie. Znalazł idealne połączenie swoich scenariuszy i filmowego języka, z aktorów wydobywa to, co najlepsze. Rola Joela Edgertona jest wybitna. Nie mam wątpliwości, że kiedyś ostatnie dokonania Schradera będą analizowane wraz z religijnymi dziełami Bressona i Dreyera. ©℗

**NOWE SERIALE: „SZOGUN"**

Disney+

To samo, ale inaczej: 10-odcinkowa adaptacja słynnego bestsellera Jamesa Clavella. W odróżnieniu od miniserii z Richardem Chamberlainem, która była opowieścią typu „obcy w obcym kraju", teraz trafiamy w sam wir walki pięciu pretendentów do miana szoguna. Widziana oczami pana Toranagi historia staje się wielce krwawą i pasjonującą grą o tron. W roli angielskiego żeglarza Johna Blackthorne'a (vel Anjina) – Cosmo Jarvis. Imponujący spektakl. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***twórcy: Rahel Kondo i Justin Marks***
- ***„Szogun" („Shogun"), USA 2024***

**NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:**

- *reż. Cord Jefferson* ***„Amerykańska fikcja" („American Fiction")****, USA 2023* — prime video
- *reż. Ridley Scott* ***„Napoleon"****, Wielka Brytania/USA 2023* — tv+
- *reż. Piotr Biedroń* ***„W nich cała nadzieja"****, Polska 2023* — CANAL+ ONLINE



eprasa.pl a97f8a3e85

# Czas zatrzymany

KINO

Spędzili razem prawie pół wieku. On – wychowany w luksusie, niedoszły urzędnik, który ku zgrozie rodziców postanowił zostać malarzem. Ona – panna prosta, biedna i chorowita, dość przeciętnej urody (chociaż jego też ciężko nazwać adonisem). Biografie artystów są zadziwiająco sztampowe. Ich twórcy znajdują perwersyjną przyjemność w usuwaniu z otoczenia geniusza tzw. zwykłych ludzi. Gdy po stworzeniu kolejnego arcydzieła ruszy taki w miasto, nie wejdzie do byle jakiej knajpy. Wybierze lokal nawiedzany przez inne sławy. Chodzi o to, by publika miała radochę, że w cenie biletu na Toulouse-Lautreca dostaje bonus w osobie van Gogha, a w pakiecie z Modiglianim – Picassa. Na tym tle „Impresjoniści" wyróżniają się podziwu godną wstrzemięźliwością. Polski tytuł uznaję jednak za faux pas. Z malarzy światła na ekranie pojawia się tylko sędziwy Claude Monet, który przez jakiś czas był sąsiadem Marthy i Pierre'a. Dla nich liczył się przede wszystkim kolor. No cóż, nabizm to marka słabsza od impresjonizmu, obrazy Bonnarda zaś zawsze były wyżej cenione przez krytyków sztuki niż przez domy aukcyjne. Film Provosta „odkrywa" twórczość Marthy, uważanej dotąd jedynie za muzę i modelkę. Niestety, kosztem Misi Godebskiej, zołzy potrafiącej pięknie grać na pianinie tudzież męskich słabościach. ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

**REŻ. MARTIN PROVOST**
**„IMPRESJONIŚCI" („BONNARD, PIERRE ET MARTHE")**
**FRANCJA 2023**

wyst. Cécile de France, Vincent Macaigne, Anouk Grinberg

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# PORA UMIERAĆ?

KINO

Fanów „Gwiezdnych wojen" ten ruch Daisy Ridley raczej nie zachwyci. Waleczna Rey przedzierzgnęła się w mimozowatą Fran – urzędniczkę, która pędzi żywot samotny i nader monotonny. Jak wiadomo, biurokraci mają dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy i znajdują sposoby, by z nudów nie zwariować. Patent Fran polega na obmyślaniu okoliczności własnego zgonu. Ze stanu bliskiego katalepsji wyrywa dziewczynę dopiero wścibstwo nowego współpracownika, gaduły i kinomaniaka. Oczywiście coś jest na rzeczy. Socjologowie alarmują, że w XXI w. otwartość stała się dobrem deficytowym. Wylewni potrafimy być już tylko w sieci, w realu wystarcza nam small talk, szczerość zaś to zwiastun (lub wręcz objaw) psychicznego załamania. Szkoda tylko, że film trwa półtorej godziny, a scenariusz zmieściłby się na kartce wyrwanej z notesu. Najwięcej zyskała Ridley: udowodniła, że nadaje się nie tylko do kina akcji. ©℗

★★★☆☆☆

**REŻ. RACHEL LAMBERT**
**„CZASEM MYŚLĘ O UMIERANIU" („SOMETIMES I THINK ABOUT DYING")**
**USA 2023**

wyst. Daisy Ridley, Marcia deBonis, Dave Merheje

# BEZ PRZEBACZENIA

SKYSHOWTIME

Kolejny film z cyklu: Zachód bije się w piersi, ale szansy na naprawę świata już nie widzi. Lekarz z Londynu, gnając samochodem przez marokańskie bezdrożna, taranuje chłopaka sprzedającego minerały. Przykry incydent, który szybko trzeba zatuszować, by nie psuć zabawy uczestnikom „pustynnego wieczorku". O zgrozo, na Saharze wieści rozchodzą się szybko. Sprawca wypadku jest cynikiem, ale po wytrzeźwieniu wydaje się zdolny do empatii. Reszta zblazowanego towarzystwa woli dawać upust dekadenckim skłonnościom w tyleż egzotycznym, co sztucznym raju. Znamy z historii cywilizacje, które istniały obok siebie, lecz nie chciały się poznać. Wystarczała im wzajemna pogarda budowana na stereotypach i kompleksach. „The Forgiven" to film fabularny, ale sprawia wrażenie mocno osadzonego w realiach. Zła to wróżba. Islamiści nie będą mieli kłopotów z werbowaniem bojowników. ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

**REŻ. JOHN MICHAEL MCDONAGH**
**„THE FORGIVEN"**
**WIELKA BRYTANIA/USA/KANADA 2021**

wyst. Ralph Fiennes, Jessica Chastain, Matt Smith

## GRA TYGODNIA: „SKULL AND BONES"

Gra powstawała o wiele za długo, a i tak Ubisoft będzie musiał włożyć jeszcze niemało pracy, by przytrzymać graczy przy „Skull and Bones". Sporo aspektów gry kuleje – od dość umownej fabuły, przez zbyt duży nacisk na PvP względem PvE, do ograniczonej aktywności na lądzie. Ale są i mocne strony, bo na morzu produkcja Ubi łapie wiatr w żagle. Wygląda świetnie, w warstwie eksploracji i walki na wodzie daje sporo frajdy. Recenzje zbiera nie najlepsze, ale zasługuje na to, by dać jej szansę. O ile lubicie takie klimaty. Może perłą nigdy nie będzie, ale z odpowiednią ekipą i beczką rumu pirackie życie jest całkiem znośne. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, sieciowa*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Ubisoft*



eprasa.pl a97f8a3e85

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Srebrna łyżeczka

Bohaterką tej powieści – bo to powieść, a nie – jak można by sądzić biografia! – jest Elżbieta Ficowska, wdowa po zmarłym w 2006 r. poecie Jerzym Ficowskim, pedagog, działaczka społeczna, współpracowniczka Komitetu Obrony Robotników, doradczyni i rzeczniczka prasowa Jacka Kuronia, kiedy był on ministrem pracy i polityki socjalnej; w latach 2002–2006 przewodnicząca Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu.

I to ostatnie jest najważniejsze. Bo naprawdę mamy tu do czynienia z opowieścią o Elżbiecie Koppel, urodzonej w styczniu 1942 r. w warszawskim getcie córce Josela i Heni z domu Rochman. Jako półroczne niemowlę została przewieziona na aryjską stronę miasta, w skrzynce ukrytej na wozie z cegłami. Jej „metryką" była srebrna łyżeczka z wygrawerowanymi datą urodzin i imieniem. Dzieckiem zajęła się, a następnie adoptowała je, ochrzciła i wychowała Stanisława Bussoldowa, działająca w konspiracji (ps. Adela) i współpracująca z Ireną Sendlerową była położna, która przychodziła do getta odbierać porody. Ojciec Elżbiety został zastrzelony na Umschlagplatz jeszcze w 1942 r., matka zginęła rok później w Poniatowej wraz ze wszystkimi więźniami znajdującego się tam obozu.

Srebrna łyżeczka była ostatnią cenną rzeczą, która pozostała rodzicom dziecka w getcie: „Gros apanaży – czytamy – poszło już na znalezienie i wynajęcie mieszkania na Nowolipiu, gdzie miała się bezpiecznie urodzić Elżunia. Reszta rozeszła się na życie. Życie po żydowskiej stronie muru było drogie: ceny szmuglowanej żywności przewyższały o pięćdziesiąt procent te po aryjskiej. Życie po żydowskiej stronie muru było tanie: wystarczyło nosić brudną opaskę z gwiazdą Dawida, wystarczyło założyć ją na lewe ramię, wystarczyło nie tak spojrzeć na Niemca, by życie stracić". I dlatego rodzice Elżuni musieli zrobić to, co zrobili – by uratować życie dziecku.

Dziecko miało 60 cm i 5 mm wzrostu. Ojciec zbił więc skrzynkę metrową, „nie za dużą, by pudełko z dzieckiem można było ukryć między cegłami, ale i nie za małą, żeby dziecko się nie udusiło. Trzeba także wywiercić otwory w deskach, potrzebne do wentylacji. Kiedy Josek będzie zbijał z desek skrzynkę, Henia będzie milczeć".

Na Nowolipie 49 po skrzynkę przyjechał pasierb pani Bussoldowej, Paweł, wywożący z getta cegły. Jego macocha „prowadziła razem z Ireną Sendlerową pogotowie opiekuńcze dla dzieci potajemnie przemycanych z getta. Pani Sendlerowa była przyjaciółką pani Kuczkowskiej, pani Kuczkowska zaś wyprowadziła z getta córkę siostry Heni Koper. Tym razem na końcu tego »łańcuszka szczęścia« miała się znaleźć Elżunia". I takie było, jak mogło się zdawać, rozstanie Elżuni ze światem żydowskim. Tyle że dziadek dziecka Aron Rochman zdążył jeszcze wyposażyć dziecko na życiową drogę w złoty krzyżyk (!) i kartkę z nazwiskiem oraz adresem mieszkającego w Ameryce brata. Po wielu latach okaże się on dla Elżbiety Ficowskiej kimś bardzo ważnym.

Ale gdy Elżbieta Ficowska pojedzie na jego zaproszenie do Ameryki i na przyjęciu w Miami pewna niechętnie mówiąca po polsku dama dziwić się będzie, że nosi na szyi medalik, a jest przecież dzieckiem ocalonym z getta, mającym żydowskich rodziców, na zasadnicze pytanie: „To ty nie jesteś Żydówką?" hardo odpowie: „Nie". Pewnie, że prowokacyjnie, ale ten medalik kupiła jej na straganie przed kościołem jej druga mama – polska, która pokochała ją bardziej niż własne dzieci.

Cezary Harasimowicz napisał piękną powieść, cały czas balansując na granicy czułostkowości, której jednak nie przekracza. Ma „Bieta", poza tytułową bohaterką, przynajmniej kilka postaci równie wyjątkowych, którym należała się ta książka. A przede wszystkim tym dwu kobietom: pierwszej, po której odziedziczyła – oczywiście poza srebrną łyżeczką – blond włosy (!) i zielone oczy, i tej drugiej, o oczach piwnych i siwiźnie pokrytej ciemną farbą. Ta pierwsza dożyła 25 lat, druga, gdy zdecydowała się zostać matką dla wyniesionego z getta dziecka, miała lat 56. „To wystarczy – pisze Harasimowicz – żeby posiadać ustalone poglądy nawet w najdrobniejszych szczegółach. Pani Stanisława Bussoldowa miała twardy charakter, ale miękkie serce. Toteż kiedy podniosła srebrną łyżeczkę i dostrzegła wygrawerowane na niej wpisy, jej dłoń lekko zadrżała. Pani Bussoldowa odłożyła srebrny przedmiot na krawędź kredensu i pochyliła się nad śpiącym dzieckiem. Szepnęła: – Elżunia".

Jerzy Ficowski w wierszu „Twoje matki obie" napisał:

*To twoje matki obie*
*nauczyły cię*
*tak nie dziwić się wcale*
*kiedy mówisz*
*Jestem.* ©℗

★★★★★

**CEZARY HARASIMOWICZ „BIETA"**
**LIRA, WARSZAWA 2024**



eprasa.pl a97f8a3e85

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Przed potopem

Tak się dziś nie pisze. Ale pisało się tak kiedyś. O, jakże piękne były to czasy! Dziś brak autorów dzieł prawdziwie epickich, są jedynie naśladowcy. Krytycy wspominają w kontekście dzieła Miklosa Banffy'ego o Tołstojowskich wzorach, myślę, że są i ślady Tomasza Manna. I echa cyklu „Przed potopem" Szaloma Asza, innej opowieści o końcu świata.

„Trylogia siedmiogrodzka" jest to bowiem opowieść o końcu świata, a właściwie początek gigantycznej opowieści (trzy potężne tomy – pierwszy, który właśnie dostajemy, liczy ponad 600 stron) o nadchodzącym końcu. Na razie chmury gromadzą się na horyzoncie. Mamy rok 1904, mamy młodego arystokratę, który wraca w rodzinne strony, by zostać posłem (bo w dyplomacji za długo trzeba czekać na awans), mamy niesłychanie barwną i pełną detali opowieść o życiu w Siedmiogrodzie czasów monarchii austro-węgierskiej, pełną smaczków politycznych i prawych. Mamy wreszcie niewłaściwie ulokowane uczucie (nie tylko w przypadku miłości Bálinta Abádyego).

Widzę w tym coś więcej niż tylko napęd fabuły, widzę cenną metaforę. Wiek XX to przecież wiek niewłaściwych, nieszczęsnych miłości: do przywódców, do rozmaitych ideologii, do zwodniczo atrakcyjnych wizji przyszłości. Wszystko to w reakcji na nazbyt wielką miłość sytych i bogatych do siebie samych. Belle époque się kończy, za murami i ogrodami pałaców czeka prawdziwy świat. Ziarno przyszłych tragedii już zasiano. Krwawe żniwa nadejdą. „Mane", „Tekel", „Fares" – to tytuły kolejnych tomów opowieści („Policzone", „Zważone", „Podzielone").

Recenzent staje nieco bezradny wobec książki, w której każdy rozdział prosiłby się o osobną analizę. Ograniczony miejscem rzec mogę tylko, czy warto (warto!), czy się podoba (bardzo!) i czy czekam na więcej (tak! Choć ci, którzy czytali całość, twierdzą, że tom trzeci nie dorównuje dwóm pierwszym).

Nie jest trudno znaleźć literackie świadectwa epoki, nie jest trudno znaleźć wielką literaturę, a już najłatwiej o książki, których lektura jest przygodą i przyjemnością. Ale znaleźć powieść, która łączy w sobie wszystkie te zalety, to już sztuka nie lada. I jest to, dodajmy, opowieść ważna także dla Polaków, bo w jej centrum pojawia się pytanie o kruchość losu tych grup, warstw społecznych i narodów, które zachwycone rozmaitymi sposobami konsumowania teraźniejszości nie widzą i nie chcą widzieć, co może przynieść przyszłość. ©℗

★★★★★☆
**MIKLÓS BÁNFFY „TRYLOGIA SIEDMIOGRODZKA. POLICZONE" OFFICYNA 2023**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak to się robi? Nie film, bo to proste. Ale jak wejść w główny nurt dystrybucji prestiżu? Tu potrzebne są upór, pieniądze i brak skrupułów. Brudne kulisy Hollywood. Ale kto obiecywał, że będzie uczciwie?

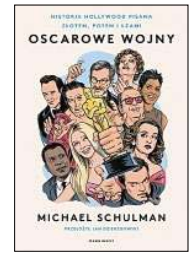


**MICHAEL SCHULMAN „OSCAROWE WOJNY" MARGINESY**

Mając lat 26, strzelił sobie w łeb, opublikował za życia ledwie sześć opowiadań (drugie tyle ukazało się po jego śmierci), a i tak wskazywany jest jako jeden z najlepszych nowelistów amerykańskich. Oto jego dorobek.

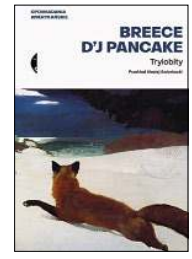


**BREECE D'J PANCAKE „TRYLOBITY" WYDAWNICTWO CZARNE**

Niektórym ideologom i myślicielom z Ukrainy też marzyło się imperium. Czyim kosztem? O idei nacjonalistycznej, o niepokojącej przyszłości i o tym, jak teoria przekładała się na krwawą praktykę.

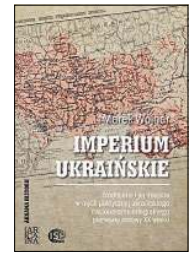


**MAREK WOJNAR „IMPERIUM UKRAIŃSKIE" ARCANA**

Wznowienie świetnej opowieści biograficznej o autorze „Pięknych dwudziestoletnich". W czas, bo 2024 r. ogłoszono Rokiem Marka Hłaski, ale zacząć świętowanie i tak wypadałoby od lektury jego opowiadań.

***recenzuje Piotr Gociek***

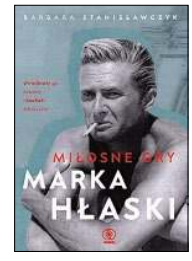


**BARBARA STANISŁAWCZYK „MIŁOSNE GRY MARKA HŁASKI" REBIS**

**KOMIKS TYGODNIA: „UNIWERSUM DC WEDŁUG NEILA GAIMANA"**

Nie tylko opowiadania i powieści łączące fantasy z grozą – Gaiman jest też autorem intrygujących scenariuszy komiksowych („Czarna Orchidea"). W tym tomie wysyła Supermana do piekła, ale najwięcej uwagi poświęca swej ulubionej postaci – Batmanowi. Szczególnie ciekawa jest opowieść „Co się stało z zamaskowanym krzyżowcem" – nostalgiczny koniec i początek zarazem. ***Piotr Gociek***

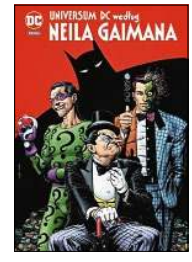


**AUTORZY RÓŻNI „UNIWERSUM DC WEDŁUG NEILA GAIMANA" EGMONT STORY HOUSE 2024**



eprasa.pl a97f8a3e85

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# Sięgnąć gwiazd

Od prezentacji lunety Galileusza, pierwszego przyrządu optycznego wykorzystywanego w badaniach astronomicznych, do współczesnego urządzenia teleskopowego. Nowa, stała ekspozycja w Narodowym Muzeum Techniki to opowieść o badaniu kosmosu, o technice pozwalającej ludzkości sięgnąć gwiazd.

Mocno zaakcentowano wkład Polaków. Nie mogło zatem zabraknąć opowieści o dokonaniach Mikołaja Kopernika czy Jana Heweliusza, ale na nich nie koniec. Są i pierwszy polski kosmonauta Mirosław Hermaszewski, i Kazimierz Kordylewski (odkrywca księżyców pyłowych Ziemi w punktach Lagrange'a), i Bohdan Paczyński (wykorzystał metodę mikrosoczewkowania grawitacyjnego w poszukiwaniach odległych planet), i wciąż aktywnie pracujący badacze oraz naukowcy, tacy jak Aleksander Wolszczan (odkrywca pierwszych planet spoza Układu Słonecznego) oraz Sławosz Uznański (inżynier i astronauta projektowy, który niebawem ma wyruszyć w podbój kosmosu). ©℗

FOT. NARODOWE MUZEUM TECHNIKI W WARSZAWIE

**GDZIE?** ***Narodowe Muzeum Techniki w Warszawie***
**KIEDY?** ***ekspozycja stała***

FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE W KRAKOWIE

## KADRY PEŁNE BÓLU

Krucyfiks z kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Toruniu robił wrażenie na dr. Tomaszu Sobeckim od dzieciństwa. W cyklu zdjęć zatytułowanym „Krucyfiks" szczególne znaczenie ma twarz Chrystusa. „Dynamiczny światłocień spowodowany koroną cierniową nadaje jej silną dramaturgię i ekspresję, podkreśla ból konania, zachowując jednocześnie jej dostojność i piękno" – czytamy na stronie archidiecezjalnego muzeum. ©℗

**GDZIE?** ***Muzeum Archidiecezjalne w Krakowie***
**KIEDY?** ***do 28 marca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

# Boomersi też tańczą!

Musiało dojść do tego muzycznego spotkania. Rod Stewart nagrał w tym wieku serię płyt z amerykańskimi standardami i odniósł niespodziewanie wielki sukces. Jools Holland jest w Polsce postacią mało znaną, natomiast w Wielkiej Brytanii jest prawdziwą instytucją. Debiutował w latach 70. w nowofalowym zespole Squeez. Sławę oraz Order Brytyjskiego Imperium (OBE) przyniósł mu program telewizyjny „Later... With Jools Holland", który prowadzi nieprzerwanie na antenie BBC od 32 lat!

Piosenkarz w ubiegłym roku zadzwonił do prezentera, pytając, czy on i jego Rhythm and Blues Orchestra nie mieliby ochoty nagrać z nim płyty. Album „Swing Fever" zawiera swingujące standardy powstałe przed erą rock and rolla. Tym samym stanowi uzupełnienie serii „Great American Songbook" Stewarta. Wprawdzie przebój „Good Rockin' Tonight", który jest na krążku, rozsławił Elvis Presley, ale został napisany jeszcze w 1947 r. Jools Holland i jego orkiestra idealnie współgrają z jajcarską manierą wokalną Stewarta. Muzycy, wspaniale swingując, dają przestrzeń Rodowi do radosnych improwizacji i śpiewania scatem. Jools po mistrzowsku gra na pianinie boogie-woogie, i to w starej, tzw. barrelhouse'owej, bluesowej stylistyce. Słychać, że towarzystwo czerpie frajdę ze współpracy. Entuzjazm muzyków porwie każdego, i to niezależnie od wieku. A nóżka sama chodzi. ©℗

★★★★★

**ROD STEWART WITH JOOLS HOLLAND**
**„SWING FEVER"**
**RHINO**

★★★★☆

**SBB**
**„PRZEBUDZENIE"**
**GAD**

Te psychodeliczne nagrania trio zarejestrowało w styczniu 1976 r. Materiał uzupełnia 22-minutowa improwizacja „Na ten czas", zrealizowana osiem miesięcy wcześniej. Płyta dla fanów eksperymentalnej strony SBB.

★★★★☆

**REAL ESTATE**
**„DANIEL"**
**DOMINO**

Bardzo przyjemna płyta z łatwo wpadającymi w ucho piosenkami. Na szóstym albumie amerykańska grupa prezentuje poststudencką melancholię utrzymaną w poetyce balladowych piosenek R.E.M. i Neila Younga. Trudy dorastania na tle brzęczących popowych melodii.



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Kuźnia z ulicy Wiertniczej

*Krzysztof Masłoń*

Won z polityką, czas na show. Zgodnie z tym hasłem nieoceniona Tusk Vision Network startuje z nowatorskim i oczekiwanym przez naród programem „Drag me out" (gdyby go nazwać po polsku, byłby to rodzimy październierz, a tak mamy epokowe wydarzenie zgodne ze światowymi, jakże progresywnymi trendami). Oto sześciu śmiałków, naturalnie z Tomaszem Karolakiem na czele, zderzy swoje męskie „ja" z barwnym i artystycznym światem drag queen – zapowiada producent. Ta w istocie niewybredna – by nie powiedzieć prymitywna – przebieranka, eksponowana na każdej tzw. paradzie równości, ma jakoby na celu zaakcentowanie teatralnego charakteru płci jako takiej. W TVN-owskim programie poprowadzonym przez piosenkarkę i – co by to znaczyło – aktywistkę Mery Spolsky popisy „śmiałków" oceniać będzie jury w składzie: Anna Mucha, Michał Szpak i – crème de la crème – Andrzej Seweryn, który widocznie już dość się naprzypierd…. i może wreszcie zająć się wysoką kulturą, w której czuje się – jak widać – jak ryba w wodzie.

Nowy odkrywczy program na tej samej antenie, tyle że w niszy zwanej TVN Style, zaprezentuje również Agata Młynarska. W swoich „Konfrontacjach Agaty" zechce udowodnić, że na najbardziej nawet kontrowersyjne tematy można rozmawiać kulturalnie, w atmosferze szacunku, szermując argumentami, a nie inwektywami. Na początek wybrała problem spędzający sen z oczu milionom Polaków, a mianowicie: Czy lepszy jest młody czy stary kochanek? Wbrew pozorom sprawa nie jest wcale oczywista. Bo o tym, że wiekowa nałożnica jest o wiele lepsza od małoletniej, przekonują nas od dłuższego już czasu scenarzyści „Klanu", ale jakby mało zdecydowanie, wciąż bowiem nie wiemy, czy Gabi definitywnie porzuci starego męża, rzucając się w objęcia wysportowanego młodziana, trenera tenisa zresztą, czy zabraknie jej jednak odwagi, by rozpocząć zupełnie nowy etap życia, i to z przytupem. A już nad kwestią wyboru młodego czy zramolałego kochanka rozpościera się jeden wielki znak zapytania. W końcu biologia ma swoje wymagania i chirurgia estetyczna czy – szerzej rzecz ujmując – medycyna piękności wszystkiego nie załatwią. Pozostają jeszcze kwestie z pogranicza etyki i estetyki. Waldemar Łysiak, obchodzący właśnie 80-lecie (wszystkiego najlepszego!), w jednej ze swoich bajek (bo i takie pisał, a jakże) przedstawia egzystencjalne dylematy Wilka, zastanawiającego się, co jest trudniejsze: poderwać Czerwonego Kapturka czy iść do łóżka z babcią? Kwestie moralne i techniczne cisną się ze wszystkich stron, a właściwych odpowiedzi, trafnych decyzji, prostych rozwiązań często brakuje. Ale to nic. Wierzymy w Agatę Młynarską, nie takich rzeczy już dokonała!

A TVN idzie do przodu jak burza. Że kadry ma znakomite, udowodnił Szymon Hołownia, przez lata współprowadzący „Mam talent!", a ostatnimi czasy odwiedzający placówki oświatowe, mamiąc młódź prawami wyborczymi od 16. roku życia. To na razie, w końcu młodzież teraz szybciej dojrzewa. I co by to szkodziło do urn wyborczych wysłać już 14-latków? Marszałek Hołownia liczy wyraźnie na młody elektorat, z czym jednak może się przeliczyć, lat ma bowiem niby jak na polityka niewiele, bo 47, ale czas szybko leci i niebawem dla małolatów i on będzie zgredem.

Jego partner z „Mam talent!", Marcin Prokop, ma nad Hołownią tę przewagę, że jest nie tylko wyższy od niego, i to aż o 18 cm, lecz także o 10 miesięcy młodszy, a do tego nawet jakieś studia ukończył. Teraz objawi się nam w telewizji z ulicy Wiertniczej już nie tylko jako towarzysz Doroty Wellman w „Dzień dobry TVN" i już nie jako gospodarz, ale juror „Mam talent!", lecz także jako twórca i bohater cyklu „Niezwykłe Stany Prokopa". Pan Marcin postanowił oto pokazać nam Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, gdzie spędził lato, podróżując, zwiedzając i rozmawiając z ludźmi, z których każdy – jak zapowiada – „jest zupełnie inną historią".

Ameryka to dobra trampolina do dalszej kariery. Na wszelki wypadek informuję, że od Radka Sikorskiego gwiazda TVN jest wyższa aż o 25 cm. I o 14 lat młodsza. A że wszechstronnie utalentowana, to nie trzeba tego dowodzić.

Wygląda więc na to, że ci, którzy mówili, że najlepsza kuźnia kadr to Tusk Vision Network, nie mylili się wcale. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# Odzieranie z prywatności

Łukasz Warzecha

**Pegasus to tylko wisienka na torcie, ale nawet o nim nie powinno się pisać w lekceważącym tonie. Żadna bowiem wcześniejsza władza tak bardzo jak PiS nie ograniczyła naszej prywatności i nie powiększyła zakresu inwigilacji przez służby**

Spośród ewentualnych komisji śledczych w X kadencji parlamentu najpotrzebniejsza i najbardziej uzasadniona byłaby komisja do sprawy działań władzy w trakcie pandemii COVID-19. Ta jednak nie powstanie z prostego powodu: za jej utworzeniem opowiadała się tylko Konfederacja, która jako jedyna kontestowała tę politykę. Obecna koalicja, owszem, sprzeciwiała się jej, ale żądając, aby ta była jeszcze ostrzejsza i dalej idąca. Natomiast komisja do sprawy Pegasusa broni się najlepiej spośród trzech, które powołano. Inwigilacja i ograniczanie prywatności są bowiem realnymi problemami.

W tekście „Igrzyska dla nikogo" („Do Rzeczy" nr 9/2024) Rafał A. Ziemkiewicz odniósł się do komisji do sprawy Pegasusa (pełna nazwa: Komisja Śledcza do zbadania legalności, prawidłowości oraz celowości czynności operacyjno-rozpoznawczych podejmowanych m.in. z wykorzystaniem oprogramowania Pegasus przez członków Rady Ministrów, służby specjalne, Policję, organy kontroli skarbowej oraz celno-skarbowej, organy powołane do ścigania przestępstw i prokuraturę w okresie od dnia 16 listopada 2015 r. do dnia 20 listopada 2023 r.) raczej lekceważąco. Artykuł mojego redakcyjnego kolegi można streścić krótko: komisje śledcze, w tym „pegasusowa", miały być sposobem koalicji na uderzenie w PiS, ale to się nie udaje, bo ani Pegasus nie był niczym nadzwyczajnym, ani ludzie nie są specjalnie zainteresowani obradami tych gremiów.

Rafał ma w części rację. Tak, nadzwyczajne komisje śledcze faktycznie powstają w celu uderzenia w przeciwników politycznych. To logiczne, skoro powoływane są uchwałą Sejmu, czyli muszą mieć poparcie większości. Wiadomo, że większość nie poprze czegoś, co uznaje za niekorzystne dla siebie (stąd niezgoda na powołanie komisji do sprawy polityki covidowej). Przytaczając przykłady z czasów rządów PO, Rafał zapomniał natomiast, że dokładnie tak samo zachowywał się wcześniej PiS. W VIII kadencji powstały komisje do sprawy Amber Gold i oraz do sprawy nadużyć w dziedzinie VAT. Skutki ich działań były raczej mizerne, choć też nie żadne. Komisja zajmująca się Amber Gold w jakiś sposób zwróciła uwagę na problem piramid finansowych oraz nadzoru państwa nad takimi przedsięwzięciami – czyli w jakiejś mierze spełniła zadanie, które przypada komisjom śledczym. Mają one służyć wyciągnięciu systemowych wniosków. Komisja VAT miała mniejsze znaczenie, ponieważ zajmowała się sprawą z natury rzeczy tak skomplikowaną – jak skomplikowany jest sam w sobie podatek VAT w Polsce – że opinia publiczna nie była w stanie skupić na tym uwagi.

Mój redakcyjny kolega ma także rację, pisząc, że zainteresowanie – rzekłbym: niezdrowe – youtube'owymi transmisjami obrad Sejmu (zwanymi złośliwie „sejmfliksem"), zresztą wygasające, nie przekłada się na zainteresowanie obradami komisji. Można to również zrzucić na karb obfitości innych wydarzeń. Wszystko to jednak nie uzasadnia nonszalanckiego stosunku do komisji do sprawy inwigilacji oraz do samego problemu Pegasusa.

## NAWET KARTĘ SIM TRZEBA REJESTROWAĆ

Jeżeli – tak jak niżej podpisany – uznajemy prawo do prywatności za jedno z podstawowych i najważniejszych, a kompetencje służb do prowadzenia kontroli operacyjnej za zdecydowanie zbyt mocno rozbudowane, to nie wystar-



eprasa.pl a97f8a3e85

czy przyglądać się komisji do spraw inwigilacji (gdzie Pegasus jest tylko jednym z elementów) wyłącznie pod kątem politycznego spektaklu, organizowanego przez Koalicję Obywatelską. A warto też stać twardo na fundamencie faktów.

Te zaś są takie, że o ile już za czasów rządów PO w latach 2007–2015 można było mieć mnóstwo zastrzeżeń co do zakresu prywatności obywateli i inwigilacyjnych działań służb, o tyle jednak dwie kolejne kadencje okazały się pod tym względem znacznie gorsze. Pegasus – który nie jest bynajmniej zwykłym narzędziem inwigilacyjnym, jak „normalny" podsłuch, ale czymś znacznie bardziej zaawansowanym i głębiej ingerującym w naszą prywatność – jest jedynie wisienką na torcie.

PiS, będący ugrupowaniem z zasady skrajnie etatystycznym, uznawał, że zastrzeżenia dotyczące prywatności to jakieś banialuki, którymi nie warto się przejmować. Przypomnieć trzeba, że jedną z pierwszych decyzji większości PiS, poniekąd symboliczną, była likwidacja możliwości anonimowego kupowania przedpłaconych kart SIM. Inaczej, niż to jest choćby w Czechach, w Polsce od 2016 r. każda taka przedpłacona karta musi być zarejestrowana. Dokładnie tak, jak przewidywali przeciwnicy tego rozwiązania, nijak nie przeszkodziło to przestępcom, którzy z łatwością zaopatrują się w anonimowe karty kupowane właśnie w Czechach albo korzystają z innego rodzaju kanałów komunikacji. Natomiast dane zwykłych obywateli znajdują się w kolejnym systemie i państwo zyskało kolejne narzędzie kontroli.

To poprzednia władza, realizując teoretycznie orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2014 r., dotyczące nadzoru nad kontrolą operacyjną, wprowadziła u progu 2016 r. fikcyjny system takiego nadzoru. Rafał A. Ziemkiewicz kpi w swoim tekście ze stwierdzenia sędziego Tulei, że może podpisywał zgody na zastosowanie Pegasusa, ale nie miał świadomości, o co tu chodzi. Mój kolega nie wie najpewniej, jak działa stworzony przez PiS system. „Kontrola" (nie da się tego pisać bez cudzysłowu) najpowszechniejszej formy inwigilacji, czyli zasysanych bezpośrednio od operatorów danych o samych połączeniach i lokalizacji, jest kompletnie fikcyjna – i nie jest to wina sędziów. Sędziowie dostają raz na pół roku do weryfikacji olbrzymie listy zawierające tysiące pozycji – mogą je przeglądać jedynie w kancelarii tajnej – gdzie podane są tylko numer sprawy i podstawa prawna.

Trzeba mieć niesamowite zdolności i wybitną, niemal nadludzką spostrzegawczość, żeby w tej masie danych wychwycić pojedyncze nieprawidłowości. W dodatku ta forma kontroli nie uwzględnia samego charakteru sprawy i jej detali. Sędzia weryfikator nie wie o niej nic konkretnego, może więc zakwestionować pozyskanie danych, jedynie jeżeli rzuci mu się w oczy formalna sprzeczność pomiędzy podaną suchą podstawą prawną a użytym środkiem.

W przypadku kontroli operacyjnej – czyli, mówiąc kolokwialnie, podsłuchów – sędzia nie dostaje informacji, za



eprasa.pl a97f8a3e85

pomocą jakiego narzędzia inwigilacja ma być prowadzona. Wie jedynie o tym, jaki ma być jej zakres. Sędzia Tuleya zatem – cokolwiek by o nim sądzić – mógł wydawać faktycznie zgodę na kontrolę operacyjną za pomocą Pegasusa, nie wiedząc, że chodzi o to właśnie narzędzie.

To PiS radykalnie uprościł procedurę pozyskiwania danych telekomunikacyjnych, nakładając na operatorów (zresztą tą samą ustawą, która stworzyła fikcyjny system kontroli) obowiązek umożliwienia służbom bezpośredniego dostępu do tychże. Gdzie wcześniej konieczne było skierowanie zapytania do operatora, teraz wystarczy się zalogować do końcówki systemu w komendzie wojewódzkiej policji albo siedzibie innej uprawnionej służby. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że szczelność takiego systemu jest niewielka, a możliwości nieuprawnionego wykorzystania – gigantyczne.

## REKORDY WNIOSKÓW O KONTROLĘ OPERACYJNĄ

Gdy wyszło na jaw, że w 2011 r. polskie służby złożyły aż 1,8 mln zapytań o dane telekomunikacyjne, PiS gotował się z oburzenia. W 2021 r. służby sięgały po dane telekomunikacyjne… 1,8 mln razy. Dokładnie tyle samo, co za czasów Platformy Obywatelskiej. Tyle że zakres danych sprawdzanych w 2021 r. był już oczywiście szerszy, bo zmieniła się technologia.

Także za czasów PiS pobito rekordy w liczbie wniosków o kontrolę operacyjną. W 2020 r. sama policja wnioskowała o taką kontrolę ponad 10 tys. razy.

To PiS wyposażył kolejne służby w kompetencje inwigilacyjne i obecnie jest ich w Polsce aż 10: Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Inspektorat Wewnętrzny Służby Więziennej, Krajowa Administracja Skarbowa, policja, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Służba Ochrony Państwa, Straż Graniczna, Żandarmeria Wojskowa. Do tego jeszcze dwie służby wywiadowcze – cywilna i wojskowa – które formalnie nie mogą prowadzić działań na terenie Polski. To PiS dodał możliwość inwigilowania obywateli do kompetencji Służby Ochrony Państwa, Służby Więziennej czy KAS.

To również poprzednia władza stworzyła systemy, które co prawda same w sobie nie mają charakteru inwigilacyjnego, ale drastycznie zmniejszają zakres prywatności obywateli. Przede wszystkim chodzi o na razie niewdrożony (miał wejść od tego roku) – ale formalnie już zatwierdzony – system eFaktur, za którego sprawą KAS otrzymywałby na bieżąco informację o każdym naszym zakupie.

Najwięcej w kontekście inwigilacji mówi się o systemie Pegasus, ale nie jest to jedyne tak zaawansowane narzędzie. W ubiegłym roku służby przedłużyły licencję na specjalistyczne oprogramowanie izraelskiej firmy Cellebrite. Nie funkcjonuje ono co prawda zdalnie – tym różni się od Pegasusa – ale po podłączeniu telefonu umożliwia wydobycie praktycznie wszystkich możliwych danych, z tymi przechowywanymi w chmurze włącznie. Z tego oprogramowania polskie służby zaczęły korzystać co najmniej 11 lat temu.

Wszelkie zastrzeżenia dotyczące ograniczania zakresu prywatności obywateli poprzednia władza zbywała standardową frazą: uczciwi nie mają się czego bać. To stwierdzenie obłudne: im więcej kompetencji do inwigilacji ma państwo, tym bardziej właśnie uczciwi bać się powinni, bo to im może stać się krzywda. To oni mogą paść ofiarą prowokacji, to ich dane mogą zostać wykradzione czy nielegalnie udostępnione. A już zwłaszcza bać się powinni w systemie tak skrajnie nieszczelnym, przy tak nieskutecznej kontroli sądowej jak w Polsce. I niestety, wbrew lekceważącemu tonowi artykułu Rafała A. Ziemkiewicza, w tej dziedzinie znacznie większą winę ponosi PiS niż Platforma.

Trudno także zgodzić się z Rafałem, gdy stwierdza, że Pegasus to „nie taka znów wielka sensacja w czasach, kiedy wystarczy przy włączonym pilocie telewizora albo innym urządzeniu z funkcją rozpoznawania głosu powiedzieć raz do żony »Madagaskar«, aby laptopy i telefony obojga zostały natychmiast zalane reklamami hoteli, tanich lotów i turystycznych atrakcji na tej wyspie". Oczywiście prywatność i wykorzystywanie naszych danych przez komercyjne podmioty to również problem. Tyle że tutaj, po pierwsze, sami zaznaczamy odpowiednie zgody i przy pewnym wysiłku można się jednak od większości takich praktyk odizolować; po drugie zaś – czym innym jest, jeśli usłyszane przez nas słowo algorytmy wykorzystają do podsunięcia nam upierdliwej reklamy, a całkiem czymś innym, jeśli nasze całkowicie prywatne dane i treść rozmów trafią bez naszej wiedzy w ręce służb, które następnie mogą je wykorzystać w dowolny, również nielegalny sposób.

Mój kolega myli się także, pisząc, że KO w żaden sposób nie uwzględniła sprawy inwigilacji w swoim programie. Owszem, nie znajdziemy takiego punktu wśród 100 konkretów (z których na 100 dni zrealizowanych zostanie zapewne tylko kilka), ale odniesienie do kwestii inwigilacji znalazło się za to w umowie koalicyjnej. Zapis tam zawarty brzmi: „Obywatele będą mieli prawo do informacji o zainteresowaniu nimi ze strony służb, w szczególności informacji o prowadzonej wobec nich kontroli operacyjnej". Oczywiście nie chodzi tutaj o informację w momencie rozpoczęcia takiej kontroli, ale po upływie odpowiedniego czasu od jej zakończenia (np. roku). To rozwiązanie od dawna postulowane przez Fundację Panoptykon, zajmującą się kwestiami prywatności, i stosowane w wielu krajach.

Rzecz jasna – zapis w umowie to jedna sprawa, a jego przekucie w prawo to co innego. I tu zapewne będzie słabo. Mamy do czynienia z sytuacją, przed którą wielokrotnie w „Do Rzeczy" przestrzegaliśmy: poprzedni rząd stworzył narzędzia, którymi bardzo chętnie będzie się posługiwała nowa władza. Również przeciwko poprzednikom. Choć Koalicja Obywatelska powtarzała wiele razy, że PiS zrobił z Polski „państwo policyjne", to sama nie uznała spraw prywatności i ograniczenia kompetencji służb do inwigilowania obywateli za na tyle istotne, żeby umieścić je na swojej liście „100 konkretów" (i tak zresztą będącej humbugiem).

Dlatego właśnie komisja zajmująca się sprawą Pegasusa jest potrzebna. Wnioskom z jej prac – niekoniecznie tym zamierzonym w ramach teatru politycznego, a także, a może szczególnie tym ujawnianym niejako mimochodem – powinni się uważnie przyglądać adwokaci prywatności. Te wnioski powinny być podstawą do sformułowania oczekiwań wobec nie tylko obecnej, lecz także każdej kolejnej władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

# Zdrada klerków

Dlaczego komunistom tak łatwo poszło opanowanie społeczeństwa po 1944 r.? Milionowa Armia Czerwona, zainstalowanie sowieckich służb dla Polski Ludowej, systematyczne przejmowanie administracji, szkolnictwa itd. to tylko część wyjaśnień. Po kilku latach wojny i okupacji, stracie milionów obywateli, potężnej emigracji politycznej (nie wszyscy powrócili na teren Polski) mieliśmy do czynienia z jeszcze jednym zjawiskiem. Nastąpiła bowiem „zdrada klerków", czyli prawie natychmiastowe przejście na stronę okupantów i ich agentury (PPR-PZPR) znacznej części inteligencji.

Co i jak się stało, że ludzie z tzw. dobrych rodzin tak łatwo i z entuzjazmem zawiśli na szyi nowej władzy? Przykładem może być późniejszy pisarz Ryszard Kapuściński. Pochodził z inteligenckiej rodziny i gdyby nie zawirowania wojny i okupacji, pewnie jego los byłby zupełnie inny. Już podczas studiów został asystentem w Katedrze Marksizmu-Leninizmu (to były kariery!). Zaangażował się w budowę nowego, wspaniałego świata znacznie bardziej niż wielu innych. Był uniżony i posłuszny. Odcinał się od rodziców, szczególnie ojca, podporucznika WP, uczestnika wojny obronnej 1939, co było wówczas dobrze widziane. Szybko postarał się o dostęp do odpowiedniej kariery. W podaniu o przyjęcie w poczet kandydatów PZPR prosił: „Jest moją największą potrzebą i pragnieniem wstąpienie w szeregi naszej ukochanej Partii". Wskazane było złożenie odpowiedniego życiorysu: „Urodziłem się… w Pińsku, na Białorusi Zachodniej, wówczas zagrabionej przez sanację".

O swym rozwoju ideologicznym miał tyle do powiedzenia: „Paweł Własow był moim najlepszym agitatorem. Drugim, już później – stał się Paweł Korczagin. Do dziś nie znalazłem w całej literaturze piękniejszych postaci niż te właśnie". Młody polski inteligent wskazywał na takie wzorce w postaci bohaterów z sowieckich wyżyn? Przecież nie musiał.

Prosząc o przyjęcie do PZPR, płaszczył się jeszcze bardziej: „Partia dała mi wszystko, ona mnie wychowuje, Jej sprawa stała się sprawą mojego życia. Chciałbym samym sobą […] służyć nieśmiertelnej idei Stalina […]". Takie same postawy wobec NSDAP i Hitlera były i są natychmiast potępione. Słusznie. Ale analogiczne postawy wobec PZPR i Stalina – już nie. Czyli zło ideologiczne miało dwa oblicza. Złe – bo brunatne – i całkiem znośne – bo czerwone.

Cały czas trwa bagatelizacja zła czerwonego. Kultowy slogan byłych członków i funkcjonariuszy PZPR: „Wszyscy byliśmy w partii" miał nas rozbrajać. Ale przecież olbrzymia większość Polaków w partii nie była. Kapuściński był zaś ponad trzy dekady. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Powieść z kluczem

Krótkotrwałe, unieważnione drugie małżeństwo Henryka Sienkiewicza miało swoje reperkusje literackie, gdyż nie sposób bowiem oderwać „Rodziny Połanieckich" od wydarzeń z ówczesnego życia autora. Wprawdzie główna bohaterka powieści, Marynia, z charakteru bardzo przypomina pierwszą żonę pisarza, jednak fizycznie podobna jest do drugiej. Tymczasem czytelnicy największą uwagę zwracali na Linettę Castelli i jej ciotkę, panią Broniczową. W istocie trudno oprzeć się wrażeniu, że w ich postaciach autor wyjątkowo złośliwie sportretował swoją byłą (niedoszłą?) żonę i jej matkę. Panna Castelli żyła jak „czysty kanarek w klatce", któremu dawano „wody, cukru, muchotrzepu i siemienia", dzięki czemu mógł on „rozczesywać dziobkiem swoje żółte piórka i świergotać". Była całkowicie podporządkowana władczej ciotce, a przy okazji okazała się też „nędznicą, dla której nie miano dość słów pogardy". Doprowadziła do próby samobójczej zakochanego w niej malarza Zawiłowskiego, gdyż wprawdzie miała „postać łabędzia", ale „instynkty pokojówki".

Jednak Sienkiewicz najbardziej znęcał się nad postacią ciotki Broniczowej. Dama ta poza swoją siostrzenicą „nie lubiła nikogo na świecie", a jednocześnie miała ambicje jak nikt inny w Polsce. Na prawo i lewo opowiadała niestworzone historie i sama w nie wierzyła.

Oczywiście Sienkiewicz wytknął także snobizm swojej teściowej, która opowiadała, że jej mąż pochodził jakoby z linii żeńskiej dynastii Rurykowiczów władających przed wiekami Rusią. To samo z całą powagą twierdziła ciotka panny Castelli.

Czytelnicy mieli wyjątkową uciechę, obserwując zemstę pisarza, który bardzo ucierpiał w czasie dwuletniej szarpaniny związanej z procesem unieważniania związku. Jednak podnosiły się także głosy, że autor nie powinien opisywać znanych sobie osób, nawet jeżeli uważał, że został przez nie skrzywdzony. Sienkiewicz miał jednak własne zdanie na ten temat i twierdził, że zachował się w sposób całkiem przyzwoity. Tym czytelnikom, którzy w pani Broniczowej chcieli widzieć jego teściową, wyjaśniał, że zbyt „jej pochlebiali" i było to za „wiele zaszczytu" dla niej. Zauważył też z przekąsem, że przecież na świecie jest wiele „bab kłamliwych, płytkich, nędznych, narwanych" i nie każda musi być matką jego byłej żony. W duchu jednak rozkoszował się zemstą za długie miesiące upokorzeń, a przy okazji napisał znakomitą powieść współczesną. Na jej podstawie powstał przed laty bardzo dobrze przyjęty serial, który miał premierę 4 marca 1979 r. i do dzisiaj jest chętnie przypominany przez stacje telewizyjne. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# Śmiertelne panaceum

FOT. ADOBE STOCK

*Wojciech Golonka*

**Putin przybrał na Zachodzie rolę Goldsteina z Orwellowskiej powieści „Rok 1984", mającego wywoływać odruchową nienawiść do wrogów partii i scalać dla niej ślepe i bezwarunkowe poparcie**

Pierwsza, dobra wiadomość dla Polski ze strony głównego lidera „wolnego" świata jest taka, że Rosja nie jest największym zagrożeniem dla naszej planety; druga – że Stany Zjednoczone nie lekceważą Rosji jako światowego zagrożenia. Trzeba jednak przyznać, że prezydent Joe Biden wyraził ostatnio tę podwójną myśl na spotkaniu z darczyńcami Partii Demokratycznej w San Francisco w dość osobliwy sposób: „Jest to najnowsze zagrożenie egzystencjalne – chodzi o klimat. Mamy szalonego skur..syna (sic!) jak ten gość Putin i inni, i stale musimy się martwić o konflikt nuklearny, jednakże egzystencjalnym zagrożeniem dla ludzkości jest klimat".

Zostawmy z boku kwestię klimatu jako głównego zatem priorytetu amerykańskiej polityki (obok, oczywiście, „agendy LGBT"), choć już pobieżna analiza tego twierdzenia i perspektywa związanych z nią zielonych kosztów mogłyby, bądź co bądź, nieco zrelatywizować dobre znaczenie tej wiadomości. Sęk w tym, że wiadomość ta, dobra czy zła sama w sobie, w rzeczywistości kryje zdecydowanie złą wiadomość: u wiodących zachodnich polityków najwulgarniejsze frazesy publicznie zastąpiły dyplomację. Wtóruje temu dość bliski, równoległy trend w mediach, gdzie propaganda towarzysząca informacji, jeśli nie wprost ją zastępująca, sięga po emfazę, która już dawno przekroczyła granicę karykatury. Casus prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina, choć niejedyny, jest tu bodajże najbardziej wymowny i ostry, a przede wszystkim najbardziej znaczący, ponieważ pod kilkoma względami mówi nam bardziej o nas samych niż o Putinie.

## ZACHODNIA NIEGODZIWOŚĆ

Jest rzeczą zrozumiałą, że w dobie wojny, a przynajmniej zimnej wojny, która wraz z rosyjską inwazją na Ukrainę zapanowała na linii Rosja – Zachód, retoryka polityczna nie będzie należała do łagodnych, a retoryka medialna do pobłażliwych. Nie problem jednak w naturalnym napięciu i napiętnowaniu, surowości, a nawet kategoryczności wypowiedzi (choć ta ostatnia bywa zwodnicza, gdy jest formułowana pospiesznie i na wyrost), a w kwestii wyznaczenia nieprzekraczalnych granic dla języka politycznego, który przecież nie pozostaje bez konsekwencji, mimo wybrzmiewającego zeń często pustosłowia. Jest bowiem zasadnicza różnica między otwartym wskazaniem oponenta, być może nawet wroga, a oblegami zupełnie nielicującymi z językiem dyplomacji, a odpowiedzialność w tym wypadku wyznaczają dwie podstawowe zasady.

Po pierwsze, jakkolwiek zabrzmiałoby to dla wielu prowokująco: godziwość. Otóż przy całej (nieskutecznej) polityce sankcji kraje Zachodu wciąż utrzymują en masse stosunki dyplomatyczne z Federacją Rosyjską na najwyższym poziomie wzajemnej reprezentacji, stąd nawet jeśli stosunki te są napięte czy wręcz nieprzyjazne – dopóty, dopóki istnieją – to sam ich charakter narzuca pewną godziwość, z którą pewna kategoria wypowiedzi jest po prostu niekompatybilna. W dodatku na świecie niewątpliwie roi się od „suki..ynów" wśród polityków, by użyć ulubionego określenia gen. Pattona („bastards"), w naszym utylitaryzmie, graniczącym czasem z hipokryzją, najczęściej przemilczamy łajdactwa jednych, podkreślając niecności drugich, niemniej w dyplomacji i polityce pewna godziwość języka to po prostu standard, bez którego trudno, aby Zachód odwoływał się explicite do moralnych imperatywów. Pamiętajmy przy tym, że w tej wojnie spora część krajów świata nie bierze żadnego udziału,



eprasa.pl a97f8a3e85

za to przygląda się stronom i niewątpliwie mierzy ich wiarygodność.

Prawdą jest, że z samą godziwością w ogóle różnie bywa, tym bardziej kiedy w grę wchodzą silne emocje (do podgrzania), a przecież i nawet gniew może być święty, jak u Chrystusa wyrzucającego kupców ze świątyni, a zatem godziwy. Jednak jest jeszcze druga, ważniejsza i kluczowa wręcz zasada, a mianowicie roztropność, w tym wypadku roztropność polityczna. Cokolwiek byśmy myśleli o Putinie i jakiekolwiek opinie na jego temat wypowiadaliby najróżniejsi ludzie, brak roztropności, w przypadku polityków, jest niedopuszczalny i w pewnym sensie niewybaczalny. Otóż jakkolwiek Joe Biden, nazywając publicznie Putina „skur..synem", szkodzi wizerunkowej powadze Stanów Zjednoczonych w oczach państw trzecich (tudzież swym brakiem kontrolowania się potwierdza swoją demencję, czym też szkodzi), to nie naraża akurat, w tej dziedzinie, samego bezpieczeństwa swego kraju, zważywszy na jego supermocarstwową pozycję. Biden zresztą być może w ten sposób po prostu chamsko zrewanżował się Putinowi za jego niedawne poparcie (Putin stwierdził, że wolałby, aby to Biden wygrał wybory prezydenckie w USA).

Co innego w przypadku krajów takich jak Polska, i nie chodzi nawet o wulgaryzmy, które przecież nie muszą paść, by wypowiedź stanowiła zaprzeczenie wspomnianej zasadniczej roztropności politycznej. Nie chcę tu jakoś specjalnie grillować przypadku marszałka Hołowni, ale ma on właśnie to do siebie, że jest wręcz podręcznikowym casusem politycznej nieodpowiedzialności, kiedy to druga osoba w państwie składa publicznie solenną obietnicę wysłania urzędującego prezydenta Federacji Rosyjskiej do więzienia lub na cmentarz.

Zresztą sam Szymon Hołownia, jeśli nie pod wpływem otrzeźwienia, to przynajmniej na skutek presji własnego środowiska, wycofał się rakiem ze swej wypowiedzi, tłumacząc, że padła ona przy wzmożonych emocjach po śmierci Aleksieja Nawalnego, tak jakby śmierć w niejasnych okolicznościach tego rosyjskiego, owszem, opozycjonisty, a także nacjonalisty i zwolennika idei Wielkiej Rosji była słusznym powodem do podobnego wzmożenia u naszego marszałka Sejmu. Zresztą roztropność to również panowanie nad swymi emocjami i w tym m.in. tkwi jej potęga, jak uczy Księga Przysłów, ponieważ „cierpliwy jest lepszy niż mocny, opanowany – od zdobywcy grodu" (16, 32).

## TEN ZŁY PUTIN

W tym świątobliwym cytacie wywyższającym opanowanie nad siłę militarną tkwi dla nas najważniejsza w tych okolicznościach przestroga: nie tracić głowy na skutek emocji i nie dać się rozgrywać emocjami, które w nas, Polakach, wzbudzić łatwo, nie mówiąc już o naszej historycznie ugruntowanej rusofobii, niekoniecznie zawsze licującej z chłodną oceną sytuacji i realnymi możliwościami chwili. Przy czym nawet nie musi chodzić o jakąś perfidną socjotechnikę z czyjejś strony, by posuwać się, w przypadku polityków, do serwowania nam ad nauseam argumentacji „bo Putin", o czym zresztą, jako trendzie w całej Unii Europejskiej, mówił rok temu Donald Tusk w rozmowie z Anne Applebaum na spotkaniu Fundacji Olgi Tokarczuk: „Pokusa, by tłumaczyć wszystkie niepowodzenia wewnętrzne agresją Putina i Rosji na Ukrainę, to jest pokusa nie tylko wyraźna w polskiej narracji oficjalnej […]. Cokolwiek się złego dzieje, wiadomo, że tuż obok nas żyje ktoś bardzo zły, który wywołał wojnę, który jest zdolny do każdego łajdactwa, więc można tę odpowiedzialność zrzucić na to zło".

Z tą różnicą, że Donald Tusk widział w tej pokusie niebezpieczeństwo zbyt wczesnego (cokolwiek by to znaczyło) zakończenia wojny ze strony europejskich liderów wobec znużenia jej kosztami, podczas gdy moim zdaniem argument „ad Putinum" jest zaiste obosieczny. Władimir Putin przybrał bowiem na Zachodzie rolę Goldsteina z Orwellowskiej powieści „Rok 1984", mającego wywoływać odruchową nienawiść do wrogów partii i scalać dla niej ślepe i bezwarunkowe poparcie. Aluzja do „Roku 1984" jest również o tyle istotna, że w przypadku Goldsteina nie było w zasadzie ważne, jaka była prawda, co tak naprawdę zrobił, a właśnie rola, która mu przypadła do odgrywania w ramach symbolu i personifikacji wroga numer jeden.

Jeśli posiadanie takiego Goldsteina jest wygodne dla polityków, to jest ono również chwytliwe dla mediów, które licząc na klikbajtowość, w przypadku prezydenta Federacji Rosyjskiej gotowe dotychczas były posuwać się do największych niedorzeczności, by wspomnieć informacje o jego wszelakich chorobach, rychłych puczach i nieustannych zgonach. Innymi słowy, nie dość, że dosyć łatwo, przy odpowiednich narzędziach, urabiać opinię polityczną w kierunkach, które w pełni świadomie by ona obrała, to jeszcze poniekąd sami, jako społeczeństwo, możemy się, chcąc nie chcąc, zapętlić w stanach umysłowych, które pozbawią nas możliwości jasnego dostrzeżenia alternatyw w danej chwili. Albowiem jeśli Władimir Putin jest kreowany w języku polityków i mediów na emanację zła, by przywołać uwagę Donalda Tuska, na zło absolutne (tudzież prawie absolutne – na pierwszym miejscu jest przecież, jak przypomniał Joe Biden, dwutlenek węgla), to logiczną konsekwencją jest to, że należy powstrzymać go za wszelką cenę, niezależnie od kosztów. Taką właśnie, dosłownie, wykładnię słów prezydenta Emmanuela Macrona o możliwości wysłania wojsk NATO na Ukrainę dał w tych dniach premier Francji Gabriel Attal: „Zrobimy cokolwiek trzeba, aby Rosja nie wygrała tej wojny na Ukrainie". Cokolwiek trzeba. Cokolwiek.

## GROŹNE PRZEDAWKOWANIE

Nie twierdzę, że propaganda nie ma do odegrania swej zasadnej roli w ramach konfliktów zbrojnych i rywalizacji geopolitycznej – zawsze tak było, czasem w formie bardziej subtelnej, czasem mniej. Jest to tym bardziej zrozumiałe, kiedy potrzebne jest długofalowe zaangażowanie, a zwłaszcza przekonanie ludzi do ponoszenia ryzyka utraty życia w konflikcie zbrojnym. Ale zauważmy, że główną logiczną konsekwencją podobnego schematu propagandowego jest właśnie wzbudzenie bezapelacyjnego zaangażowania i wysyłanie bez buntu ludzi w większej liczbie na możliwą śmierć, gdy tymczasem poparcie Polski dla Ukrainy nigdy nie może być bezapelacyjne, bo nasze interesy nie są i nie będą tożsame, a wysyłanie wojska polskiego na Ukrainę, cokolwiek marzyłoby się prezydentowi Macronowi czy jemu podobnym, po prostu nie wchodzi w żadnym wypadku w grę. Argument „bo Putin", jako rzeczywiste panaceum czy opium dla mas, w przypadku przedawkowania grozi śmiercią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Nowelizacja czy liberalizacja?

Bogdan Chazan

**W zaproponowanej nowelizacji Kodeksu etyki lekarskiej rzadko pojawia się słowo „sumienie", jest za to obowiązek poszanowania „orientacji seksualnej". Czy ginekolog będzie musiał leczyć raka prostaty?**

Składanie przez lekarza przyrzeczenia lekarskiego sięga czasów Hipokratesa z V w. p.n.e. Lekarz już w tamtych czasach przyrzekał m.in., że nie będzie dawał niewieście środka poronnego, że będzie miał szacunek dla swoich nauczycieli. Przysięga Hipokratesa dotrwała do naszych czasów. Jednak treść obecnie składanego przyrzeczenia z tekstem Hipokratesowym ma już niewiele wspólnego.

Pierwszy zbiór zasad deontologii lekarskiej opublikowano w wolnej Polsce w 1921 r. Obecnie obowiązujący tekst Kodeksu etyki lekarskiej powstał podczas VII Nadzwyczajnego Krajowego Zjazdu Lekarzy, który odbył się w Toruniu w 2003 r., 14 lat po reaktywacji Izb Lekarskich. Obowiązkiem każdego lekarza i lekarza dentysty jest stosowanie zasad zawartych w Kodeksie. Za ich nieprzestrzeganie grozi odpowiedzialność zawodowa. Konstanty Radziwiłł, ówczesny prezes Naczelnej Rady Lekarskiej, powiedział wówczas, że „[...]przywiązanie do zasad zawartych w Kodeksie uczyni z polskiego środowiska lekarskiego prawdziwą elitę, przygotowaną nie tylko do wypełniania swojego powołania zawodowego, lecz także przyczyniającą się do budowania obywatelskiego społeczeństwa...".

## NOWA WERSJA KODEKSU

Obecna Naczelna Rada Lekarska postanowiła przedstawić do konsultacji samorządowych i społecznych projekt nowego Kodeksu etyki lekarskiej (KEL) przygotowany przez Komisję Etyki Lekarskiej NIL. O zamiarze zmiany treści Kodeksu w kierunku liberalizacji niektórych jego artykułów słyszało się już od dawna, prowadzono w tej sprawie konsultacje. Jednak dopiero 26 stycznia 2024 r. Naczelna Rada Lekarska podjęła uchwałę nr 3/24/IX zawierająca konkretny projekt zmian treści Kodeksu, którego nowelizacja „ma na celu zapewnienie wysokich standardów etycznego postępowania w zawodzie lekarza oraz dostosowanie się do nowych wyzwań i oczekiwań w obszarze medycyny". I sprawy nabrały niebywałego przyśpieszenia, ponieważ na przygotowanie i składanie uwag dotyczących projektu i wzięcie udziału w „konstruktywnej dyskusji" wyznaczono czas do 15 lutego 2024 r., a więc 22 dni.

Treść niektórych artykułów projektu nie została jeszcze ustalona. Trudno więc nad nimi dyskutować. Ostateczny projekt zostanie przyjęty na kolejnym posiedzeniu NIL 8 marca 2024 r. Po tym terminie tekst będzie mógł podlegać zmianom zgłoszonym wyłącznie przez delegatów na Krajowy Zjazd Izb Lekarskich. Końcowa wersja będzie głosowana podczas Zjazdu w maju tego roku.

Wydawałoby się, że przed przyjęciem tak ważnego dla środowiska lekarskiego, a także dla pacjentów dokumentu autorzy zadbają o rzetelne przygotowanie jego ostatecznego brzmienia. Wszyscy jesteśmy lub będziemy pacjentami, chcielibyśmy w poradni, w szpitalu, spotkać lekarza, który nas właściwie potraktuje, będzie przestrzegał etycznych zasad wykonywania swojego zawodu społecznego zaufania, będzie postępował zgodnie z powinnością moralną, którą wskaże mu dobrze uformowane sumienie. Katolickie Stowarzyszenie Lekarzy Polskich złożyło w przewidzianym terminie 13 stron uwag do proponowanej treści przyrzeczenia lekarskiego i niektórych spośród 83 artykułów. Można przypuszczać, że inne organizacje i osoby zgłosiły je również. Jak znaleźć czas na przedyskutowanie z członkami Komisji Etyki i „wspólne zaktualizowanie" treści KEL? Wydaje się to w zaplanowanym

FOT. ADOBE STOCK



eprasa.pl a97f8a3e85

czasie niemożliwe. Bardzo ważną sprawę kodyfikacji zasad etycznych obowiązujących lekarza potraktowano w lekarskim środowisku, również naszych korporacyjnych mediach, w sposób powierzchowny. Źle się stało, że zaproszono „zawodowe organizacje medyczne, pacjentów oraz społeczność medyczną" do zaledwie trzytygodniowej współpracy nad ostatecznym projektem zmian KEL.

## BRAK SUMIENIA

Przyjrzyjmy się kolejno proponowanym zmianom. W porównaniu z tekstem z roku 2003 język zawiera więcej obcych wyrazów, miejscami styl narracji jest dość chropawy. Zwykle zastosowany język dokumentu oddaje intencje jego autorów. Słowo „powołanie", które dobrze oddaje istotę związku lekarza z jego zawodem, znalazłem w tekście KEL jeden raz, podobnie jak inne kluczowe dla etyki lekarskiej słowo „sumienie". Tak rzadkie odnoszenie się do sumienia lekarskiego w tekście na temat etyki lekarskiej wywołuje sprzeciw, a u obecnych i przyszłych pacjentów powinno budzić trwogę. Takie podejście do lekarskiego powołania zawodowego, wolności sumienia jest widoczne wśród bioetyków na Zachodzie. Mówi się tam głośno o konieczności usunięcia klauzuli sumienia lekarzy. Nasza minister zdrowia proponuje szpitale bez sumienia, ale to na jedno wychodzi. Nie dostrzega się w dokumencie problemu autonomii lekarza, a przecież jest on człowiekiem mającym, tak jak inni, swój system wartości, których w sumieniu jest zobowiązany przestrzegać. Obowiązany jest również respektować autonomię pacjenta, jego godność oraz sumienie i wyznawane wartości. O tym nie ma nawet wzmianki w projekcie nowej wersji KEL.

Od razu w pierwszym artykule zobowiązuje się lekarza do przestrzegania praw człowieka. Byłoby to bardzo ważne zobowiązanie, gdyby w naszej rzeczywistości rzeczywiście uważało się prawa człowieka, a wśród nich prawo najważniejsze – do życia od poczęcia do naturalnej śmierci – za obowiązujące. Tak ujęte prawo do życia jako największego moralnego obowiązku lekarza nie zostało w projekcie KEL uwzględnione. Niesłusznie, życiem i zdrowiem człowieka przed jego urodzeniem zajmuje się przecież położnictwo. Rozumiem, że powstaje pewien problem. Jak wpisać do KEL obowiązek troski o ludzkie życie od momentu poczęcia, skoro słychać dookoła żądania uznania prawa do aborcji jako prawa człowieka? Konieczność poszanowania godności człowieka bez względu na płeć obecna w poprzedniej wersji KEL nie wystarczała, dodano jeszcze orientację seksualną. Signum temporis. Lekarz ma więc kierować się w swojej pracy subiektywnymi sposobami definiowania własnej tożsamości przez pacjenta i akceptować je. Mogą powstać praktyczne problemy w realizacji tej zasady, kiedy lekarz w oddziale ginekologii będzie musiał zajmować się leczeniem raka prostaty.

Niepokój budzi również inna sprawa, związana z sumieniem lekarza. Otóż napisano w projekcie, że nie podejmując leczenia albo odstępując od niego, lekarz wskazuje choremu inną możliwość uzyskania pomocy lekarskiej. W treści art. 7 nie znalazła się informacja, że lekarz, odstępując od leczenia, np. odmawiając uczestniczenia w procedurze z ważnych powodów moralnych, wcale nie musi wskazać innej możliwości „uzyskania pomocy lekarskiej", jeżeli nie ma zagrożenia życia pacjenta, i skorzystać z klauzuli sumienia. W liberalnych kołach bioetyków forsuje się pogląd, że lekarz nie powinien mieć możliwości korzystania z tej klauzuli. W Polsce taka możliwość nadal istnieje, ale autorzy projektu KEL o niej nie wspominają. Nie wiadomo, dlaczego chcą od ochrony wolności sumienia lekarza być jak najdalej.

## TELEPORADA JAKO STANDARD

Z czasów pandemii COVID-19 pamiętamy trudności z uzyskaniem porady lekarskiej. Wtedy rozpoczął się zwyczaj zastępowania normalnego badania przez lekarza rozmową telefoniczną. W sytuacji braku lekarzy, ich wyjeżdżania za miasto z obawy przez zakażeniem się, miało to jakieś uzasadnienie, ale ta moda trwa nadal. Zwolnienia lekarskie są masowo wystawiane od ręki na podstawie oświadczenia, że ktoś źle się czuje. A przecież ich koszty ponosimy wszyscy. Autorzy nowej wersji KEL uznają (art. 9), że teleporada nie jest niczym wyjątkowym, ale wręcz zalecaną, standardową formą pomocy lekarskiej, a do normalnej wizyty u lekarza musi być jakaś dodatkowa „konieczność". Wydaje się jednak, że wyjątek powinna stanowić teleporada, a nie normalna wizyta, która zapewnia najwyższą jakość opieki medycznej. W dodatku lekarz ma wybierać formę konsultacji sam, nie konsultując tego z pacjentem.

Z tego samego okresu pandemii COVID-19 pamiętamy, że chorzy ludzie umierali bez możliwości kontaktu z osobami bliskimi, były trudności z zapewnieniem im opieki duchowej. Wydawałoby się, że te doświadczenia skłonią autorów nowego brzmienia KEL do tego, by art. 30 na temat opieki terminalnej zawierał sformułowania, które uchronią ciężko chorych przed umieraniem w samotności. Niestety, tak się nie stało. Szkoda.

Rola rodziny chorego została zminimalizowana także w następnym artykule. O zaprzestaniu reanimacji i terapii daremnej ma decydować wyłącznie lekarz. Rodzina, osoby bliskie nie będą mieli nic do powiedzenia, lekarz nawet nie będzie miał obowiązku ich wysłuchania (art. 32).

W bardzo ważnej części KEL poświęconej przekazywaniu życia wykreślono zdanie obecne w poprzedniej wersji dokumentu mówiące o tym, że obowiązkiem lekarza są starania o zachowanie zdrowia i życia kobiety w ciąży oraz jej dziecka również przed jego urodzeniem. Ze zdania, które umieszczono w nowej wersji, usunięto słowo „obowiązek", osłabiając stopień odpowiedzialności lekarza za poczęte dziecko. Użycie słowa „reprodukcja" zamiast „prokreacja" może świadczyć o tendencji do koncentrowania się głównie na biologicznym, żeby nie powiedzieć weterynaryjnym, aspekcie przekazywania życia ludzkiego.

Nowy Kodeks etyki lekarskiej ma służyć następnym pokoleniom lekarzy, jego właściwym przekazem zainteresowane są następne pokolenia pacjentów, całe społeczeństwo. Czy będzie dobrze odgrywał swoją rolę jako wskazania wynikające z prawa naturalnego, obowiązku ochrony godności i świętości ludzkiego życia, powszechnego wyczucia dobra i zła? Czy będzie dobrym drogowskazem dla lekarzy, jak wykonywać piękny zawód otoczony społecznym szacunkiem, jak realizować lekarskie powołanie? Dużo trzeba poprawić. A czas goni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Katolicko-anglikańska unia rewolucji

Paweł Chmielewski

**Granice wyznaniowe odchodzą do lamusa, liczyć zaczyna się wspólnota ducha rewolucji**

Papież Franciszek nawiązał doskonałe relacje ze zwierzchnikiem Wspólnoty Anglikańskiej, prymasem Anglii Justinem Welbym FOT. A. BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

Nie wierzą, by w Komunii Świętej Pan Jezus był realnie obecny. Na księży i biskupów ordynują kobiety. Udzielają specjalnych błogosławieństw „małżeństwom" homoseksualnym. Odrzucają władzę papieża, a za swojego zwierzchnika uważają króla. Anglikanie. Można się z nimi zgadzać lub nie, ale trudno zaprzeczyć, że wyznają poglądy głęboko sprzeczne z tym, w co wierzą katolicy. Wydawałoby się, że o jedności pomiędzy jednymi a drugimi nie ma mowy. A jednak papież Franciszek sądzi inaczej i działa tak, jakby ta jedność była już blisko. Więcej: wprowadza w Kościele reformy, które wprawdzie nie podobają się katolikom, ale są gorąco aprobowane właśnie przez anglikanów.

Tak zwany Kościół Anglii narodził się w 1534 r. Angielski parlament ogłosił wówczas „Akt supremacji", deklarując króla Henryka VIII jedynym ziemskim zwierzchnikiem Kościoła w Anglii. Wcześniej Henryk nosił zaszczytny tytuł „Obrońcy Wiary" nadany mu przez papieża Leona X. Napisał nawet apologetyczne dzieło „Obrona siedmiu sakramentów", w którym zwalczał protestancką krytykę katolickiej sakramentologii. Nie na wiele się to zdało. Henryk nie tylko popadł w schizmę, lecz także szybko otworzył swoją wspólnotę religijną na wpływy protestantów z kontynentu. Do Anglii chętnie sprowadzał ich wierny królowi arcybiskup Canterbury, Thomas Cranmer. To autor zreformowanej anglikańskiej liturgii, którą ogłosił w wydanej w 1549 r. słynnej „Book of Common Prayer", czyli „Modlitewniku powszechnym" (swoją drogą, jego liturgia była jednym ze źródeł inspiracji posoborowych reformatorów w Kościele katolickim).

Różnice pomiędzy Kościołem Anglii a Kościołem katolickim zaczęły się pogłębiać, choć do przełomu wieków XIX i XX nie były jeszcze tak duże, jak między katolikami a kontynentalnymi protestantami. Przepaść zwiększyła się, kiedy Leon XIII w liście „Apostolicae curae" z 1893 r. ogłosił, że święcenia w Kościele Anglii są nieważne – innymi słowy, anglikanie nie mają sukcesji apostolskiej, a to oznacza, że anglikańscy biskupi i księża w istocie nimi nie są, a niejako tylko ich udają. W kolejnych dziesięcioleciach anglikanie podjęli wiele decyzji jeszcze silniej oddalających ich od katolicyzmu. W 1930 r. wprowadzili zgodę na antykoncepcję. Od lat 70. w różnych krajach (anglikanizm rozprzestrzenił się m.in. w obu Amerykach, Australii, Afryce i części Azji) zaczęto ordynować kobiety, najpierw na diakonisy, wreszcie nawet na biskupki. Dzisiaj anglikanizm w sferze symbolicznej i estetycznej pozostaje często zbliżony do katolicyzmu, ale wewnętrznie to zasadniczo typowy protestantyzm. Postępujące liberalne zmiany zniechęcają zresztą do własnego wyznania niektórych duchownych. W 2009 r. Benedykt XVI ułatwił anglikanom przechodzenie na łono Kościoła, umożliwiając nawet udzielanie święceń kapłańskich żonatym anglikańskim duchownym. Papież Ratzinger próbował w ten sposób budować jedność w tradycyjnym ujęciu, co wielu ideologów ekumenizmu krytykowało jako próbę „podkradania" wyznawców.

## BERGOGLIO I WELBY

Wszystko zmieniło się 13 marca 2013 r., kiedy Tron św. Piotra objął papież Franciszek. Od samego początku nawiązał doskonałe relacje ze zwierzchnikiem Wspólnoty Anglikańskiej, prymasem Anglii Justinem Welbym, tytułującym się arcybiskupem Canterbury. Welby jest od Franciszka o 20 lat młodszy, ale w pewnym sensie to rówieśnicy: na czele anglikanów rodowity londyńczyk stanął zaledwie osiem dni po tym, jak konklawe wybrało Bergoglia na papieża. Hierarchowie spotykali się od tej pory wielokrotnie, zarówno indywidualnie, jak i przy okazji uczestnictwa w różnych inicjatywach ekumenicznych oraz dialogicznych.

To, co ich łączy, to przede wszystkim wspólna wizja przyszłości chrześcijaństwa. Bergoglio i Welby uważają, że



eprasa.pl a97f8a3e85

nadszedł czas głębokiej decentralizacji – nie tylko administracyjnej, lecz także doktrynalnej i moralnej. W chrześcijaństwie przyszłości – twierdzą – musi być znacznie więcej miejsca dla przeżywania kulturowych różnic. Dotychczasowe formy sprawowania władzy zarówno w Kościele katolickim, jak i we Wspólnocie Anglikańskiej uważają za przejaw kolonializmu, który dziś nie jest już ani pożądany, ani nawet możliwy ze względu na gwałtowny wzrost siły i znaczenia globalnego Południa. Nie musi to być wyraz pozytywnej wizji; to, być może, taktyczna konstatacja wynikająca ze zrozumienia, że nie mają już dość sił, by wszystkim narzucić ten sam liberalny porządek. Wspólnoty, z którymi są osobiście bardziej związani – w przypadku Bergoglia Kościół na liberalnym Zachodzie, Welby'ego w Anglii – chcą aktywnie przekształcać w kierunku głębokiego dialogu ze współczesnym światem. Chrześcijanom z globalnego Południa potrafią dawać wolną rękę. Taki model – uważają – pozwoli zachować jakąś jedność zarówno w ramach Kościoła katolickiego, jak i Wspólnoty Anglikańskiej, a jednocześnie przyniesie nowy impet ekumeniczny. W chrześcijaństwie, w którym daje się autonomię różnym grupom, możliwe są zupełnie nowe formy współpracy.

W przypadku Kościoła katolickiego proces decentralizacji jest bardzo złożony, bo za pontyfikatu Franciszka toczy się nieustanna gra sił. Całość sprawia wrażenie potężnego chaosu. Z jednej strony mówi się o tym, by dawać wszystkim dużą swobodę, z drugiej – Franciszek, gdzie tylko może, narzuca wszystkim swoją własną wizję, co do pewnego stopnia udało mu się np. w kwestiach liturgii. Generalnie jednak, rok po roku, Kościół katolicki rzeczywiście zaczyna przypominać wielobarwną tkaninę. Być może z perspektywy czasu symboliczną datą dla tego procesu będzie 18 grudnia, kiedy ogłoszono dokument „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par homoseksualnych. Kościół katolicki głęboko się podzielił: jedni dokument przyjęli, inni odrzucili. W niektórych diecezjach de facto błogosławi się dziś cywilne związki jednopłciowe, a w innych mówi się, że to grzech śmiertelny. Każdy robi, co chce, mając na to formalną papieską zgodę. Podobne różnice dotyczą też innych zagadnień, jak udzielanie Komunii Świętej niekatolikom, zaangażowanie świeckich w duszpasterstwo i liturgię, podejście do spraw moralnych. Katolicy z Malawi albo Konga mają dziś inną moralność niż ci z Niemiec albo Włoch; ten stan rzeczy coraz bardziej się stabilizuje i utrwala. Tak samo jest u anglikanów: anglikanie z Ugandy wierzą i żyją inaczej niż ci z Anglii.

Sam Justin Welby w lutym 2023 r. zapowiedział, że zamierza gruntownie przekształcić urząd, który sprawuje. Jako zwierzchnik Wspólnoty Anglikańskiej nie chce sprawować władzy nad wspólnotami poza Anglią. „Nie będę trzymać się miejsca ani pozycji jako narzędzia Wspólnoty. Rola abp. Canterbury, stolicy Canterbury, jest historyczna. Narzędzia muszą zmieniać się wraz z czasami" – mówił na spotkaniu anglikanów w Ghanie. Welby zareagował tak na zdecydowany opór anglikanów z Afryki wobec planów Albionu dotyczących wprowadzenia błogosławieństw homoseksualnych. Afrykanie nie chcieli tego zaakceptować; Welby uznał, że w tej sytuacji należy po prostu się z tym pogodzić i postawić na luźniejsze więzy w światowej Wspólnocie. Decyzja o tych błogosławieństwach weszła zresztą w życie 17 grudnia, zaledwie dzień przed tym, jak analogiczny krok wykonał Kościół katolicki. W pewnym sensie to wyraz dziwnej wspólnoty chrześcijan Zachodu: katolicy i anglikanie o liberalnym nastawieniu akceptują rewolucję homoseksualną, konserwatyści z globalnego Południa – nie.

Franciszek i Welby mają nadzieję – a może więcej niż nadzieję – na dalsze pogłębienie tych procesów, to znaczy zbliżania się chrześcijan nie po liniach wyznaniowych, ale kulturowych. Od 2023 r. papież traktuje anglikanów tak, jakby nie byli już schizmatykami ani heretykami. 18 kwietnia 2023 r. grupa 50 anglikańskich duchownych odprawiła nabożeństwo w bazylice św. Jana na Lateranie w Rzymie. Celebrowano przy głównym ołtarzu. To był ważny symbol: chociaż na ogół sądzi się, że najważniejszym kościołem papieskim jest bazylika św. Piotra w Watykanie, to w rzeczywistości tak nie jest. To właśnie bazylika św. Jana jest pierwszą katedrą diecezji Rzymu – to kościół papieża. Zarządcy bazyliki tłumaczyli, że doszło do nieporozumienia – udzielono zgody na celebrację, sądząc, że chodzi o katolików z Anglii, a nie anglikanów. Nie wiem, czy to prawda; ale nawet jeśli tak, to papieżowi bardzo się to spodobało. W styczniu 2024 r. w innej rzymskiej bazylice, św. Bartłomieja na Wyspie Tyberyjskiej, nabożeństwo odprawił sam Justin Welby, już za oficjalną aprobatą Franciszka. To pierwszy taki przypadek w historii.

## PRZYSZŁOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Welby gościł w Wiecznym Mieście na zaproszenie papieża w ramach dorocznych inicjatyw ekumenicznych. W przemówieniach, które obaj z tej okazji wygłaszali, nieustannie mówiło się o jedności. Franciszek piętnował zamykanie się w swoich historycznych i wyznaniowych ograniczeniach, mówił o egoizmie i konieczności pojednania. Welby przekonywał, że chrześcijanie na całym świecie są pełni ogromnych różnic, które trzeba zaakceptować i budować jedność pomimo nich. Najważniejsze – podkreślał – jest okazywanie sobie wzajemnej miłości. Również w styczniu papież Franciszek zaprosił na obrady elitarnej Rady Kardynałów anglikankę Jo Bailey Wells, która tytułuje się biskupem. Wells opowiadała o tym, jak wygląda posługa kobiet we Wspólnocie Anglikańskiej; według relacji uczestników debaty papież był tym żywo zainteresowany, bo jest wielkim zwolennikiem wprowadzenia do Kościoła diakonatu kobiet i chce dowiedzieć się, jak konkretnie można to zrobić. Jeżeli rzeczywiście tak się stanie, to runie kolejna bariera między liberalnymi anglikanami a katolikami, a powstanie nowa w samym Kościele katolickim. Tak wygląda jednak w praktyce „jedność w różnorodności" – motto procesu synodalnego i „taktycznej" decentralizacji Franciszka. Granice wyznaniowe odchodzą do lamusa, liczyć zaczyna się wspólnota ducha rewolucji.

Jedno w tym wszystkim pociesza: chrześcijanie, którzy otwierają się szeroko na egalitaryzm i inkluzję, szybko tracą tożsamość i po prostu zamierają; czy to katolicy, czy anglikanie. Zostają ci, którzy wierzą tradycyjnie. Pomimo wszystkich wysiłków Franciszka i Welby'ego to nie progresiści, ale właśnie ludzie tradycji będą kształtować przyszłość chrześcijaństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



eprasa.pl a97f8a3e85

Józef Kuraś „Ogień”
FOT. IPN

# Zakaz upamiętniania „Ognia”

*Leszek Żebrowski*

**Minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zakazała uroczystości upamiętniających Józefa Kurasia „Ognia” oraz Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Problem w tym, że to komuniści zakłamali jego postać**

Zasada przyjęta kilkaset lat temu w trakcie wojen religijnych w Europie – czyja władza, tego religia – sama w sobie nikczemna, łamiąca sumienia i wolę poddanych, wraca do nas w nowej (?) odsłonie. Upływ czasu niczego nie uczy panujących, chcą nie tylko mieć władzę polityczną, lecz także przejąć naszą pamięć. Oto minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk ujawnia, w którą stronę w tej sferze zmierzamy. (Piszę, nazywając rzecz po imieniu: minister, a nie „ministra”, bo to dotyczy funkcji, a nie osoby z określoną płcią; podobnie było z Jadwigą Andegaweńską jako królem Polski, a nie „królową” czy wręcz „królewną”). Czyli rozstrzygnięcie ma być kategoryczne, zakazowe: „Poleciłam niezwłoczne zaprzestanie organizowania przez ten Urząd [ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych – przyp. L.Ż.] wydarzeń upamiętniających Józefa Kurasia »Ognia« oraz Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Nie ma i nie będzie mojej zgody na czczenie osób, które dokonały zbrodni na ludności cywilnej czy splamiły mundur kolaboracją z hitlerowcami. Polityka pamięci jest ważna, ale musi opierać się na historycznej prawdzie i pielęgnować wartości, a nie gloryfikować tych, którzy brutalnie je zdeptali”. Widać tu wyraźnie jej wolę osobistą („poleciłam”) i polityczną – nie tylko dokonania zmian, lecz także narzucania jej dosłownie wszystkim.

Przydałaby się porządna (a nie powierzchowna) edukacja ministra rodziny, pracy itd. również w tym zakresie. Ludzie są do tego merytorycznie przygotowani, ale cały czas obracamy się w sferze ideologicznych pomówień i wykładni propagandowej, w dodatku z minionej (?) epoki. Z jej wpisu wynika wyraźnie, że przypisuje ona Józefowi Kurasiowi dokonywanie zbrodni na ludności cywilnej. Przykłady oczywiście nie padły, ale można przypuszczać, że jest obciążona ideologią środowisk, przez które się przewinęła w minionych, wielu już latach.

## FAŁSZYWE „DZIENNIKI”

Jeśli mamy do czynienia z konfliktem, to trzeba pamiętać, że zawsze są dwie strony i trzeba poznać w rzeczowej dyskusji ich racje, a nie kategorycznie, w ciemno, opowiedzieć się po jednej z nich. Rzecz w tym, że postać Józefa Kurasia „Ognia” jest potwornie zakłamana, a wiedza na jego temat i jego działalności nadal znikoma. Przez kilka dekad kłamali komuniści. Po 1989 r. oni przecież nie odeszli i ich propaganda też nie. Narastały fałszywe przekonania, które dla wielu środowisk są łatwiejsze do przyjęcia niż prawda.

Zacząć trzeba od fałszywych, rzekomych „dzienników” czy też „notatek” Józefa Kurasia, które mają być podstawowym źródłem wiedzy na jego temat. Znamy przecież tylko wyłącznie produkt – falsyfikat zastępcy szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Autor to sowiecki major Boris Wróblewskij, a rzekomy maszynopis („odpis”) został sporządzony na jego polecenie. Znając metody pracy resortu i jego sowieckich nadzorców („nie takie rzeczy się fałszowało, towarzysze”), nie można w żadnym wypadku bezkrytycznie przyjmować rzekomych „notatek” za źródło historyczne.

„Ogień” prowadził swe zapiski ręcznie, na postojach swego zgrupowania, co jest udokumentowane np. na zachowanych fotografiach. Na maszynie nie pisał.



eprasa.pl a97f8a3e85

Ponadto, co ważne, nie ma w nich żadnego składu i ładu w chronologii. Oryginał jego zapisków nie został do dziś odnaleziony – być może po sporządzeniu maszynowego „odpisu" nie był już potrzebny i dokonano jego zniszczenia, aby uniknąć kompromitacji. Następnie owa wersja została utrwalona przez pułkownika UB Stanisława Wałacha (szefa WUBP w Krakowie) oraz komunistycznego grafomana Władysława Machejka. Oni już dawno wprawdzie nie żyją, ale ich tandetna propaganda ma się całkiem dobrze. W tzw. obiegu funkcjonują zresztą różne, w tym skrajnie jadowite, wersje owych „notatek". Są one notorycznie wykorzystywane przez m.in. badaczy Holokaustu, publicystów i dziennikarzy. Każdy zatem może czerpać z nich, co tylko zechce, wersję łagodniejszą lub ekstremalną. Ale mamy przecież wiele innych źródeł do historii „Ognia" i warto je konfrontować z propagandową wersją.

## POWIESZENIE I „ZAMORDOWANIE"

Weźmy tu pod uwagę dwa wydarzenia. Pierwszym z nich jest powieszenie na słupie ciężarnej Katarzyny Kościelnej z Ostrowska rzekomo za to, że wyraziła się przy sąsiadce źle o „Ogniu" – jako o bandycie. Taką wersję lansują ci, którzy sprawy badać nie zamierzają. A przecież nie jest to takie trudne. Nie można powiedzieć, że „Ogień" z tą zbrodnią nie miał nic wspólnego. Miał, ale nic, co miałoby jego oraz jego ludzi obciążać! Była to zbrodnia z zakresu obyczajowego, popełniona przez pospolitych bandziorów, a „władza ludowa" nie kwapiła się, aby rzecz wyjaśnić, wziął się więc do tego rzekomy zbrodniarz, czyli Józef Kuraś. Na jego polecenie sprawcy zostali ustaleni, ujęci i skazani na śmierć. Nie tylko za to zresztą. Pułkownik Wałach pisał jednak, że „Ogień" zabił tę nieszczęsną kobietę, bo rzekomo popierała komunistyczną władzę!

Podobnie wygląda sprawa „zamordowania" czterech dorosłych członków rodziny Zagatów-Łatanków. W wersji propagandowej wygląda to strasznie. Przyszli „Ogniowcy" i zabili Bogu ducha winnych ludzi. Faktycznie było inaczej: Zagatowie znani byli w okolicy ze złodziejstwa i z bandytyzmu. „Ogień" otrzymywał prośby mieszkańców o ochronę przed nimi. Po sprawdzeniach, że nie są to pomówienia (o co zawsze było w tamtych latach łatwo), i po wielokrotnych, ale nieskutecznych ostrzeżeniach, żeby zaprzestali działalności kryminalnej, zostali skazani na śmierć i zlikwidowani. Wtedy nie było procedur sądowych i więzień. Mawiano w takich przypadkach: „albo lasek, albo piasek", czyli obwinieni byli zwalniani (jeśli dowody ich winy były niewystarczające) albo podlegali likwidacji. Pamiętajmy, że Zgrupowanie „Błyskawica", którym dowodził „Ogień" na Podhalu, poza zwalczaniem skrajnie represyjnej komuny musiało też pełnić funkcje porządkowe na podległym mu terenie. To dlatego tak długo utrzymywał się w terenie, mając poparcie mieszkańców, a oddziały zgrupowania mogły istnieć w terenie jeszcze przez kilka lat po jego śmierci. Komuniści stosowali wobec nich bardzo drastyczne metody. Czym było branie jako zakładników kilkuletnich dzieci (!) i trzymanie ich w aresztach? Czyżby pani minister o tym nie słyszała?

Swoje trzy grosze, kontynuując ubecką propagandę, wtrącał później Jacek Kuroń (dwukrotny członek PZPR, o czym warto pamiętać). Jakby w pijackim zwidzie atakował „Ognia" w stylu płk. Wałacha. Robił to jednak już w tzw. III RP, przypisując mu czyny wprost haniebne. I kłamał w żywe oczy, że „Ogień" jakoby „najpierw należał do AK, potem założył własną bandę". Czyli nawet AK to była banda? Tyle że jeszcze nie jego własna? A był przecież konstytucyjnym ministrem, tak jak obecnie Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Ona o takich i innych praktykach zapewne nie słyszała, bo w środowiskach, przez które się przewijała, nie był to temat do uczciwych rozstrząsań.

Na to wszystko nakłada się działalność „band pozorowanych", które tworzyli komuniści w celu dyskredytacji podziemia niepodległościowego. Pełnego zakresu tego zjawiska i jego „dokonań" nie znamy i zapewne już nigdy nie poznamy. Upływ czasu i zacieranie śladów zrobiły swoje. Ale jednak coś wiemy. Na Podhale została wysłana m.in. taka „banda" pod dowództwem niejakiego Bolesława Szwejgierta. Ciekawy to był osobnik. Przewinął się przez służbę w NKWD, KBW (to było ubeckie „wojsko"), Informację Wojskową – czyli odnogę sowieckiego Smierszu (kontrwywiadu) – i wreszcie trafił do UB, pod skrzydła osławionej „Krwawej Luny", czyli Julii Brystyger. Jego wcześniejszy przełożony z KBW, ppłk Hański, tak go scharakteryzował: „Inteligentny, godny zaufania oficer. Położył niemało zasług w rozpracowaniu bandy Ognia na Podhalu, osobiście prowadził akcje w Dolinie Chochołowskiej, w wyniku której został zlikwidowany pododdział Ognia". Onże Szwejgiert wykazał się inicjatywą własną, bo na jego wniosek została sformowana „banda pozorowana", ale bardzo szybko się skompromitowała. Nie miała na mundurach ryngrafów, a zachodząc do chat góralskich, nie umiała się przeżegnać… Ale siła złego przy okazji dokonała.

Jeśli sprawdzamy wszystko krok po kroku, dokładnie, to wszystkie ubeckie, PRL-owskie narracje, powielane do dziś (nawet przez ministra!), jakoby „Ogień" był pospolitym rzezimieszkiem, który dokonywał zbrodni na ludności cywilnej, mają się nijak do rzeczywistości. Po konfrontacji sloganów z rzeczywistością powinniśmy oczekiwać wycofania się z nieuprawnionych zarzutów i przeprosin. Do tego trzeba mieć jednak klasę.

„Ogień" zapłacił za walkę z Niemcami straszną cenę: była to śmierć jego żony, dwuipółletniego synka oraz ojca. A za walkę z komunistami zapłacił życiem własnym.

## MOTYW KOLABORACJI

Czy żołnierze i oficerowie Brygady Świętokrzyskiej NSZ splamili mundur „kolaboracją z hitlerowcami" albo mordowaniem ludności cywilnej? Pamiętajmy, że kolaboracja z okupantami na ziemiach polskich podczas okupacji faktycznie miała miejsce – i to na wielką skalę. Tak zwana Polska Partia Robotnicza (powstała w 1942 r.) oraz jej bojówki, Gwardia Ludowa i następnie Armia Ludowa, były jawną agenturą państwa sowieckiego, które we wrześniu 1939 r. unicestwiło Polskę w kolaboracji z III Rzeszą Niemiecką. Nawet później, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, dochodziło do incydentalnej, często krwawej współpracy komunistów z III Rzeszą. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk powinna to doskonale wiedzieć, wszak to nie były czasy bardzo odległe, a ugrupowania, w których działa, mają odpowiednią przeszłość organizacyjną i ideologiczną.

Motyw kolaboracji BŚ i szerzej – NSZ oraz podziemia niepodległościowego – był stałym motywem propagandy komunistycznej, która w ten sposób usiłowała legitymizować swą władzę otrzymaną od Stalina. Warto zajrzeć do dokumentacji przygotowywanej w komunistycznym



eprasa.pl a97f8a3e85

Ministerstwie Sprawiedliwości odnośnie do ekstradycji dowódcy BŚ, płk. Antoniego Szackiego „Bohuna-Dąbrowskiego". Funkcjonariusze Polski Ludowej zdołali umieścić go (oraz innych oficerów Brygady) na liście zbrodniarzy wojennych w Komisji ONZ ds. Zbrodni Wojennych w Londynie, ale następnie spotkali istotną przeszkodę. Do ekstradycji niezbędne były bowiem… dowody. Z braku takowych przystąpiono więc do ich fabrykacji. Polecenie wykonywały Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwo Sprawiedliwości. Pułkownik Marian (Mosze) Muszkat, reprezentant ówczesnych władz warszawskich przy tej komisji, uznał, że okazanie takich „dowodów" byłoby dla Polski Ludowej całkowitą kompromitacją, i dalszych działań w tym kierunku zaniechano. Nic dziwnego, ponieważ w spreparowanych zeznaniach na ten użytek można przeczytać, że BŚ mordowała Żydów, np. w… styczniu 1943 r., choć powstała dopiero ponad półtora roku później.

Ciekawa jest tajna charakterystyka „Bohuna", dokonana w 1947 r. przez wywiad wojskowy Polski Ludowej. Możemy tam przeczytać: „W 1939 r. uważany jako jeden ze zdolniejszych oficerów w armii. Jest człowiekiem o wysokiej inteligencji, ma dar zjednywania sobie ludzi, dumny, bardzo stanowczy, jeśli chodzi o sprawy Brygady Św. lub NSZ". Komuniści pisali to przecież wyłącznie na użytek wewnętrzny. Nic dziwnego, że wielokrotnie usiłowali go na emigracji zlikwidować. Doprowadzili nawet do postawienia „Bohuna" przed sądem francuskim w Tuluzie w 1950 r., ale konkretne dowody jego chlubnej działalności przeważyły. Były to m.in. zeznania Żydówek francuskich, uratowanych przez BŚ z obozu w Holiszowie. Komuniści natomiast kontrdowodów nie mieli.

Dzieje Brygady Świętokrzyskiej zostały w minionych latach bardzo dobrze opisane i udokumentowane. Z jednej strony mamy niewątpliwą działalność niepodległościową, z drugiej zaś propagandowe slogany, na ogół oparte na kłamstwach i ideologicznych wynaturzeniach. Nie ma jednej płaszczyzny, gdzie można byłoby uczciwie polemizować i dyskutować w oparciu o rzeczowe argumenty.

Coś w tym jest, że ukrywanie krwawej kolaboracji komuny, która dostała w 1944 r. pełnię władzy od samego Stalina, wymaga notorycznego deprecjonowania środowisk i ugrupowań niepodległościowych. Zaraz po 1944 r. przez ponad dekadę była to bezwzględna walka z Polskim Państwem Podziemnym, Armią Krajową i Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Dziesiątki tysięcy ludzi straciło w niej życie. Od 1956 r. widać oznaki rozwarstwienia w tej propagandzie, np. podział na „reakcyjną górę" AK i rzekomo otumanioną resztę. Później dochodziło do obłaskawiania (za zaszczyty i świecidełka) całych środowisk, o ile zaczęły uznawać prymat Polski Ludowej.

Natomiast odnośnie do NSZ komuniści byli nieugięci, do końca swego formalnego panowania nie zmienili swego stosunku do tej formacji. I to ona (a w tym BŚ) stała się synonimem zdrady, mimo ogromnych osiągnięć tej formacji w walce z Niemcami, komuniści mieli zaś pozostawać poza wszelkim podejrzeniem. W tej ideologiczno-politycznej walce, toczonej – jak widać – do dziś, żadne argumenty się nie liczą. Zamiast siły argumentów obowiązuje argument siły – teraz jest to robione z pozycji sprawowanej władzy.

## SPRAWDZENI PRZEZ AMERYKANÓW

Najważniejsze argumenty na dziś, dotyczące działalności BŚ i jej dokonań, można potwierdzać archiwaliami, slogany nie są potrzebne. Armia amerykańska solidnie sprawdzała tę jednostkę, gdy jeszcze była po drugiej stronie frontu. Było to utrudnione, ponieważ Brygada podawała się za jednostkę AK. Nawet w „polskim" Londynie wywołało to entuzjazm, ale wszystko się zmieniło, gdy okazało się, że to jednostka NSZ, w dodatku z części niescalonej z AK. Dla Amerykanów były to jednak nieistotne niuanse. 14 maja 1945 r. emisariusz gen. Władysława Andersa (wówczas p.o. Naczelnego Wodza) ppłk dypl. Alojzy Mazurkiewicz przemówił do żołnierzy Brygady: „Jesteście jedynym oddziałem, któremu udało się przejść przez wszystkie trudy i znoje życia żołnierskiego z bronią w ręku. U Amerykanów macie opinię jak najlepszą. Tę opinię zjednaliście sobie swoją postawą żołnierską i swym zachowaniem. Byliście i jesteście żołnierzami polskimi i czyny wasze przejdą do historii".

Wielu oficerów i żołnierzy Brygady zostało wysłanych na szkolenia do 2. Korpusu. Cel był jednoznaczny – były plany utworzenia 4. Dywizji Pancernej w jego ramach, a cała Brygada miała wejść w jej skład. Mamy to w meldunku ppłk. D.S. Funka do dowódcy 3. Armii USA z 16 czerwca 1945 r., gen. George'a Pattona: „Ostatecznie jednostka ta zostanie przeniesiona do 21. Grupy Armii w celu dołączenia do 4. Polskiej Dywizji Pancernej". Jeszcze ważniejsze jest stwierdzenie w tym meldunku, że „jednostka ta ma status Wojsk Alianckich". Dlatego oficerowie i żołnierze BŚ otrzymali od Amerykanów (jako jedyni!) prawo noszenia na mundurach oznak ich armii. Jednak plany odnośnie do Polskich Sił zbrojnych szybko się zmieniały, polskie wojsko nie było już Brytyjczykom potrzebne, wprost przeciwnie – stało się dla nich obciążeniem politycznym, dlatego te plany nie zostały zrealizowane.

Generał Stanisław Maczek, dowódca polskiej 1. Dywizji Pancernej (jeden z najwybitniejszych oficerów drugiej wojny światowej – nigdy nie przegrał żadnej bitwy!), spotkał się po wojnie z oficerami i żołnierzami Brygady. Powiedział do nich: „Wy, żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, jesteście dla wielu wyrzutem sumienia. Rozwój wypadków Wam przyznał rację, bo walczyliście i z Niemcami, i z Sowietami. Ci, którzy postępowali inaczej, nigdy Wam tego zapomną".

Dzisiejsze określenia BŚ jako jednostki kolaboracyjnej, która rzekomo „splamiła mundur kolaboracją z hitlerowcami", są zastanawiająco zbieżne z tezami Wikipedii rosyjskiej. A przecież przedtem to samo głosiła sowiecka historiografia, uważając NSZ, w tym i BŚ, za swych „zajadłych wrogów". Być może to jest ich najważniejsza wina – walka z komunizmem wobec trwającej do tej pory analogicznej propagandy środowisk dziś określanych eufemistycznie jako „lewicowe". Czyżby Agnieszka Dziemianowicz-Bąk czerpała wiedzę m.in. z Wikipedii rosyjskiej?

Skoro jednak minister napisała, że „polityka pamięci jest ważna, ale musi opierać się na historycznej prawdzie i pielęgnować wartości, a nie gloryfikować tych, którzy brutalnie je zdeptali", to może podejmie jakieś konkretne działania w tym kierunku, jak choćby w sprawie alei Armii Ludowej w Warszawie? Tak, tej AL osławionej w stolicy wspólnymi akcjami przeciwko niepodległościowcom w komitywie z Niemcami. AL chcącej strzelać w plecy żołnierzom AK w powstaniu warszawskim. Takie mieli plany operacyjne.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

**Z Mirosławem Olszyckim Olsensis, podróżnikiem, członkiem elitarnego Explorers Clubu, autorem filmów i książek**
*rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*

# Tropem „Anioła Śmierci"

Nazwisko Mengele było jednym z pierwszych, które się pojawiło w kontekście okrucieństw popełnionych w obozach koncentracyjnych FOT. ARCHIV DER MAX-PLANCK-GESELLSCHAFT

**TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pionierką osadnictwa niemieckiego w Ameryce Południowej była siostra Friedricha Nietzschego?**

MIROSŁAW OLSZYCKI OLSENSIS: Owszem, miała olbrzymi wkład w założenie kolonii niemieckiej w Paragwaju, która nazywała się Nowa Germania. Jednakże prekursorami zorganizowanego niemieckiego osadnictwa w Ameryce Południowej były rodziny, które w roku 1818 przybyły do Brazylii i założyły tam osadę Leopoldina (nazwano ją na cześć córki cesarza Franciszka II Habsburga). Warto przy tym wspomnieć o rodzinie Welserów z Augsburga, która w 1528 r. otrzymała w zarządzanie od Karola V, Świętego Cesarza Rzymskiego i króla Hiszpanii, prowincję obecnej Wenezueli. Oprócz podejmowanych wypraw i podbojów Welserowie zajmowali się handlem niewolnikami z Afryki, a także tubylcami. Kolonia, którą założyli, nazywała się Klein-Venedig i została zlikwidowana w 1546 r.

**Pomysł Nowej Germanii nie wypalił, bo Niemcy woleli kolonizować Afrykę?**

Nowa Germania (hiszp. Nueva Germania) jest dziś przypomnieniem antysemickiego eksperymentu rasowego.



eprasa.pl a97f8a3e85

Założona w Paragwaju w roku 1886 przez Bernharda Förstera i jego żonę, Elisabeth, siostrę niemieckiego filozofa, Friedricha Nietzschego, stała się symbolem aryjskiej utopii. Małżonkowie znajdowali się pod przemożnym wpływem teorii Richarda Wagnera, który przepojony ówczesnymi nastrojami antysemickimi zaproponował budowę nowych Niemiec z dala od Europy. Wegańskich i pozbawionych żydowskich naleciałości. Försterowi Paragwaj wydawał się idealną lokalizacją. Kraj ten, po wyniszczającej „wojnie trójprzymierza" (1864–1869), w której stracił niemal trzy czwarte swojej populacji, był zmuszony do wypłacenia reperacji Brazylii i Argentynie. Szukając dochodów, sprzedawał grunty publiczne po bardzo dobrych cenach. Jednym z kupujących byli Förster z małżonką. Niestety, wszelkie wyobrażenia o aryjskiej utopii zniknęły, gdy przyszło się zmierzyć z realiami. Gorący i wilgotny klimat, malaria, pasożyty i jadowite węże siały spustoszenie wśród niemieckich osadników. Nowa Germania zamiast rosnąć, malała, a jej mieszkańcy wracali na Stary Kontynent albo szukali szczęścia w Afryce, gdzie w tamtym czasie promowano niemiecką kolonizację.

**Mengele należał do osób odpowiedzialnych za codzienną selekcję nowo przybyłych do Auschwitz**

**Latynoscy dyktatorzy czerpali inspirację z faszyzmu i nazizmu?**

Nie wszyscy, ale wydaje się, że kilku z nich posiadało takie inklinacje. Chyba najbardziej reprezentatywnym przykładem jest Juan Domingo Perón – prezydent Argentyny w latach 1946–1955 oraz 1973–1974. Bezpośrednio przed wybuchem drugiej wojny światowej przebywał w charakterze attaché wojskowego we Włoszech i w Niemczech. Owładnięty obsesją na punkcie faszystowskiej etyki pracy, zwłaszcza roli związków zawodowych w Italii Benita Mussoliniego, zaczął sympatyzować z byłymi nazistami, uważając za niesprawiedliwe ściganie ludzi jedynie wykonujących rozkazy. Perón opisał procesy norymberskie jako hańbę i niegodność zwycięzców. Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. zdał sobie sprawę, że naziści posiadali wiedzę i umiejętności, które będzie można wykorzystać. Po objęciu stanowiska prezydenta, w zamian za ochronę i udzielenie azylu, pragnął ściągnąć do kraju jak największą liczbę byłych współpracowników i podwładnych Hitlera, by pomogli mu sprowadzić do Argentyny niemiecką technologię i podnieść jej status na poziom porównywalny ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. W tym przypadku nie ma się co dziwić, ponieważ Amerykanie i Sowieci również „korzystali" po roku 1945 z usług hitlerowców. Zatem plany Peróna nie stanowiły tu wyjątku.

**Josefa Mengele krył parasol ochronny Alfreda Stroessnera?**

Wszystko na to wskazuje. Po ucieczce z Argentyny, gdzie wiódł dość spokojne i dostatnie życie jako przedstawiciel rodzinnej firmy produkującej maszyny rolnicze, i przeprowadzce do Paragwaju otrzymał obywatelstwo tego kraju (1959), co w pewnym sensie dawało mu gwarancję nietykalności. Na początku zamieszkał w niemieckiej kolonii Nowa Germania, a potem w Hohenau, miasteczku w pobliżu granicy z Argentyną i Brazylią. Pomagał rodzinie Albana Kruga w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Nie był z tej pracy zadowolony. Zdany na łaskę swojego nieokrzesanego opiekuna zamęczał się myślami nad swoim losem, że zostanie złapany lub będzie musiał żyć w nieskończoność w ukryciu „u tego głupca Kruga". Myślał o zmianie miejsca zamieszkania.

**Co wiadomo o rodowodzie „Anioła Śmierci"?**

Urodził się w roku 1911. Był najstarszym synem Karla Mengele, właściciela dobrze prosperującej fabryki w miejscowości Günzburg w Bawarii, wytwarzającej akcesoria dla rolników, a w pewnym momencie także specjalne samochody pożarnicze dla wojska. Mógł przejąć fabrykę po ojcu, ale wolał zostać lekarzem. Kolega Józefa ze szkolnej ławki, Julius Diesbach, wspominał, że młody Mengele był bardzo ambitnym człowiekiem z wielką potrzebą sukcesu. Przepowiadał, że kiedyś będą o nim pisać w encyklopediach. I w pewnym sensie przepowiednia się spełniła.

**MIROSŁAW OLSZYCKI OLSENSIS**
**„MEFISTO Z AUSCHWITZ"**
**ZONA ZERO 2024**

**Wcześniej zafascynował się hitleryzmem czy medycyną?**

Otrzymał konserwatywne wychowanie. W domu panowała pruska dyscyplina, a matka bardzo rzadko ujawniała uczucia. Podobno rodzice często się kłócili. W szkole, w gimnazjum, panowało nacjonalistyczne nastawienie, a spora część nauczycieli wywodziła się spośród wojennych weteranów z pierwszej wojny światowej. Jest prawdopodobne, że podwaliny pod przyszłe poglądy polityczne Mengele zostały położone właśnie w szkole. Gdy w roku 1930 rozpoczął studia medyczne w Monachium, atmosfera tego miasta wypełniała się już doktrynami Adolfa Hitlera, stając się swoistym centrum i bastionem nazizmu. Zapewne miało to wpływ na kształtowanie się charakteru studenta Mengele.

**Błyskotliwą karierę eugenika i badacza rasy aryjskiej mogło zahamować jego małżeństwo?**

Ożenił się w lipcu 1939 r. z córką swojego profesora, Irene Schoenbein. Poznali się w miejscowym szpitalu, gdzie Mengele pełnił funkcję lekarza rezydenta. Był już wtedy zagorzałym zwolennikiem Hitlera. W roku 1935 obronił doktorat z zakresu antropologii, a rok później otrzymał angaż w Instytucie Genetyki i czystości Rasowej we Frankfurcie nad Menem. Mianowano go asystentem profesora Otmara Freiherra von Verschuera, dyrektora tego instytutu. Profesor otwarcie wielbił Hitlera i odegrał znaczącą rolę w realizacji narodowej socjalistycznej polityki rasowej. Przypuszczalnie wywarł kluczowy wpływ na ukształtowanie się światopoglądu Mengele. Ślub z Irene, z którą doczekali się syna, Rolfa, nie miał prawdopodobnie żadnego wpływu na dalszą karierę pana młodego.

**Zanim został pseudolekarzem w kacetach, walczył na froncie wschodnim?**

Kiedy wybuchła wojna, nie chciał pozostawać na uboczu i po trzymiesięcz-


eprasa.pl a97f8a3e85

nym przeszkoleniu wstąpił do armii w charakterze oficera medycznego. Wkrótce dostał awans na Untersturmführera (podporucznika) i dołączył do oddziałów Waffen-SS, uchodzących za najbardziej fanatyczne w niemieckim wojsku. W styczniu 1942 r. przydzielono go do służby medycznej dywizji Waffen-SS „Viking", uczestniczącej w operacji „Barbarossa", czyli niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki. Wrócił do Niemiec pod koniec 1942 r. – z Żelaznym Krzyżem na mundurze – rozpoczynając pracę w Biurze do spraw Ras i Przesiedleń w Berlinie. To tam, jak się zdaje, został wtajemniczony w projekt planu „ostatecznego rozwiązania". Projekt ten, forsowany przez samego Adolfa Hitlera, mieli realizować Reinhard Heydrich oraz Adolf Eichmann, główny koordynator i wykonawca planu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej".

**Policzono ofiary jego zbrodniczych eksperymentów?**

Nazwisko Mengele było jednym z pierwszych, które się pojawiło w kontekście okrucieństw popełnionych w obozach koncentracyjnych. Wiemy tylko i „aż" tyle, że należał do osób odpowiedzialnych za codzienną selekcję nowo przybyłych: tych, którzy byli bezużyteczni (trafiali do komory gazowej), przeznaczonych do eksperymentów i przydzielanych do katorżniczej pracy.

Więźniowie zapamiętali eleganckiego, przystojnego mężczyznę, ubranego w nienagannie czysty mundur, zawsze ze szpicrutą w ręku. Bliźnięta, będące najważniejszym „materiałem" do doświadczeń Mengele, poddawano selekcji od 1944 r. i przenoszono do specjalnych baraków. Auschwitz zapewniało lekarzowi nieograniczoną liczbę „próbek". „Badania" polegały m.in. na transfuzjach krwi od jednego bliźniaka do drugiego, zmienianiu koloru oczu poprzez wkraplanie specjalnych barwników, które powodowały trwałą ślepotę, wstrzykiwaniu bakterii tyfusu i gruźlicy lub operacjach bez znieczulenia. Więcej niż piekło!

**Kiedy i w jakich okolicznościach trafił na drugą półkulę?**

Opuścił Auschwitz w styczniu 1945 r. Chroniąc się przed aliantami, zamieszkał w gospodarstwie rolnym rodziny Fischerów w Bawarii, następnie odbył podróż do Innsbrucku, a stamtąd do schroniska w Steinach, u podnóża przełęczy Brenner w Tyrolu. Następnie przedostał się do Vipiteno we Włoszech, gdzie nazistowska siatka przemytnicza nazywana często „Odessą" lub „Rat-line" (szlakiem szczurów), organizująca jego ucieczkę, załatwiła mu fałszywe dokumenty. Mógł wyjechać do Bolzano, a potem do Rzymu, gdzie otrzymał paszport Czerwonego Krzyża, który uprawniał go do opuszczenia Europy. Opuścił ją na statku pasażerskim wypływającym z portu w Genui. Statek zawinął do portu w stolicy Argentyny 26 sierpnia 1949 r.

**W ukrywaniu się przed wymiarem sprawiedliwości pomagało mu wielu. Rodzina regularnie dostarczała mu znaczne sumy pieniędzy**

**To przypadek, że osiadł na „Ziemi Bliźniaków"?**

Brazylijskie Candido Godoi, miasteczko w stanie Rio Grande do Sul, to fenomen na skalę świata. Prawie każdego roku od 1963 r. bliźnięta rodzą się tu na niespotykaną skalę. W dodatku niemal wszystkie o jasnych włosach i niebieskich oczach. Współcześnie co piąta ciąża to ciąża mnoga. W Europie – średnio co 80. Czy to jedynie ślepy traf? Nie wiemy. Chociaż możemy przypuszczać, że mieszkańcy miasteczka, głównie pochodzenia niemieckiego, przyjęli Mengele z otwartymi rękami. Potrzebowali lekarza. Olbrzymia brama witająca przybyszów wielkim napisem: „Terra dos Gemeos" (Ziemia Bliźniaków) działa na wyobraźnię. „Mefisto" znał się na rzeczy, leczył zwierzęta i ludzi, przyjmował porody, mówił, że może przeprowadzić sztuczne zapłodnienie, a przede wszystkim przesiadywał całymi dniami w swoim domowym laboratorium, w którym produkował jakieś tajemnicze eliksiry w butelkach. Z czego? Na co? Dla kogo? Pytania można mnożyć.

**Czemu porzucił Paragwaj na rzecz Brazylii?**

Okazało się, że paszport Paragwaju nie był wystarczający. Zaczęto deptać mu po piętach. Narastał strach przed aresztowaniem. Oprócz tego, przebywając w gospodarstwie Krugów w Hohenau, Mengele nie tylko czuł się jak ptak zamknięty w klatce, lecz także nie potrafił się dogadać z jego właścicielem. Pod koniec lat 60. postanowił przenieść się do Brazylii. Najpierw zamieszkał w Fazendzie Santa Lucia, a potem na przedmieściach stolicy stanu São Paulo. Czuł się osamotniony. Zaczęły prześladować go choroby, dręczyły koszmary i wizje. Aż nastał 7 lutego 1979 r. Wybrał się ze znajomymi na plażę i zanurzył w Atlantyku… Po pobieżnych oględzinach lekarz sądowy stwierdził zgon w wyniku utonięcia. Nie przeprowadzono sekcji zwłok. Z dokumentów tożsamości zmarłego lekarz przepisał nazwisko do aktu zgonu: Wolfgang Gerhard, 53 lata. A Mengele miał wtedy 68 lat.

**Mosad, Szymon Wiesenthal i Serge Klarsfeld nie zdołali go wytropić?**

W ukrywaniu się przed wymiarem sprawiedliwości pomagało mu wielu. Rodzina regularnie dostarczała mu znaczne sumy pieniędzy. Wspierali funkcjonariusze III Rzeszy, tworzący po zakończeniu wojny sieć organizacji umożliwiającej bezpieczny byt czołowym hitlerowcom. Ciągła zmiana miejsc zamieszkania, zmowa milczenia oraz wrodzona inteligencja „Mefisto" pozwoliły mu uniknąć zasłużonej kary.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Mirosław Olszycki Olsensis – absolwent łódzkiej PWSFTViT oraz Uniwersytetu Łódzkiego. Autor esejów i powieści historycznej (m.in. „Peru", „Bramy Szeolu", „Meksyk – szlakiem zdobywców", „Świat kolonialnej Ameryki Łacińskiej", „Chrystianizacja i Ewangelizacja Ameryki Łacińskiej" oraz – najnowszej – „Mefisto z Auschwitz"), autor telewizyjnego programu podróżniczego oraz filmów dokumentalnych. Uczestniczył w wyprawie do najgłębszego kanionu na świecie – Colca w Peru. Twórca Festiwalu Mediatravel. Należy do elitarnego Explorers Clubu.*



eprasa.pl a97f8a3e85

**Z byłym dyrektorem agencji Frontex, Fabrice'em Leggerim**
*rozmawia Olivier Bault*

# Chcę powstrzymać szkodliwą aktywność Komisji Europejskiej w sprawie migracji

**OLIVIER BAULT: Co może zmotywować byłego dyrektora Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej Frontex do startu w wyborach europejskich, a co więcej – do startu na liście partii Marine Le Pen?**

**FABRICE LEGGERI:** Jak pan wie, byłem dyrektorem Frontexu przez ponad siedem lat. Pracowałem w samym centrum europejskiej machiny w obszarze zarządzania granicami zewnętrznymi i imigracją, a tym samym walką z nielegalną imigracją. Jestem zatem świadkiem i kluczowym graczem tej polityki, osobą, która mogła zdać sobie sprawę, że istnieje pilna potrzeba działania, aby powstrzymać szkodliwą aktywność Komisji Europejskiej w sprawie migracji. Rzeczywiście uświadomiłem sobie, że Komisja Europejska nie postrzega nielegalnej imigracji jako problemu, ale jako projekt.

Stałem się szczególnie świadomy powagi sytuacji wraz z ukonstytuowaniem się Komisji Ursuli von der Leyen pod koniec 2019 r., a zwłaszcza w chwili pojawienia się w Komisji Europejskiej komisarz odpowiedzialnej za sprawy wewnętrzne – Ylvy Johansson. To osoba o lewicowych poglądach, która sama siebie określa jako socjaldemokratę, ale swoje życie polityczne w Szwecji rozpoczęła w Partii Lewica-Komuniści (Vänsterpartiet Kommunisterna). Jej spojrzenie na rzeczywistość jest, moim zdaniem, znacznie bliższe wizji radykalnej lewicy – takiej, którą przedstawia we Francji La France Insoumise Jeana-Luca Mélenchona – niż socjaldemokratom.

Widziałem zatem skrajnie negatywny aspekt działań dzisiejszej Komisji Europejskiej podejmowanych pod wpływem lobby proimigracyjnych organizacji pozarządowych, a także z powodu aktywizmu pewnej części lewicy, skrajnej lewicy i Zielonych w Parlamencie Europejskim.

Wszystko to zmotywowało mnie do działania, ponieważ zdałem sobie



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADOBE STOCK

sprawę, że kiedy jest się urzędnikiem państwowym, nawet jeśli odpowiada się za bardzo ważne kwestie – a tak było w moim przypadku – możliwości działania są ograniczone. Albo pewne rzeczy się akceptuje i milczy, albo składa się dymisję. Trzecim rozwiązaniem, gdy naprawdę ma się poczucie służby publicznej i interesu wspólnego, jest wejście do polityki.

Szczególnie zszokował mnie sposób, w jaki zareagowała Komisja Europejska, a w szczególności komisarz Johansson, która zmieniła mandat agencji Frontex. Powiedziała mi to od razu, pod koniec października 2019 r., kiedy spotkałem ją po raz pierwszy: „Ale po co wam broń i mundury w tym europejskim korpusie? Migranci przybywają do nas z miłości, a pana zadaniem jest ich przyjąć. Europa jest starzejącym się kontynentem i czy nam się to podoba czy nie, musimy ich przyjąć".

I wtedy stwierdziłem, że nastąpiła całkowita redefinicja misji, do której zostałem powołany, a przede wszystkim ponownie wybrany na drugą kadencję, a która polegała na zbudowaniu europejskiego organu mającego przypominać policję graniczną wspomagającą poszczególne państwa.

A jeśli chodzi o moje zaangażowanie polityczne, to Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen wybrałem dlatego, że chcę być w opozycji do Komisji pod przewodnictwem von der Leyen, która znalazła się na tym stanowisku dzięki prezydentowi Macronowi. Jestem zdecydowanie w opozycji do von der Leyen i Macrona.

**Kiedy był pan dyrektorem Frontexu, powiedział pan, że dobrze strzeżone granice zewnętrzne są niezbędne do zachowania swobody przemieszczania się w obszarze europejskim. Jednak dziś wchodzi pan na listę partii, która chce przywrócić kontrole na granicach państwowych. Czy jest to przyznanie się do porażki?**

Nie, ponieważ w rzeczywistości stanowisko Zjednoczenia Narodowego, czyli RN – Rassemblement National – w sprawie Unii Europejskiej ewoluowało. Partia Marine Le Pen przeszła w ciągu ostatnich pięciu lat pewną drogę. Ja z kolei podążałem własną ścieżką zawodową i osobistą, a dziś spotkaliśmy się w punkcie, w którym w pełni się ze sobą zgadzamy.

Rassemblement National nie chce likwidacji strefy Schengen i nie chce wyjścia Francji z Unii Europejskiej. Celami partii są dziś poprawa funkcjonowania i przekształcenie Europy od wewnątrz, aby zapewnić poszanowanie tego, co nazywamy podwójną granicą. Pierwszą granicą jest zewnętrzna granica strefy Schengen, gdzie chcemy zagwarantować ścisłe stosowanie przepisów, a w szczególności walczyć z zalewem nielegalnych imigrantów. Dlatego chcielibyśmy, aby wnioski o azyl były rozpatrywane poza UE, np. w konsulatach.

Dlatego też walczymy z tymi aspektami nowego Paktu o Migracji i Azylu, zwanego w mediach „paktem migracyjnym", które nadal będą działać jak pompa ssąca i które sprawią, że migranci będą dalej oddawać się w ręce handlarzy ludźmi i nadal będą przeprawiać się przez Saharę i Morze Śródziemne. Z powodu europejskiego paktu migracyjnego cały czas będzie dochodzić do tragedii na morzu i będziemy mieć do czynienia z migrantami próbującymi przekroczyć granicę zewnętrzną.

To, co nas szczególnie szokuje – i wiem, że szokuje również wielu Polaków oraz Węgrów – to obowiązkowa relokacja narzucona przez Komisję Europejską, z karą w wysokości 20 tys. euro za każdego migranta, którego przyjęcia odmawia państwo członkowskie.

My chcemy zarządzać granicą zewnętrzną poprzez ścisłe stosowanie zakazów nielegalnego wjazdu określonych w Kodeksie Schengen. Jeśli chodzi o azyl, to aby uniknąć napływu ludzi do Europy, chcemy, aby „hotspoty" były tworzone w krajach Afryki Północnej, a w każdym razie poza Unią Europejską, lub aby wnioski o azyl były składane w konsulatach państw członkowskich UE.

W przypadku francuskiej granicy państwowej opowiadamy się za utrzymaniem swobody przemieszczania się dla obywateli UE. Chcemy natomiast wiedzieć, jacy obcokrajowcy spoza Unii wjeżdżają do kraju. Tutaj również mamy pewne propozycje i zauważamy np., że podczas pandemii COVID-19 możliwe było śledzenie przemieszczania się ludzi, w tym na wewnętrznych granicach Schengen, poprzez wyposażenie ich w kody QR i systemy rejestracji.

Chcemy również odzyskać kontrolę prawną nad naszymi granicami w tym zakresie, w którym Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że nie można zabronić cudzoziemcowi wjazdu do Francji, gdy przybywa on np. z Włoch.

W poniedziałek byłem w Menton z Jordanem Bardellą, przewodniczącym RN i naszym liderem na liście w wyborach europejskich. Problem polega na tym, że w ubiegłym roku przechwycono w tym mieście 44 tys. migrantów, z czego ok. 33 tys. zostało faktycznie zatrzymanych i deportowanych z powrotem do Włoch. Deportacje te są obecnie zakazane po tym, jak Rada Stanu – najwyższy francuski sąd administracyjny – zwróciła się do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej o opinię w formie orzeczenia w trybie prejudycjalnym. W rezultacie nie jest już możliwe zatrzymanie



eprasa.pl a97f8a3e85

cudzoziemca przybywającego do Francji i nielegalnie przekraczającego granicę.

W rzeczywistości sędziowie mówią nam, że nie możemy uniemożliwić takiemu nielegalnemu imigrantowi wejścia na terytorium Francji i że nie można bezzwłocznie go wydalić.

Propozycja przedstawiona przez ugrupowanie Marine Le Pen ma zatem na celu odzyskanie prawnej kontroli nad naszymi granicami poprzez referendum, w którym obywatele Francji zostaną zapytani, czy chcą zmienić francuską konstytucję w celu zapisania w niej pewnej liczby zasad, w szczególności zasadę pozwalającą nam na odzyskanie kontroli nad naszymi granicami i decydowanie o tym, kto wjeżdża na terytorium naszego kraju.

Może to być również interesujące dla Polaków ze względu na konflikt kompetencyjny, który pojawił się w ostatnich latach między TSUE a polskim Trybunałem Konstytucyjnym, gdy ten ostatni chciał potwierdzić nadrzędność polskiej konstytucji nad orzecznictwem TSUE.

**Czy to oznacza, że Francja rządzona przez Zjednoczenie Narodowe skonfliktowałaby się z Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej i instytucjami europejskimi?**

Tak, ponieważ przypomniałaby, że suwerenna władza należy do narodu francuskiego. Referendum dałoby zielone światło prezydentowi Republiki i Marine Le Pen do rozpoczęcia procesu zmiany konstytucji. To doprowadziłoby nas do zapisania w niej zasad, które pozwolą nam samodzielnie decydować o tym, kto może wjechać na nasze terytorium i osiedlić się na nim. Tak więc rzeczywiście doszłoby do konfliktu prawnego, konfliktu standardów, ale jego celem byłoby stworzenie warunków do ponownego otwarcia debaty politycznej, aby uświadomić problem innym państwom członkowskim UE i aby instytucje unijne, a w szczególności Komisja Europejska, znów działały w granicach swoich kompetencji. Rolą Komisji jest funkcjonowanie jako rodzaj administracyjnego pasa transmisyjnego, a nie uprawianie wielkiej polityki w miejsce wybranych przywódców państw członkowskich.

**Jako dyrektor Frontexu został pan oskarżony o zezwalanie na zawracanie ludzi na granicy, czyli na tzw. pushbacki. Tymczasem nowy premier Polski, Donald Tusk, i większość parlamentarna, której przewodzi, ogłosili, że zamierzają położyć kres tej procedurze. Czy to dobrze?**

Myślę, że sam termin „pushback" jest wymyślonym słowem, swego rodzaju znakiem firmowym proimigracyjnych organizacji pozarządowych. Takim słownictwem posługuje się również komisarz Ylva Johansson, co wyraźnie pokazuje, że jest ona po stronie proimigracyjnych organizacji pozarządowych i nawet nie próbuje być lojalnym liderem politycznym starającym się służyć wspólnemu europejskiemu interesowi. Ta opowieść o pushbackach jest tak naprawdę sloganem, który zaprzecza podstawowej rzeczywistości, czyli temu, że nielegalne przekraczanie granicy zewnętrznej jest zabronione.

Kodeks graniczny Schengen, który jest unijnym rozporządzeniem, wyraźnie stanowi, że państwa mają obowiązek kontrolować granicę zewnętrzną i zapobiegać przekraczaniu granicy poza oficjalnymi punktami granicznymi. Prawo europejskie stanowi, że osoby nielegalnie przekraczające granicę między oficjalnymi punktami granicznymi muszą zostać ukarane.

Jako dyrektor Frontexu byłem świadkiem tego, co działo się na granicy z Białorusią na Litwie, gdzie rozmieściłem korpus europejski. Pojechałem także, wraz z polskim sekretarzem stanu Bartoszem Grodeckim, na granicę między Polską a Białorusią. Doszedłem do wniosku, że aby uniknąć oskarżeń o stosowanie pushbacków, musimy budować płoty i mury. W przeciwnym razie, gdy informujemy migrantów, że nie mają prawa przekraczać granicy, przechodząc przez pola i lasy, jesteśmy oskarżani przez organizacje pozarządowe o stosowanie pushbacków.

Trudniej jest kontrolować granice morskie, ponieważ może dochodzić do sytuacji, gdy łodzie znajdują się na morzu w niebezpieczeństwie. Tak jest na ogół w basenie Morza Śródziemnego na długim odcinku między Libią a Włochami. Nie jest tak w przypadku Morza Egejskiego, ze względu na niewielkie odległości między wybrzeżem tureckim a greckimi wyspami – czasami są to 3 czy 4 km, a czasami zaledwie kilkaset metrów. Jeśli nie mamy do czynienia z sytuacją zagrożenia na morzu, a łodzie są w dobrym stanie technicznym i mogą manewrować tak, by unikać kontroli straży granicznej, to możemy przeprowadzać tzw. przechwytywania. Procedura przechwytywania jest przewidziana w międzynarodowym prawie morskim, a nawet w unijnym rozporządzeniu, które ma zastosowanie do operacji morskich Frontexu. Oznacza to, że jeśli istnieje podejrzenie, iż łódź jest wykorzystywana do handlu ludźmi, to może ona zostać przechwycona, a skutki tej operacji mogą być dwojakie. Po pierwsze, przechwytuje się łódź z ludźmi na pokładzie i jest się wówczas, rzecz jasna, zobowiązanym do sprowadzenia ich do brzegu. Tym samym Grecy nie mają innego wyjścia, jak tylko zabrać migrantów na terytorium Grecji. Jednak przechwycenie może również oznaczać uniemożliwienie wpłynięcia statku do portu lub jego pozostawania na wodach terytorialnych danego kraju. Jest to właśnie modus operandi wybrany przez prawicowy rząd w Atenach. Do stosowania tej procedury przyczynił się też Frontex i nie ma w niej nic nielegalnego.

Całe to zamieszanie wokół pushbacków to rodzaj prania mózgu i propagandy ze strony wojujących działaczy proimigracyjnych, którzy próbują wmówić nam i straży granicznej, że tak naprawdę nie mamy prawa do kontrolowania granic. Jest to intelektualne, instytucjonalne i polityczne rozbrajanie stosowane w ramach propagandy proimigracyjnych organizacji pozarządowych wspieranej przez Komisję Urszuli von der Leyen, a w szczególności przez komisarz Johansson.

Nie ma mnie już w Polsce i nie śledziłem wszystkich debat ani oświadczeń nowego polskiego rządu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby istniały unijne naciski pod hasłem przewodnim: „Uwaga, uwaga, nie wolno nam kontrolować granic".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Fabrice Leggeri kierował Europejską Agencją Straży Granicznej i Przybrzeżnej Frontex w latach 2015–2022. W kwietniu 2022 r. podał się do dymisji w następstwie nacisków i krytyki związanych z oskarżeniami o współpracę agencji przy stosowaniu pushbacków na granicach Unii Europejskiej. 17 lutego 2024 r. ogłoszony został jego start z trzeciego miejsca na liście partii Marine Le Pen w wyborach europejskich.*



eprasa.pl a97f8a3e85

# Czego naucza szkoła?

Jan Bogatko

**Co siódmy dorosły mieszkaniec Niemiec jest funkcjonalnym analfabetą. Dlaczego szkolnictwo za Odrą przeżywa taką zapaść?**

Oświata w Niemczech leży w gestii landów. To tłumaczy różnice między szkołami i poziomem nauczania. Przeprowadzka z jednego landu do drugiego ma dla dzieci te konsekwencje, że trafiają one do szkoły o innym programie. Często wywołuje to spore trudności, zwłaszcza gdy dotyczy to najważniejszych przedmiotów, jak matematyka czy niemiecki. Co może wydać się zaskakujące, szkoły w zachodnich Niemczech często są na gorszym poziomie niż we wschodnich. Tak np. Saksonia cieszy się opinią landu o wysokim poziomie nauki, a solidna matura z Drezna czy niemieckiego Zgorzelca daje absolwentowi szansę uzyskania miejsca na wymarzonym kierunku na wyższej uczelni, podlegającym rygorowi ograniczenia przyjmowania studentów. Wówczas decyduje konkurs matur, a te z Saksonii są szczególnie mile widziane nawet na zachodnioniemieckich uczelniach. Szkoły średnie w Saksonii nie uległy dotąd w tak wysokim stopniu tak bardzo powszechnej w Niemczech lewicowej ideologizacji, która odbija się negatywnie na poziomie edukacji. To po pierwsze. Po drugie, odsetek uczniów o pochodzeniu migracyjnym z innych kręgów kulturowych z Azji czy Afryki jest tutaj wyraźnie niższy.

## SZARIAT WŚRÓD UCZNIÓW

Plittersdorf w Bonn był do niedawna dzielnicą dyplomatów. Teraz ta część Bad Godesberg stała się bardziej kolorowa. Bardziej kolorowa stała się też szkoła Nicolaus Cusanus Gymnasium. Nosi ona szczytne imię niemieckiego filozofa, teologa, matematyka i fizyka z początku XV w.

Mamy wiek XXI, czas kolejnej wędrówki ludów w Europie. W bońskiej szkole imienia kard. von Kuesa, uczonego, znanego pod zlatynizowanym nazwiskiem Cusanus, wykształconego na uniwersytetach w Heidelbergu i Kolonii, najstarszych w Niemczech, do głosu dochodzą stróże islamskiej moralności. Grupa postępowych muzułmanów, za których się oni uważają w nowej ojczyźnie, chce przeforsować w bońskiej szkole islamskie ideały i wzorce zachowań. Na boisku szkolnym (wbrew oficjalnemu zakazowi) mają miejsce oficjalne modły. Stróże Koranu zwracają uwagę uczennicom (także chrześcijańskim, których coraz mniej), jak się mają zachowywać czy ubierać. Od wielu lat szkoła Nicolaus Cusanus Gymnasium jest objęta programem integracyjnym landu Nadrenia Północna-Westfalia. Ma on jakoby przeciwdziałać islamizacji. Ma, ale nie przeciwdziała. Gazeta „Bonner General-Anzeiger" cytuje pełnomocnik miasta do spraw integracji, Colettę Manemann, dla której wydarzenia w szkole w Plittersdorf to prowokacja.

Coletta Manemann za incydent obarcza winą nauczycieli. Czy nauczycielka, matka dwojga dzieci, zamordowana w styczniu 2023 r. przez ucznia (Sinana Y.) w szkole w Ibbenbüren, też jest sama winna? Jej zdaniem nauczyciele o niewielkiej wiedzy na temat islamu szybko przechodzą do defensywy. To z kolei prowadzi do wzmocnienia postaw prowokacyjnych islamskiej młodzieży, dając im władzę nad innymi.

Ostrożniejszy w swych sądach jest rzecznik rządu okręgowego w Kolonii, który zapytany przez tabloid „Bild" odpowiedział lakonicznie: „Możemy potwierdzić, że nie brak dziewcząt, uskarżających się na chłopców zwracających im uwagę, że są niewłaściwie ubrane na dziedzińcu szkolnym czy na zajęciach sportowych". Gazeta „Bonner General-Anzeiger" podaje, że jedna z uczennic z tego powodu zmieniła nawet szkołę. Placówka ta jest mało przyjazna dla uczniów innych kultur niż islamska – uważają obserwatorzy.

W szkole NCG islamscy uczniowie stanowią dzisiaj pokaźny odsetek uczących się. Prawie 60 proc. uczniów to muzułmanie. Rolf Hasselkus, przewodniczący związku zawodowego pracowników oświaty i nauki w Bonn, uważa, że właściwe proporcje są ważne dla klimatu szkolnego. Gołym okiem widać, że integracja się nie powiodła, a różnorodność przybrała formę mobbingu wobec uczniów. Zarzut Coletty Manemann, szefowej urzędu do spraw integracji i różnorodności, że winni są nauczyciele, słabo zorientowani w kulturze islamskiej, to dla Hasselkusa „odwrócenie ról sprawców i ofiar". Tymczasem urząd pracy w Bonn utrzymuje, że biuro Coletty Manemann



eprasa.pl a97f8a3e85

wspiera nauczycieli od lat, oferując kursy, warsztaty i wykłady na temat religii, dyskryminacji, islamofobii czy islamizmu. Widocznie nie trafiają one do nauczycieli.

Szkoła w Bonn nie stanowi w Niemczech bynajmniej wyjątku. Podobne incydenty miały miejsce w Neuss, gdzie dyskretną opiekę nad uczniami miałaby sprawować islamska policja moralności – szaria. Nauczycielka Birgit Ebel z Nadrenii Północnej-Westfalii bije na alarm: szkoła w Neuss to nie wyjątek! Także w szkole ponadpodstawowej w Herford, w której młodzież uczy się do 10. klasy, decydując się tam na późniejszą edukację (niemiecki system szkolny jest bardzo skomplikowany), wielu uczniów otwarcie opowiada się za islamskim radykalizmem. Nauczycielka niemieckiego i historii w Gesamtschule Herford w rozmowie z gazetą „Bild" mówi: „Nigdy w przeszłości nie spotkałam się z tak otwartym poparciem dla radykalnego islamu ze strony uczniów, jak ma to miejsce dzisiaj".

To tylko dwa przykłady z wielu. Lata lewicowej polityki względem osadników, zwanych zgodnie z lewicowym kanonem uchodźcami, zrobiły swoje. Tysiące nierozliczanych przez nikogo, opłacanych z podatków urzędników do spraw integracji na szczeblu powiatu, landu czy federacji wykonuje zdaniem wielu obserwatorów bezsensowną pracę utwierdzającą przybyszów, że mają prawa, ale obowiązki ma tylko państwo względem nich.

Resorty oświaty w Niemczech znajdują się na szczeblu krajów związkowych i w zależności od tego, kto sprawuje tam rządy, to zgodnie z obowiązującą od średniowiecza regułą cuius regio, eius religio obowiązuje odpowiednia polityka oświatowa.

## GENDEROWA PISOWNIA

Efekt jest taki, że tylko w trzech niemieckich landach w szkołach zabroniono tzw. pisowni gender, nieznanej słownikowi języka niemieckiego. Oznacza to jednak, że w pozostałych jest ona praktykowana na co dzień. Genderowski dwukropek stawiany jest między określeniem rodzaju męskiego a żeńską końcówką. Wraz z genderowską gwiazdką i gender gap (dotyczy różnic w płacach kobiet i mężczyzn) tworzą one grupę znaków gender.

W Hesji zakazem genderowania resort oświaty chce objąć uczelnie i stacje radiowe, co spotkało się z krytyką ze strony lewicowych aktywistów. W Saksonii, w Saksonii-Anhalcie i Szlezwiku-Holsztynie pisownia gender uważana jest w szkołach nawet za błąd ortograficzny. Ale w innych landach zasady są inne. Nieodparcie nasuwa mi się tu podobieństwo do stalinowskiej polityki „oświatowej" w sowieckim Dzierżyńsku pod Mińskiem (tzw. Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego). Jego odpowiednikiem na Wołyniu był tzw. Marchlewsk. Działały tam polskie szkoły, wydawano prasę i książki. Jednak pisownię starano się „unowocześnić", oczyszczając ją z „burżuazyjnych naleciałości". Pisano… fonetycznie. Miało to też ułatwić jakoby nauczanie. Rezultatów nie znamy.

**Prawie 24 proc. uczniów w Niemczech ma podstawowe braki w zakresie czytania, pisania i rachowania**

Niemieckie elity nie muszą wysyłać dzieci do szkół publicznych. Są przecież prywatne internaty na wysokim poziomie, jak np. elitarna szkoła Schloss Salem, której uczniowie, o ile rodziców stać na czesne, nie muszą obawiać się prac domowych, będących w końcu najlepszym sprawdzianem wyników w nauczaniu. Także w tej kategorii zdarzają się bolesne wpadki, jak szkoła Odenwaldschule w Heppenheim, szkoła „nowoczesnej pedagogiki", która okazała się wylęgarnią nowoczesnej pedofilii i prostytucji (jej prominentnym uczniem był Daniel Cohn-Bendit, polityk Zielonych, sam pedofil). Elitarna szkoła w Hesji zbankrutowała i po skandalach zamknięto ją po ponadstuletniej działalności. Jednak „nowoczesna pedagogika" z bezstresowymi fajnymi szkołami stała się po pewnej korekcie pożądanym modelem lewicowej oświaty w Niemczech.

Heinz-Peter Meidinger, honorowy prezes Niemieckiego Związku Nauczycieli, uważa, że w Niemczech są szkoły, w których nie da się przeforsować obowiązującego prawa. Dotyczy to wagarów, przemocy, obrażania innych i handlu narkotykami. Meidinger uważa, że wiele szkół boi się opinii szkoły z problemami i dlatego lekceważy takie problemy jak przemoc czy narkotyki. Jego zdaniem szkoła to strefa ochronna, zobowiązana już z tego względu do przestrzegania obowiązującego prawa, do ochrony uczniów i nauczycieli przed agresją i przemocą. Jednak wiele dyrekcji szkół stara się nie dostrzegać problemu. A przecież powinni oni – uważa pedagog – zdecydowanie poprosić o pomoc policję i prokuraturę. Szkoły mają możliwość karania grzywnami za wagary, ale nie stosują tego prawa. Nie reagują też – twierdzi Rainer Wendt, przewodniczący federalnego związku zawodowego policji – na obrażanie nauczycielek i uczennic przez muzułmańskich uczniów. „Lepiej znają oni Koran niż konstytucję" – mówi związkowiec. Często nie zgłasza się tych incydentów, by uniknąć oskarżeń o islamofobię czy „poglądy prawicowe" (prawica znaczy tu nazizm). Jest też przyzwolenie na akty przemocy. Z tych samych powodów. Czy uczniowie mają czas na naukę? Niektórzy na pewno tak, ale regułą jest brak zainteresowania szkolną edukacją.

## ZANIK CZYTANIA I PISANIA

Przerażające są wyniki aktualnych badań, przeprowadzonych przez monachijski Instytut Badania Opinii Publicznej Ifo. Wskazują one, że prawie 24 proc. uczniów w Niemczech ma podstawowe braki w zakresie czytania, pisania i rachowania. Niemcy coraz gorzej oceniają też szkoły, z których jeszcze nie tak dawno temu byli naprawdę dumni. Teraz zaledwie 27 proc. Niemców przyznaje w swym kraju związkowym ocenę „bardzo dobrą" lub „dobrą" tamtejszym szkołom. A jeszcze w 2014 r. tego zdania było 38 proc. uczestników badań „Barometr oświatowy" Instytutu Ifo. Siedemdziesiąt dziewięć procent Niemców uważa, że na poziom nauczania negatywnie wpłynęła pandemia koronawirusa. Jednak nie tylko: niemal tyle samo badanych (77 proc.) wymienia jako przyczynę brak nauczycieli albo niedofinansowanie szkół (68 proc.). Dla sporej grupy respondentów szkolna katastrofa to wina ociężałości niemieckiego systemu oświaty. A jest on nowoczesny, na wskroś lewicowy. Przesadą wydaje się tłumacze-


eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADOBE STOCK

nie problemów oświatowych rzekomym niedostatkiem środków na szkolnictwo. Przeczy temu poziom oświaty w Niemczech w latach ubiegłych, kiedy na szkoły wydawano mniej, niż ma to miejsce dzisiaj. Wyniki badań PISA są przerażające. Eksperci wskazują w tym kontekście na wysoki odsetek młodzieży z rodzin migrantów w niemieckich szkołach. Wynosi on obecnie 26 proc. – to dwa razy więcej niż w 2012 r.!

Problem oświatowy zaczął się jednak w Niemczech dużo wcześniej. Jego skutki ukazują się dzisiaj z całą ostrością. Mamy wiek XXI, rok 2024. Co siódmy dorosły mieszkaniec Niemiec jest funkcjonalnym analfabetą. Aż 7,5 mln osób w wieku od 18 do 64 lat potrafi czytać lub pisać jedynie pojedyncze zdania i ma problemy ze zrozumieniem spójnych, nawet krótszych tekstów. Czytanie gazet (poza wytłuszczonymi tytułami np. w gazecie „Bild") odpada. Pewnie dlatego wydania on-line większych niemieckich dzienników oferują wygodną funkcję odczytania tekstu przez sztuczną inteligencję. Większość analfabetów ma wykształcenie średnie, a ponad połowa pracuje zawodowo. Zawody, w których odsetek analfabetów funkcjonalnych jest powyżej średniej, to niewykwalifikowani robotnicy budowlani (tutaj co drugi jest analfabetą), a także kucharze, malarze i kierowcy ciężarówek. Jedna osoba na cztery w tej kategorii pracowników nie potrafi ani czytać, ani pisać.

W 2015 r. Federalne Ministerstwo Edukacji i Badań Naukowych ogłosiło Dekadę umiejętności czytania i pisania i edukacji podstawowej, aby do roku 2026 znacząco poprawić umiejętności czytania i pisania wśród dorosłych w Niemczech. Nie przyniosła ona jednak pożądanych rezultatów. Oferty szkoleniowe okazały się niezbyt atrakcyjne. Z badań przeprowadzonych przez fundację Stiftung Lesen wynika, że jedna trzecia pracowników firm może wskazać co najmniej jednego kolegę, który jest funkcjonalnym analfabetą. Czasami sami przyznają się do swej ułomności, oczekując np. pomocy przy wypełnianiu formularzy. „Na szczęście analfabetyzm w miejscu pracy nie stanowi tabu, a analfabeci nie są dyskryminowani" – mówi dr Simone C. Ehmig, dyrektor Instytutu Badań nad Czytaniem i Mediami w fundacji Stiftung Lesen.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

# Fentanylowa śmierć

*Piotr Włoczyk*

**Narkotyk 50 razy silniejszy od heroiny sieje spustoszenie w Ameryce. Epidemia uzależnienia od fentanylu urosła do takich rozmiarów, że czołowi republikańscy politycy zapowiadają użycie wojska do walki z meksykańskimi kartelami. Ten sam problem zaczyna też zagrażać Europie**

Bill Kochman 30 stycznia 2022 r. poczuł się fatalnie po odśnieżeniu posesji. Przyjaciel przyniósł mu lek przeciwbólowy, który miał uśmierzyć ból pleców. Kilka godzin po połknięcie tabletki 41-letni Kochman zmarł. Okazało się, że środek przeciwbólowy był podróbką oryginału – takie tabletki można kupić w Internecie dużo taniej niż prawdziwe leki i wciąż miliony Amerykanów korzystają z tej bardziej ekonomicznej, ale niebezpiecznej opcji.

Niektóre podrabiane tabletki faszerowane są jednak nie „zwykłymi" środkami przeciwbólowymi, jak paracetamol, ale fentanylem – wyjątkowo silnym i bardzo niebezpiecznym syntetycznym opioidem, który już w śladowej ilości może być zabójczy. Szacuje się, że już 2 mg fentanylu – odpowiednik czterech ziarenek cukru – jest w stanie uśmiercić dorosłego człowieka.

Kilka miesięcy później, w listopadzie 2022 r., Eugene Kochman, 44-letni brat Billa, zmarł w bardzo podobnych okolicznościach. Jego matka tłumaczyła później, że Eugene nie mógł się pozbierać po stracie brata i ktoś podsunął mu pigułkę, w której również była śmiertelna dawka fentanylu. Margaret Kochman od ponad roku apeluje do polityków Partii



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADOBE STOCK

Republikańskiej o wypowiedzenie wojny meksykańskim kartelom, które przemycają fentanyl. Kobieta jeździ na republikańskie wiece w bluzie z antynarkotykowym przesłaniem i jasną deklaracją polityczną: „Nic takiego by się nie zdarzyło podczas prezydentury Donalda Trumpa".

Podobnie zmarła w 2016 r. bodaj najbardziej znana ofiara fentanylu – Prince. Ten słynny piosenkarz również zażył podrobioną pigułkę ze środkiem przeciwbólowym, w której znalazła się śmiertelna dawka fentanylu.

„Biden otworzył granice z Meksykiem. Wiemy, że fentanyl jest produkowany w Chinach, a następnie trafia do nas przez Meksyk" – mówiła Margaret Kochman reporterom w zeszłym roku podczas spotkania Partii Republikańskiej w Maryland.

Na drugim wybrzeżu Ameryki, w Kalifornii, swoją antyfentanylową krucjatę prowadzą z kolei Michelle i Jeff Leopold, którzy w 2019 r. stracili 18-letniego syna. Trevor śmiertelnie zatruł się fentanylem podczas eksperymentowania z marihuaną. Ten ostatni narkotyk, którego właściwie nie da się śmiertelnie przedawkować (choć nie oznacza to, że zażywanie marihuany nie wiąże się z poważnymi zagrożeniami dla zdrowia), nasączony był m.in. fentanylem, o czym nie wiedzieli Trevor i jego koledzy.

Ten potężny, niezwykle szybko uzależniający syntetyczny opioid w ciągu ostatniej dekady stał się w Ameryce „królem" narkotyków i równocześnie bezkonkurencyjnym masowym zabójcą. Spośród 108 tys. przypadków śmiertelnego przedawkowania narkotyków odnotowanych w 2022 r. w USA fentanyl odpowiadał za ok. 70 tys. z nich, czyli ponad dwie trzecie! Głównie za sprawą fentanylu w latach 2019–2022 liczba śmierci spowodowanych przedawkowaniem wzrosła w Ameryce o niemal 100 proc. Dla porównania: jeszcze ćwierć wieku temu, na początku XXI stulecia, w Ameryce odnotowywano rocznie ok. 10 tys. zgonów z powodu przedawkowania narkotyków.

W ten sposób „zdetronizowane" zostały heroina i metamfetamina, które jeszcze do niedawna były narkotykami najczęściej powodującymi zgony. Danymi, które najbardziej przemawiają tu do wyobraźni, jest śmiertelność wśród Amerykanów w grupie 18–45 lat. Fentanyl jest najczęstszą przyczyną zgonów w tej kategorii wiekowej, wyprzedzając wypadki drogowe i śmierć z powodu użycia broni palnej.

Wszystko wskazuje na to, że fentanylowy kryzys, który rozpoczął się dekadę temu, ma ogromny potencjał do wzrostu. I ponieważ narkotyk zabija nie tylko uzależnionych, żyjących na ulicach wielkich miast, lecz także „zwykłych" Amerykanów, którzy są kompletnie przypadkowymi ofiarami tej plagi, politycy zwracają na fentanyl coraz więcej uwagi.

## RAKIETAMI W MEKSYK

Kontrkandydaci Donalda Trumpa do republikańskiej nominacji w wyborach prezydenckich prześcigali się, jeżeli chodzi o stanowczość w zwalczaniu fentanylu. Większość tych recept spotkała się z oburzeniem meksykańskich władz, ponieważ ich realizacja oznaczałaby wolną rękę dla amerykańskich sił zbrojnych do przeprowadzania ataków wewnątrz Meksyku na kartele trudniące się produkcją i przemytem fentanylu.

Nikki Haley, która jest ostatnią kontrkandydatką Trumpa w prawyborach, postuluje wysyłanie do Meksyku komandosów. Gubernator Florydy Ron DeSantis obiecywał z kolei zabijanie na miejscu schwytanych przemytników. Donald Trump podkreśla natomiast, że jeżeli wróci do Białego Domu, to Amerykanie będą prowadzili w Meksyku operacje specjalne – wojsko będzie zwalczało kartele poza granicami USA. W przypadku Trumpa nie jest to żadna nowość. Jak ujawnił w swoich opublikowanych w 2022 r. wspomnieniach Mark T. Esper, sekretarz obrony USA w latach 2019–2020, Trump cztery lata temu pytał go o możliwość dokonania ataków rakietowych na mieszczące się w Meksyku laboratoria narkotykowe i inną infrastrukturę wykorzystywaną przez kartele. Esper miał wybić ten pomył Trumpowi z głowy, tłumacząc, że nie da się tego utrzymać w tajemnicy i każdy będzie rozumiał, że to Amerykanie stoją za atakami rakietowymi na terytorium sąsiada.

**Liczba zgonów po przedawkowaniu narkotyków wzrosła w USA w latach 2019–2022 o niemal 100 proc.**

Pod koniec zeszłego roku uaktywnił się w tej sprawie również Joe Biden, starając się odebrać paliwo polityczne republikanom oskarżającym obecnego prezydenta o ignorowanie tej epidemii.

Biden powiedział, że skutki używania fentanylu to „amerykańska tragedia", i obiecał, że zajmie się tym problemem „pod każdym kątem". Jednym z tych działań miała być rozmowa z Xi Jinpingiem na temat fentanylu, do której doszło podczas listopadowego szczytu w Kalifornii. Z tej okazji Amerykanie usunęli tysiące bezdomnych narkomanów z centrum


eprasa.pl a97f8a3e85

San Francisco, co było szeroko komentowane w mediach. Mieszkańcy miasta tylko przez kilka dni mogli bez strachu chodzić po centrum. Gdy jednak chiński prezydent nie odwiedza San Francisco, sytuacja jest tam tragiczna – w sercu tej przepięknej skądinąd metropolii snują się tłumy uzależnionych, szukając okazji do szybkiego zarobku i miejsca, gdzie w spokoju mogą cieszyć się „odlotem".

Xi Jinping obiecał Bidenowi, że Chiny ograniczą eksport chemikaliów potrzebnych meksykańskim kartelom do produkcji fentanylu. Mało kto jednak wierzy, że faktycznie do tego dojdzie. Chińczycy również Trumpowi obiecywali zajęcie się tym tematem, ale wraz z zaostrzaniem się rywalizacji obu mocarstw efekty walki z fentanylem na terytorium ChRL robiły się coraz bardziej mizerne. Chińczykom ewidentnie nie zależy na pomaganiu Amerykanom.

– Wystarczy pojechać do Chin, podejść do pierwszego plakatu z Xi Jinpingiem i domalować mu wąsy. Kilka minut i pojawi się radiowóz. Chiny to państwo policyjne, gdzie skala inwigilacji nie mieści się nam w głowach – powiedział „Do Rzeczy" Grant Newsham, amerykański ekspert do spraw Chin, autor książki „When China Attacks". – Gdyby tylko władze w Pekinie chciały zatrzymać przerzut fentanylu do USA, zrobiłyby to bez żadnych problemów. Ale im zależy na tym, by nasze społeczeństwo cierpiało. W większości ofiarami fentanylu są przecież młodzi ludzie. To tak, jakbyśmy tracili rocznie dwie–trzy dywizje.

Niektórzy upatrują w tym wręcz swego rodzaju zemsty Pekinu na Zachodzie za uzależnianie Chińczyków od opium, co w XIX w. było gigantyczną plagą społeczną, szczególnie widoczną w miastach portowych. „Stany Zjednoczone muszą zmierzyć się z własnymi problemami – pisała niedawno w kontekście fentanylu gazeta »Renmin Ribao«, tuba propagandowa władz w Pekinie. – Atakowanie i szkalowanie Chin nie uleczy chronicznego problemu uzależnienia od narkotyków w USA, a jedynie odłoży w czasie zmierzenie się z problemem walki z narkotykami, co spowoduje ogromny kryzys społeczny".

## LABORATORIUM MIGUELA

Fentanyl stał się problemem, którego jeden kraj nie będzie w stanie rozwiązać.

**Kilogram chemikaliów do produkcji fentanylu kosztuje 800 dol. Uzyskany z tego narkotyk – 160 tys. dol.**

Ameryka musi tu liczyć na dobre chęci zarówno ze strony Meksyku, jak i Chin (a od niedawna także Indii, bo również stamtąd trafia do Meksyku coraz więcej chemikaliów potrzebnych do produkcji tego narkotyku). Śledztwo w sprawie globalnej fentanylowej pajęczyny przeprowadzili niedawno dziennikarze gazety „El País". Hiszpańscy reporterzy odwiedzili w tym celu m.in. Wuhan. Ta chińska metropolia zasłynęła jako epicentrum pandemii koronawirusa, ale wszystko wskazuje na to, że tamtejsze zakłady chemiczne to również źródło epidemii uzależnienia od fentanylu.

Substancja po raz pierwszy stworzona w Belgii w latach 50. XX w. szybko stała się bardzo popularnym środkiem przeciwbólowym i anestezjologicznym stosowanym w szpitalach na całym świecie. I dlatego walka z nim jest tak trudna – nie da się łatwo wyeliminować środka, który – podobnie jak morfina – jest używany w leczeniu ludzi. Trudno jest też zwalczać produkcję chemikaliów stanowiących podstawę fentanylu, ponieważ te środki wykorzystywane są do produkcji innych legalnych substancji, w tym również leków.

Gdy handlarze narkotyków zrozumieli, jak niesamowitą „żyłą złota" może być fentanyl, z powodu błyskawicznego uzależniania i „mocy" przestawili swoje laboratoria na produkcję tego środka.

Jak pokazali dziennikarze „El País", samo „ugotowanie" fentanylu nie jest większym problemem. O procesie tym opowiedział im człowiek przedstawiający się jako Miguel, „chemik" pracujący dla kartelu Sinaloa. Ten 29-latek ma zaledwie podstawowe wykształcenie, bo produkcja fentanylu nie wymaga fachowej wiedzy, a zarabia nawet 25 tys. dol. dziennie. Swoje „produkty" testuje na grupie uzależnionych, których reakcja na każdą nową partię fentanylu mówi mu, czy narkotyk jest wystarczająco mocny. Kartel Sinaloa półprodukty do produkcji fentanylu ściąga oczywiście z Chin. Jak szacuje amerykańska Agencja do Walki z Narkotykami (DEA), jeden kilogram tych chemikaliów ściąganych z Chin kosztuje kartel ok. 800 dol. Tymczasem wyprodukowany na ich bazie fentanyl przemytnicy sprzedają za co najmniej... 160 tys. dol. Żaden inny narkotyk nie daje kartelom takiego zwrotu z „inwestycji", nie jest tak prosty w produkcji i przemycie.

W tekście śledczym „El País" opisano też spustoszenie, które fentanyl dokonuje na ulicach największych amerykańskich miast. Ten narkotyk jeszcze szybciej i silniej niż inne trucizny chwyta w swoje szpony ofiary. Paradoksem jest, że choć przedawkowanie fentanylu jest dużo łatwiejsze niż innych narkotyków, to dużo łatwiej jest też uratować człowieka, który przekroczył tę cienką linię. Wolontariusze, którzy krążą z apteczkami po San Francisco, Los Angeles, Filadelfii czy Nowym Jorku, są w stanie na miejscu, na ulicy, odwrócić mordercze działanie zbyt dużej dawki fentanylu. Kluczowy jest czas – śmierć z przedawkowania tego narkotyku może nastąpić już w kilka minut. Dochodzi wówczas do uduszenia, ponieważ zatrucie fentanylem sprawia, że upośledzony zostaje układ oddechowy. Jak tłumaczą wolontariusze zajmujący się ratowaniem ofiar fentanylu, pierwszą oznaką przedawkowania są sine usta. Jeżeli narkoman na czas dostanie dawkę środka o nazwie nalokson, to dość szybko dojdzie do siebie. To jednak zdarza się stosunkowo rzadko, o czym świadczą tragiczne statystyki śmierci z powodu przedawkowania fentanylu.

Niestety, wiele wskazuje na to, że o tej epidemii już niedługo głośno będzie również w Europie. We wrześniu zeszłego roku sekretarz stanu USA Antony Blinken ostrzegał unijnych decydentów, żeby nie lekceważyli przemytu fentanylu. – Gdy rozmawiałam z sekretarzem Blinkenem, ujął on to w następujący sposób: „Albo jest to problem, który macie, ale nie wiecie, że go macie, albo jest to problem, który zaraz będziecie mieli" – powiedziała wówczas komisarz do spraw wewnętrznych UE Ylva Johansson w rozmowie z „Politico". Jak dodała, Ameryka jest tu „kanarkiem w kopalni węgla", „aby inni nie mieli tego samego problemu co oni".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

## BRUDNY PROBLEM CZYSTYCH AUT

Samochody elektryczne nie wydzielają spalin z rur wydechowych. Dymią jednak z kominów elektrowni – bo prąd do nich w Polsce mamy głównie dzięki spalaniu węgla. No i jeszcze jeden drobiazg: do wyprodukowania samochodu elektrycznego potrzeba fabryki – a ta też zwykle szkodzi środowisku. Właśnie się okazało, że fabryka Tesli w niemieckiej Brandenburgii powoduje znaczne przekroczenie norm azotu i fosforu w wodach, do których odprowadza zanieczyszczenia. Wodociągi wysłały już pismo do burmistrza, że produkcję amerykańskiego giganta należy wstrzymać.

FOT. TESLA INC.

## SZTUCZNA INTELIGENCJA POPRAWNA POLITYCZNIE

Gemini – bot od Google – generując obrazy, celowo umieszcza w nich osoby o różnym kolorze skóry. Serwis The Verge udowodnił, że ociera się to o śmieszność. Na przykład prośba o wygenerowanie obrazu ojców założycieli USA spowodowała, że bot wykonał obrazek z jednym czarnoskórym. Z kolei próba wygenerowania obrazu nazistowskich żołnierzy z drugiej wojny światowej zakończyła się przedstawieniem obrazów kobiet, w tym Azjatki w mundurze Wehrmachtu oraz czarnoskórego żołnierza w hełmie z symbolem przypominającym swastykę.

## PRZYSZLI LEKARZE OBLALI Z GRYPY

Na uniwersytecie w Mediolanie z ponad 400 studentów medycyny egzamin z mikrobiologii zdało jedynie 10. Gdy studenci się poskarżyli w mediach społecznościowych, profesor prowadzący egzamin zabrał głos i wyjawił, że 44 proc. zdających nie potrafiło nawet wyjaśnić, jak zdiagnozować grypę u pacjenta.

## MILIONY ZA PODSŁUCHANIE ŻONY

Niejaki Tyler Loudon podsłuchiwał służbowe rozmowy żony, która uczestniczyła w negocjacjach dotyczących fuzji BP i firmy TravelCentres of America. Dzięki tym wiadomościom zainwestował w akcje przejmowanej spółki i zarobił na giełdzie 1,8 mln dol. Wyznał to małżonce i uzasadniał, że zrobił to, by nie musiała nigdy już brać nadgodzin. Żona poinformowała władze firmy. Została zwolniona. Wyprowadziła się z domu i złożyła pozew rozwodowy. Tyler Loudon będzie musiał oddać pieniądze i zapłacić grzywnę wyznaczoną przez sąd. ©℗

***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Superważny superwtorek

Superwtorek to co cztery lata kluczowy dzień dla amerykańskich „kandydatów na kandydatów" na prezydenta.

Tegoroczny superwtorek przypada 5 marca i będzie superważny dla politycznych losów Ameryki. I nie tylko Ameryki. Po wygranej w republikańskich prawyborach w Karolinie Południowej były prezydent USA ma na koncie ważne zwycięstwo. Dla wielu komentatorów wysoka wygrana Trumpa w Karolinie Południowej praktycznie przekreśliła szanse jego ostatniej rywalki w wyścigu po partyjną nominację. Dawna ambasador USA przy ONZ Nikki Haley była bowiem gubernatorką tego stanu i właśnie w nim liczyła na świetny wynik. Jej wyraźna przegrana (różnica wyniosła ponad 20 punktów procentowych) pokazuje, że choć Amerykanie deklarują, że nie chcą kolejnego starcia Trumpa z Bidenem, to i tak nie widzą żadnego konkurenta dla byłego prezydenta.

Zgodnie z przewidywaniami Trump wygrał więc także w stanie Michigan. Miażdżące zwycięstwo Donalda Trumpa podczas superwtorku – tego dnia głos oddają mieszkańcy aż 16 stanów – może sprawić, że Partia Republikańska już w marcu zjednoczony się wokół byłego przywódcy USA. I zacznie przygotowania do trudnej walki o odbicie z rąk Partii Demokratycznej Białego Domu oraz Kongresu.

Wynik głosowania w superwtorek będzie też istotną lekcją dla urzędującego prezydenta. Już podczas prawyborów w stanie Michigan wyborcy pokazali Joe Bidenowi żółtą kartkę. Obecny gospodarz Białego Domu z miesiąca na miesiąc traci poparcie kolejnych grup wyborców, w tym społeczności muzułmańskiej, której nie podoba się polityka Bidena wobec Izraela i Strefy Gazy. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

**Z Arturem Szczepkiem, dyrektorem gabinetu w Biurze Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców oraz prezesem Instytutu im. Romana Rybarskiego**
*rozmawia Tomasz Cukiernik*

# Zmierzamy w kierunku przepaści

**TOMASZ CUKIERNIK: Co to jest ESG?**

**ARTUR SZCZEPEK:** ESG to skrót od angielskiego environmental, socialresponsibility, corporategovernance, czyli ochrona środowiska naturalnego, odpowiedzialność społeczna i ład korporacyjny. Jest to strategia, która została opracowana dla przedsiębiorstw i nie tylko, wedle wytycznych ONZ, wpisujących się w politykę zrównoważonego rozwoju. W prawodawstwo europejskie zostało to – pod przymusem, a nie dobrowolnie – wdrożone dyrektywą CSRD. Unia Europejska będzie narzucać polskim firmom pewne standardy, które wpisują się w politykę zrównoważonego rozwoju. Firmy będą musiały raportować o wskaźnikach niefinansowych. Będą musiały informować, jak wygląda kwestia praw człowieka, ochrony środowiska, śladu węglowego, równouprawnienia w firmie. ONZ to wymyśliła, a Bruksela – wpisując się w te polityki – pod przymusem wtłoczyła to do prawodawstwa unijnego. Każdy kraj jest zobowiązany wprowadzać strategie ESG u siebie. W Polsce na razie objętych tym jest 150 dużych spółek, ale chodzi nie tylko o te wskaźniki w spółkach, bo objęte raportowaniem przez te spółki są wszystkie firmy, które znajdują się w łańcuchu dostaw albo są w jakiejś kooperacji. Jeśli jakaś firma dostarcza komponenty, surowce, materiały itd., to spółka musi wymagać od tej firmy informacji w tym zakresie. Czyli de facto tym raportowaniem zostały objęte firmy od góry do dołu.

**Czemu ma to służyć? Czy jest jakiś cel oficjalny i inny – prawdziwy?**

Nikt z decydentów unijnych nie kryje się z tymi wszystkimi pomysłami. Przede wszystkim to jest szerzenie pewnej ide-



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ARCHIWUM ARTURA SZCZEPKA

ologii poprzez kolejne segmenty. Szerzą swoją lewicową ideologię, która jest sprzeczna z rachunkiem ekonomicznym. Starają się promować biznes, który nie ma się kierować rachunkiem ekonomicznym, tylko jakimiś wskaźnikami arbitralnie narzuconymi przez decydentów. To jest odchodzenie od zasad rynkowych w gospodarce i pójście w kierunku zasad związanych ze zrównoważonym rozwojem, i to dziwnie pojmowanym, czyli z firmami, które nie są nastawione na zysk, a takimi, które mają stawiać na te wszystkie różne wskaźniki pozafinansowe. Idzie to w kierunku budowania marksistowskiej utopii zamiast biznesu na zasadach rynkowych.

**To jakiś absurd, bo przecież tak naprawdę jedynym celem każdej firmy jest generowanie zysków.**

Zgadzam się. To jest absurd, ale decydenci unijni już oderwali się od rzeczywistości. Zamknęli się w swojej ideologicznej bańce i forsują to bez względu na koszty. Mimo to w tej chwili wszyscy już mówią, jakie to jest dobre i że powinniśmy to wdrażać. Ale nikt nie mówi o dwóch najważniejszych rzeczach. Po pierwsze, że to jest przymus, a nie polityka oparta na dobrowolności. I druga rzecz – konsekwencje. A konsekwencje będą straszne, bo firmy, które nie będą wprowadzać raportowania ESG u siebie, zostaną wykluczone z dostępu do rynku, zostaną wykluczone z dostępu do finansowania. Bank nie otworzy konta albo nie udzieli kredytu firmie, która nie spełnia przesłanek, nie ma dobrych wskaźników albo nie raportuje ESG. To jest bardzo niebezpieczne dla polskiej gospodarki. Co więcej, wprowadzając te wszystkie polityki ESG, zwiększymy też koszty. A koszty są ogromne. Przez to firmy unijne, polskie, staną się mniej konkurencyjne w stosunku do firm z USA, Chin, Indii, które będą miały gdzieś raportowanie ESG. Nie wszyscy wiedzą, ale gdyby dyrektywę CSRD rozszerzono na wszystkie MŚP w Polsce z wyjątkiem osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą o zatrudnieniu do dziewięciu osób, to coroczne bezpośrednie obciążenie wyniosłoby od 9,8 mld zł do 23,6 mld zł, a koszty jednorazowe wdrożenia regulacji od 5,5 mld zł do 13,2 mld zł.

**Zwolennicy ESG twierdzą, że są to korzystne rozwiązania dla polskich firm, które dzięki temu lepiej przygotują się do działań na konkurencyjnym rynku.**

To jest bzdura. Jak firma, która zwiększa swoje koszty, utrudnia dostęp do rynku i taniego surowca, ma być bardziej konkurencyjna na rynku międzynarodowym?

**Spotkałem się też z taką opinią, że ESG będzie korzystne dla korporacji, a mniej dla małych firm, i przez to korporacje uzyskają dodatkową przewagę konkurencyjną. Czy widzi pan takie niebezpieczeństwo?**

Oczywiście, że tak. O ile małe firmy z sektora MŚP mają problemy z płynnością finansową, dla nich ten rynek jest trudniejszy, o tyle korporacje, które mają większe środki finansowe, większe budżety, poradzą sobie z tym. Tylko że to doprowadzi do tego, że pójdzie w kierunku budowania jakiegoś odrealnionego kapitalizmu opartego na dużych korporacjach, co w mojej opinii będzie wypaczeniem rynku, a nie rynkiem.

**Jeżeli ktoś nie zatrzyma tego szaleństwa, to naszą gospodarkę będzie czekała katastrofa. Finalnie te koszty poniesie całe społeczeństwo**

**Czy rzeczywiście duża część pracowników zamiast pracować na rzecz klientów i rozwoju własnej firmy, będzie musiała zajmować się raportowaniem? Jaka jest skala problemu?**

To bardzo duża skala. Oficjalnie objętych tym mamy 150 spółek. Ja się z tym szacunkiem nie zgadzam. Firm, które są podwykonawcami tych spółek i będą przez to objęte obowiązkowym raportowaniem, są w Polsce setki, jeśli nie tysiące. Skala będzie większa z roku na rok, bo te kryteria będą przesuwane. W tej chwili ESG jest nakierowane wyłącznie na duże firmy, ale do 2030 r. ma to też iść w kierunku MŚP. Każda firma w Polsce będzie zobowiązana do wprowadzenia raportowania ESG.

**Czyli to ostatecznie będzie dotyczyło wszystkich firm w Unii Europejskiej.**

Zgadza się. Jeżeli ktoś nie zatrzyma tego szaleństwa, to naszą gospodarkę będzie czekała katastrofa. Finalnie te koszty poniesie całe społeczeństwo. Zwolenników oparcia się temu nie jest tak dużo, co wynika z tego, że przedsiębiorcy tak naprawdę nie wiedzą, co to jest ESG i co ich czeka. Potrzebne są kampania edukacyjno-informacyjna w tym zakresie i działania ponad wszelkimi podziałami, żeby dotrzeć do przedsiębiorców i całego społeczeństwa. A to nie wszystko, bo konsument – jako to ostatnie ogniwo na rynku – też oberwie. Jeśli firmy będą miały dodatkowe koszty, to zostaną one przerzucone na wszystkich obywateli.



eprasa.pl a97f8a3e85

Nie kupi się chleba za 5 zł, tylko za 8 zł lub 10 zł. O ile jeszcze gospodarka będzie działała na zasadach rynkowych.

**Według raportu Warsaw Enterprise Institute pt. „Pod ciężarem ESG. Koszty raportowania ESG dla małych i średnich firm w Polsce" raportowanie danych ESG ułatwi wprowadzanie kolejnych regulacji i danin publicznych – zarówno na szczeblu unijnym, jak i krajowym. Czy podziela pan ten pogląd?**

Tak. Dojdzie do wielu innych problemów wynikających ze wzrostu kosztów ESG. Jeżeli ustąpimy decydentom w tej jednej, drugiej, trzeciej sprawie, to potem będą się przesuwać granice coraz dalej. To wynika też z tego, że niektóre firmy będą zamykane. A jeśli firmy będą się zamykać, bo nie będą w stanie funkcjonować na tym „rynku", to będą spadać wpływy do budżetu – zarówno polskiego, jak i unijnego. Summa summarum jakoś te pieniądze unijni decydenci będą chcieli pozyskiwać. To będzie prowadziło do wprowadzania nowych podatków, danin itd. Zaznaczę tylko, że fiskalizm państwa też ma swoje granice. To są podstawy ekonomii.

**Czy dane ESG nie są danymi wrażliwymi, których ujawnienie może powodować, że przez konkurencję zostaną użyte przeciwko tym firmom?**

Jak będą pobierane te dane, to wiele firm, instytucji, ludzi będzie miało do nich dostęp i będą je mogli wykorzystywać do walki na rynku. Będą zabawy w jakieś donosicielstwo. Przedsiębiorcy nie będą konkurować ceną i jakością, tylko tym, że jakaś firma spełnia bądź nie spełnia jakichś kryteriów: „O, ta firma nie spełnia kryteriów, odetnijcie jej finansowanie". To jest bardzo niebezpieczne, a to nie jest jakiś wymysł czy żart, tylko tak to będzie wyglądało. Korupcja, zastraszanie firm, negocjacje poprzez szantaż – to wszystko pojawi się w wyniku wdrażania tych utopijnych rozwiązań.

**Czy ujawnianie danych ESG zwiększy ryzyko możliwych roszczeń wobec firm?**

Myślę, że tak, o ile nie zmieni się prawodawstwo. Nie jestem w tym zakresie ekspertem, ale zadaję pytanie: Jak to się ma np. do RODO? Czy można zadzwonić do swojego podwykonawcy i się go wypytywać, ile zatrudnia kobiet w firmie, ile osób nieheteroseksualnych, ile zostawia śladu węglowego, ile pieniędzy przeznaczył na walkę z globalnym ociepleniem? To są często newralgiczne dane. Ciekawy jestem, jak te dane będą wyciągane. Czy wyobraża pan sobie, że szefostwo firmy będzie pytać swoich pracowników o orientację seksualną czy o poglądy? Tu jest bardzo newralgiczna granica i uważam, że będzie to sprzeczne z RODO i naszym prawem do wolności i ochrony.

**Jakie inne niebezpieczeństwa dla polskich firm wynikają z ESG?**

Będzie problem, jeśli te duże spółki zaczną bardzo mocno wymagać tych danych od swoich kontrahentów i firma nie będzie w stanie tego spełnić. Co wtedy? Zerwą kontrakt? Czyli taka firma może stracić klientów. Jeśli firmy zaczną tracić klientów, to wpłynie to na ich płynność finansową. Jeżeli będą tracić płynność finansową, to może to doprowadzić nawet do upadku tych firm. A jeżeli zaczną upadać, to zacznie brakować produktów, komponentów, usług, miejsc pracy. To bardzo mocno zaburzy funkcjonowanie rynku. Koszty jeszcze bardziej wzrosną. Firmy chcące kontynuować swoją działalność będą musiały jakoś te produkty, komponenty, materiały pozyskać. Kolejna rzecz – jeżeli dojdzie do tego, to globalne firmy będą mogły zdominować nasz rynek. Firmom z Chin, Indii, gdzie raportowanie ESG jest luźne lub w ogóle nie występuje, będzie łatwiej konkurować i wygryzać nasze firmy z rynku. To będzie bardzo niebezpieczne w zakresie funkcjonowania całej gospodarki.

**Może nie będzie brakować towarów i usług, tylko właśnie branże zostaną przejęte przez pozaunijną konkurencję, głównie międzynarodowe korporacje.**

Zgadzam się. Tylko trzeba sobie zadać pytanie, czy chcemy takiego państwa i takiej gospodarki, która jest oparta w większości na bardzo dużym kapitale interesariuszy. W moim mniemaniu: nie. Uważam, że kwintesencją gospodarki i zdrowych relacji na linii państwo – konsument – przedsiębiorca jest to, że państwo jest oparte na małych i średnich firmach, które są kołem zamachowym gospodarki, a nie na korporacjach, które w każdej chwili mogą wycofać się z danego rynku albo prowadzić politykę, a nie działalność gospodarczą na terenie kraju.

**Czy tym utajnionym celem unijnych ideologów nie jest po prostu eliminacja tylnymi drzwiami z rynku małych i średnich rodzinnych firm na rzecz korporacji bez nazywania tego procesu?**

To do tego prowadzi. Zwolennikami tego typu rozwiązań są właściciele bardzo dużych firm, którym nie zależy już tak bardzo na zysku. To są osoby, którym zależy na wprowadzaniu do prawodawstwa, i nie tylko do prawodawstwa, swoich fanaberii na siłę. Nieważne, czy to jest zdroworozsądkowe czy nie.

**Jak ocenia pan strategię ESG oraz czy powinniśmy ją wprowadzać do krajowego prawodawstwa?**

Problemem jest to, że decyzja w zakresie wdrożenia strategii ESG do prawodawstwa unijnego jest już faktem. Obecnie trwają prace nad tym, aby poszczególne kraje członkowskie zmieniły przepisy krajowe oraz dostosowały je do tej nowej polityki, która ma osiągnąć arbitralnie wytyczone wskaźniki. W mojej ocenie ESG to polityka antyrozwojowa i zdecydowanie sprzeczna z ideą wolnej przedsiębiorczości. Należy się jej stanowczo sprzeciwić. Nawiązując do ponadczasowych słów Fryderyka Bastiata, powinniśmy też zwrócić uwagę na to, co widać, a czego nie widać. Pragnę zauważyć, że wiele zachodnich firm już się wycofało z promocji ESG. Koniec końców zawsze przychodzi refleksja i wraca zdrowy rozsądek, a gracze na trudnym rynku globalnym bardzo szybko odchodzą od głupich pomysłów, które w żaden sposób nie są oparte na rachunku ekonomicznym. Podsumowując, musimy przestać wciskać obywatelom kit, że bogactwo, dobrobyt i bezpieczeństwo biorą się z wdrażania ideologii za pomocą ustawy. Zadam bardzo proste pytanie: Czy jakby tak było, to musielibyśmy to robić odgórnie i za pomocą przymusu? Na to pytanie pańscy czytelnicy powinni odpowiedzieć sobie sami. Na koniec dodam, że otaczający nas populizm będzie dla społeczeństwa tragiczny w skutkach, obywatele Polski i Europy za swoją ignorancję zapłacą straszliwy rachunek. Najgorsze jest to, że tylko kryzys gospodarczy może nas zawrócić z drogi, na której jesteśmy, drogi w kierunku przepaści. Im dalej dojedziemy, tym boleśniej to odczujemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

Rafał Patyra wraz z zespołem zapraszają codziennie na najszybsze w Polsce informacje ze świata polityki, kultury, sportu i rozrywki. Prawdziwy polski ekspres w Telewizji Republika.

REPUBLIKA

EXPRESS REPUBLIKI

codziennie
16:55

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl a97f8a3e85

# Gorączka złota

Jacek Przybylski

**W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy w Narodowym Banku Polskim przybyło aż 130 ton złota. W 2023 r. polski bank centralny pod względem liczby kupionych sztabek wyprzedził jedynie Ludowy Bank Chin. Dzięki ostatnim zakupom Polska awansowała na 15. miejsce wśród krajów o największych rezerwach złota**

Narodowy Bank Polski cenny kruszec kupuje sukcesywnie już od kilku lat. W lipcu 2019 r. bank centralny odpalił prawdziwą „złotą bombę" – ogłosił wówczas, że w latach 2018–2019 zwiększył polskie rezerwy złota o niemal 126 ton do 228,6 ton. W ubiegłym roku polscy bankierzy znów kupowali na rynku królewski kruszec: między kwietniem a listopadem polski bank centralny nabył aż 130 ton złota, zwiększając rezerwy o 57 proc. do 359 ton.

Dzięki temu Polska zajmuje już 15. miejsce wśród krajów z największymi rezerwami złota (lub 17. pozycję, jeśli w rankingu uwzględnia się skarbce Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego). Polska w złotym wyścigu nie powiedziała jednak jeszcze ostatniego słowa. Bankierzy znad Wisły nadal zamierzają bowiem uzupełniać zapasy drogocennego żółtego metalu. Zarząd Narodowego Banku Polskiego podjął bowiem decyzję o zwiększeniu do 20 proc. udziału złota w rezerwach NBP (pod koniec stycznia należące do polskich podatników złote sztabki były warte 23,5 mld dol., co oznacza, że w królewskim kruszcu ulokowanych jest 12,4 proc. polskich rezerw).

## POLISA NA ZŁE CZASY

– To złoto zwiększa poczucie bezpieczeństwa każdego Polaka. To jest własność wszystkich Polaków – podkreślił prezes NBP Adam Glapiński. – [Polska] należy do elitarnego klubu kilkudziesięciu krajów, które posiadają duże zasoby [złota – przyp. red.] – dodał Glapiński, przedstawiając plany, do których realizacji potrzebny jest zakup jeszcze 220 ton królewskiego kruszcu.

Polskie złoto jest przechowywane w formie sztab ważących ok. 12,5 kg, zarówno w Skarbcu NBP, jak i w skarbcach Banku Anglii w Londynie oraz Banku Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku. Jednocześnie w ciągu ostatnich kilku lat polscy bankierzy z sukcesem przeprowadzili operację sprowadzenia do kraju części złota przechowywanego dotychczas poza granicami Polski. Poszli tym samym śladem innych banków centralnych: wcześniej decyzję o repatriacji złota podjęły m.in. Bundesbank (ściągając sztaby ważące po ponad 300 ton z Paryża i Nowego Jorku), a także banki centralne Austrii i Holandii. Jak ogłosił NBP, każda ze sztab zawiera co najmniej 99,5 proc. czystego złota. Wyraźnie określone są na niej zarówno próba, jak i rok produkcji oraz oznaczenie rafinera.

NBP nie jest jedynym bankiem centralnym, który w ostatnich latach regu-



eprasa.pl a97f8a3e85

FOT. ADOBE STOCK

larnie zwiększa zapasy złotych sztabek. Banki centralne zaczęły dużo chętniej inwestować w królewski kruszec jeszcze przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę, która przyczyniła się do zwiększenia geopolitycznych zagrożeń. Złotych sztabek w skarbcach różnych krajów zaczęło przybywać już od czasu globalnego kryzysu finansowego w roku 2008. Rekordowy pod względem zakupów był jednak rok 2022. Wówczas banki centralne kupiły 1082 tony złota, czyli najwięcej od kilku dekad.

Według danych Światowej Rady Złota (WGC) 2023 r. był niewiele słabszy: do narodowych skarbców trafiło dodatkowo 1037 ton. Najwięcej złota zakupił Ludowy Bank Chin. Oficjalnie chińskie rezerwy powiększyły się o 225 ton królewskiego kruszcu, czyli najbardziej od 1977 r., gdy zaczęto prowadzić oficjalny rejestr zakupów złota przez bank centralny Chin.

Złoto pełni rolę bezpiecznej przystani, bo jego wartość nie zależy od polityki fiskalnej czy pieniężnej żadnego kraju. Nie da się go też szybko „dodrukować". Duże zasoby królewskiego kruszcu w narodowym skarbcu budują więc zaufanie zagranicznych inwestorów do danego kraju i mogą być traktowane jako jeden ze sposobów na utrzymanie stabilności krajowej waluty.

Najwięcej złota mają Stany Zjednoczone (8133,5 tony stanowi niemal 70 proc. rezerw amerykańskiego banku centralnego), Niemcy (3353 tony), Włochy (2452 tony), Francja (2437 ton) oraz Rosja (2332 tony). W pierwszej piętnastce państw, których banki centralne przechowują najwięcej złotych sztabek, znajdują się również Chiny, Szwajcaria, Japonia, Indie, Holandia, Turcja, Tajwan, Uzbekistan, Portugalia oraz Polska. Polska na 15. miejsce awansowała z 22. pozycji, którą zajmowała jeszcze na koniec I kwartału 2023 r. Polska pod względem posiadanych rezerw złota nie tylko zajmuje najwyższe miejsce w regionie, lecz także coraz mocniej zbliża się do światowej elity. Mniej drogocennych sztabek niż Polacy przechowują obecnie banki centralne takich krajów jak Arabia Saudyjska, Wielka Brytania czy Hiszpania. Zwiększenie zgodnie z zapowiedziami NBP polskich rezerw złota do ok. 580 ton dałoby Polsce miejsce w pierwszej dziesiątce na świecie.

W sumie w skarbcach banków centralnych na całym świecie oficjalnie jest mniej więcej 36,7 tys. ton złota (czyli ponad 17 proc. światowego złota). Średnio banki centralne trzymają w złocie ponad 10 proc. rezerw, a kraje europejskie ok. 20 proc. W 2024 r. bankierzy z różnych państw świata planują kolejne zakupy. Według informacji Światowej Rady Złota (WGC) swoje rezerwy królewskiego kruszcu w ciągu najbliższych miesięcy zamierza zwiększyć jedna czwarta wszystkich banków centralnych.

## SŁABSZY DOLAR, DROŻSZY KRUSZEC?

Geopolityczne napięcia oraz rosnący poziom zadłużenia wielu zachodnich państw sprawiają, że moda na zakupy złota panuje nie tylko wśród bankierów centralnych, lecz także wśród osób prywatnych. Nie tylko w Indiach, gdzie żółty metal tradycyjnie kupowany jest na śluby i inne okazje, lecz także wśród prywatnych inwestorów w Azji oraz na innych kontynentach. Z raportu WGC wynika, że światowy popyt na złoto jubilerskie wzrósł w ubiegłym roku o 17 proc.

Globalnie utrzymywał się również popyt na fizyczne złoto inwestycyjne. W uproszczeniu: sztabki i monety kupowali mieszkańcy Azji, a sprzedawali Europejczycy i Amerykanie. I chociaż w XXI w. moda na wirtualne waluty typu bitcoin istotnie przyćmiła atrakcyjność inwestycji w metale szlachetne, to złoty kruszec nadal jest powszechnie uważany za dobry sposób na zabezpieczenie oszczędności przed inflacją (mimo że dane historyczne nie zawsze potwierdzają tę tezę, w długim terminie złoto pozwala zachować siłę nabywczą). Od 1971 r. – czyli od czasu, gdy prezydent USA Richard Nixon uśmiercił nagle ówczesny ład monetarny i zawiesił wymienialność dolara na złoto – cena uncji wzrosła o ponad 4,5 tys. proc. (sic!) – z ok. 40 dol. do ok. 2 tys. dol. za uncję.

**359 ton złota**

**MA JUŻ POLSKA W SKARBCACH PO UBIEGŁOROCZNYCH ZAKUPACH NBP**

Wprawdzie w ostatniej dekadzie cena złota na rynkach zmieniała się dość gwałtownie, jednak w ostatnich miesiącach rosnący popyt na królewski kruszec znów sprawia, że ten drogocenny metal staje się stopniowo coraz droższy. W grudniu 2023 r. cena złota ustanowiła nowy historyczny rekord w ujęciu nominalnym: 2147,7 dol. za uncję.

W roku obecnym ceny żółtego metalu wspierają powszechne nadzieje na rychłe rozpoczęcie łagodzenia polityki pieniężnej przez amerykańską rezerwę federalną (Fed). Cięcia stóp procentowych powinny osłabić dolara. Słabszy dolar w połączeniu z kryzysami geopolitycznymi w różnych zakątkach globu – a być może również z nowym poważnym kryzysem bankowym lub na rynkach nieruchomości – może zaś jeszcze przed końcem obecnego roku


eprasa.pl a97f8a3e85

wywindować ceny złota do 2,2 tys. dol. za uncję. Z kolei według szacunków J.P. Morgan Research ceny złota osiągną szczyt na poziomie 2,3 tys. dol. za uncję w roku 2025. Jednocześnie nie brakuje analityków prognozujących ceny na poziomie 2,4 tys. dol. czy 3 tys. dol. za uncję, którzy przypominają, że jeśli uwzględnić inflację, to obecnym cenom kruszcu jeszcze wiele brakuje do rekordu z lat 80. (ówczesne 850 dol. za uncję to bowiem 3,3 tys. dol. zgodnie z dewaluowaną wartością obecnego „zielonego"). Jednakże np. Commerzbank w lutowej prognozie przewiduje, że choć złoty metal nieco zdrożeje, to na koniec roku uncja złota kosztować będzie „zaledwie" ok. 2,1 tys. dol.

## POLACY LUBIĄ ZŁOTO

Kolejne raporty dotyczące inwestycji Polaków pokazują, że również nad Wisłą inwestycje w złoto są nadal dość popularne. – Z naszego badania, przeprowadzonego przez ARC Rynek i Opinia, wynika, że złoto inwestycyjne kupiło kiedykolwiek 14 proc. Polaków. Najważniejsze dla kupujących są cena za produkt oraz doświadczenie i długa obecność na rynku firmy sprzedającej produkty inwestycyjne. Kobiety częściej niż mężczyźni preferują zakup złotych sztabek, panowie zaś jako swój cel inwestycyjny wybierają monety bulionowe. Złoto traktowane jako inwestycja jest na pewno popularniejsze niż jeszcze 10 czy 15 lat temu – informuje „Do Rzeczy" dyrektor zarządzający do spraw sprzedaży w Mennicy Skarbowej, Adam Stroniawski. – W ubiegłym roku w całej Europie nastąpił znaczący spadek sprzedaży produktów inwestycyjnych ze złota. Tylko w Niemczech zanotowano 70-procentowe zmniejszenie popytu na wyroby z tego kruszcu. Także w Polsce w ubiegłym roku w Polsce sprzedało się o 40–50 proc. mniej produktów inwestycyjnych ze złota w porównaniu z rokiem 2022. Jak szacujemy w tym roku, może nastąpić kilkuprocentowy wzrost sprzedaży złota w porównaniu z rokiem 2023. Jednym z istotnych trendów, który może przyczynić się do zwiększenia popytu, jest rosnące zainteresowanie Polaków małymi gramaturami złota, szczególnie w kanale sprzedaży on-line. Klientom coraz bardziej zależy na łatwym dostępie do produktów inwestycyjnych, co przekłada się na wzrost popytu na kilkugramowe sztabki złota oraz monety o niższej wartości – dodaje Adam Stroniawski.

**Złoto to zdecydowanie inwestycja długoterminowa, tzw. bezpieczna przystań**

Z badania przeprowadzonego na zlecenie firmy Tavex wynika, że oszczędności w królewskim kruszcu ma średnio 13 proc. Polaków, ale w grupie wiekowej od 18 do 24 lat ten poziom jest istotnie wyższy i wynosi niemal 50 proc.

Jak to jednak z prognozami rynkowymi bywa, wcale nie ma gwarancji szybkiego wzrostu cen złota. Wystarczy, że rezerwa federalna jeszcze dłużej, niż prognozuje obecnie rynek, wstrzyma się z obniżkami stóp procentowych lub dokona niższych cięć niż się spodziewano, a drogocenny kruszec zamiast drożeć, może wręcz zacząć nieznacznie tanieć. W ostatnich tygodniach na rynku można zaobserwować konsolidację w okolicach 2030 dol. za uncję.

Rozważając zakup złotych sztabek lub monet bulionowych, warto pamiętać też o tym, że nawet jeśli kruszec będzie bił kolejne rekordy w dolarach, to ceny wyrażone w polskim złotym wcale nie muszą być równie atrakcyjne, jeśli polska waluta będzie kontynuować znaczące umocnienie z ostatnich miesięcy. Za popularną monetę bulionową o wadze jednej uncji (28,3495 g) pod koniec ubiegłego tygodnia trzeba było zapłacić ok. 8,3 tys. zł. W podobnej cenie oferowane były jednouncjowe sztabki.

Cena zależy od mennicy, wielkości zamówienia, a także od terminu dostarczenia zakupionego złota (często im dłużej jesteśmy gotowi poczekać na dostawę, tym cena jest niższa). Oferta dostępnych w Polsce złotych monet i sztabek jest wyjątkowo bogata. Popularnymi wśród Polaków produktami są zarówno produkty jednouncjowe, jak i te ważące ćwierć lub pół uncji. Monetę bulionową o wadze 1 g można kupić już za 365,1 zł, a jednogramową sztabkę za mniej niż 300 zł. Sprzedawcy oferują również różnego rodzaju zestawy, pakiety, zakupy na raty, a nawet abonamenty pozwalające na zakup jednouncjowej sztabki złota „po kawałku".

– Polacy chętnie kupują złoto o małej gramaturze, np. 1 gram, a to jest wydatek rzędu 350–400 zł w zależności od kursu dolara. Złota moneta to koszt rzędu 8 tys. zł. Na pewno łatwiej zainwestować w złoto niż w nieruchomości czy np. akcje spółek giełdowych. Na początek nie potrzeba dużej kwoty. Jeśli nie mamy doświadczenia w zakupach tego kruszcu, to na pewno na początku warto zrobić zakupy w firmie, która długo funkcjonuje na rynku. Zadbajmy też o to, żeby kupowane np. sztabki miały certyfikat od producenta. Wbrew pozorom dość łatwo podrobić złote produkty. Nie zawsze więc o zakupach powinna decydować cena – zauważa Adam Stroniawski z Mennicy Skarbowej.

Osoby, które nie chcą inwestować w fizyczne złoto, mogą także kupować jednostki funduszy metali szlachetnych, których wycena zależy od kursu królewskiego kruszcu. Inwestując w złoto, warto jednak pamiętać, że i w tym przypadku wiele osób sparzyło się na marzeniach o wielkich zyskach. Są wśród nich nie tylko ci, którzy marząc o uncji wartej co najmniej 3 tys. dol., chętnie kupowali fundusze metali szlachetnych i… często ledwo wychodzili na zero albo zarabiali istotnie mniej niż ci, którzy w ostatnim roku zdecydowali się na zakup funduszy akcji czy obligacji (najlepszy z obecnych w Polsce fundusz złota od 2 października 2023 r. do 27 lutego 2024 r. dał inwestorom zarobić 10 proc., a zarządzający najsłabszym sprawili, że inwestorzy w tym samym okresie odnotowali stratę wynoszącą ponad 10 proc.). Stosunkowo słabe wyniki w ostatnich miesiącach przyniosły również zakupy jednostek funduszy inwestujących w akcje spółek wydobywających złoto i inne metale szlachetne.

– Złoto to zdecydowanie inwestycja długoterminowa, tzw. bezpieczna przystań. Prosty przykład: po drugiej wojnie światowej można było kupić farmę w USA za 1 tys. dol. lub 1 kg złota. Teraz też kupimy taką nieruchomość za 1 kg złota, ale nie wiem, czy 1 tys. dol. starczy na ogrodzenie – zauważa Adam Stroniawski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a97f8a3e85

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# „Fit for 100"! Natychmiast!

Po co bawić się w te częściowe zwycięstwa nad zdrowym rozsądkiem? Czyli po co bawić się w „Fit for 55" i „Fit for 90"? Po co czekać na „konieczność zmniejszenia przez państwa Unii Europejskiej emisji $CO_2$ o 55 proc. względem 1990 r." aż do roku 2030, na „konieczność zmniejszenia przez państwa UE emisji $CO_2$ o 90 proc. względem 1990 r." aż do roku 2040, a na „osiągnięcie przez nie neutralności klimatycznej" aż do roku 2050?

A w ogóle to dlaczego np. „Fit for 55" oznaczał „konieczność redukcji o 55 proc. emisji $CO_2$ do 2030 r. względem roku 1990", a nie np. do 2029 r.? Albo do 2025 r.? A bo tak!

A skoro „a bo tak", to może pora przestać się bawić w te półśrodki i półkroki? I pora zastosować w pełni cały środek i zrobić cały krok? I zażądać „Fit for 100" w 2025 r.? Czyli już za rok? A właściwie nawet nie za rok, bo ledwie za kilka miesięcy.

Po co kazać ludziom popełniać samobójstwo stopniowo, „na raty", aż do 2050 r., skoro można to zrobić za jednym razem – i to już dziś, natychmiast? Po co mamy najpierw inwestować w piece gazowe – do których wciąż jeszcze chyba są „zielone" dopłaty, nieprawdaż? – skoro już najdalej w 2040 r., a więc za 15 lat z ogonkiem, będziemy musieli te piece wyrzucić na śmietnik, bo ich używanie będzie zakazane? Po co mamy teraz inwestować w energooszczędne kaloryfery, skoro za kilkanaście lat będziemy musieli wyrzucić je na śmietnik, a potem jeszcze zerwać podłogi w swych domach i mieszkaniach – po to, żeby zamontować w nich ogrzewanie podłogowe, bo takie jest efektywne w przypadku pomp ciepła, a tylko te będą dozwolone od 2040 r.? Zresztą kto tam wie, czy będą wtedy jeszcze dozwolone? Piece gazowe podobno też miały być częścią Zielonego Ładu, ale na jednym z etapów zielonej rewolucji zieloni guru orzekli, że jednak nie będą, bo mają być pompy ciepła. A za rok lub za dwa lata może im przecież strzelić do głów, że pompy ciepła też już są zakazane, więc każdy unijczyk ma sobie kupić rower z dużym dynamem i za jego pomocą wytwarzać energię potrzebną mu do ogrzania się i poświecenia sobie w ciemnościach. Bo przecież od mycia się w ciepłej wodzie zmuszeni zostaniemy się odzwyczaić znacznie wcześniej.

A zatem: Po co ludzie mają dziś kupować nowe kaloryfery i piece gazowe, żeby za 15 lat musieć je wyrzucać, a w ich miejsce montować ogrzewanie podłogowe i pompy ciepła, a po nich kupować te rowery z dużymi dynamami? Po co mamy popełniać samobójstwo na raty, skoro możemy wspólnie – i to już dziś – popełnić jedno gigantyczne samobójstwo zbiorowe wszystkich obywateli państw UE, czyli niemal 450 mln ludzi obojga płci?

A więc: do dzieła?! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Czas na jasne słowa

Polityków warto słuchać bardzo uważnie, ponieważ często mówią w taki sposób, żeby w przyszłości nie można ich było oskarżyć o kłamstwo bądź niedotrzymanie obietnicy. Dlatego warto było szczególnie dokładnie słuchać, jaka była reakcja panów prezydenta i premiera oraz innych polskich polityków na wypowiedzi najpierw słowackiego premiera Roberta Ficy, a potem prezydenta Francji Emmanuela Macrona o ewentualnym wysłaniu wojsk „kilku państw NATO" na Ukrainę. W tej sprawie nastąpił dziwny i niepokojący chaos informacyjny, polscy politycy zaś zajęli stanowisko pozornie jasne: stwierdzili, że nie ma takich planów, gdy idzie o polskich żołnierzy.

**Polacy od rządzących mają prawo oczekiwać deklaracji jasnej i całkowicie jednoznacznej**

Jeśli jednak porównać wypowiedzi przedstawicieli polskiego państwa choćby z tym, co powiedział swoim wyborcom pan premier Fico, to widać różnicę. Pan Fico oznajmił mianowicie, że słowaccy żołnierze na Ukrainę nie pojadą. Koniec i kropka. Żaden z polskich polityków nie był podobnie stanowczy. „Nie ma takich planów" albo „nie planujemy tego obecnie" nie jest wszak tym samym, co jasne stwierdzenie: „to nie nastąpi".

Trzeba też pamiętać, że Polacy mają z poprzednim rządem złe w tej mierze doświadczenie. Wszak przez kilka miesięcy na Ukrainie, w głębokiej tajemnicy, operowali policjanci (?) w służbie czynnej, pracując podobno nad rozminowywaniem. Polska wysłała swoich funkcjonariuszy na Ukrainę, narażając ich na niebezpieczeństwo, a nas wszystkich na nieobliczalne konsekwencje, gdyby któryś z nich został wzięty do niewoli przez Rosjan – choć żaden z pozostałych krajów, do których w tej sprawie zwrócił się Kijów, nie zdecydował się na taki krok, uznając go za zbyt ryzykowny. Jak po takim doświadczeniu obywatele mają mieć zaufanie do władzy? Także do obecnej, której szeregi zasilają osoby takie jak Paweł Kowal, głoszący, że państwo ukraińskie nie jest odpowiedzialne za wołyńskie ludobójstwo?

Polacy od rządzących mają prawo oczekiwać deklaracji jasnej i całkowicie jednoznacznej: polscy żołnierze nie pojadą na Ukrainę w warunkach trwającego konfliktu zbrojnego ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# SKODA KAMIQ 1.0 TSI

FOT. JAP

To najmniejszy uterenowiony model w ofercie czeskiego producenta. Przeznaczone do miasta auto klasy B-SUV jest więc wyraźnie mniejsze niż Karoq czy Kodiaq. Rozmiarami Kamiqowi bliżej do Nissana Juke'a czy Seata Arony. I to właśnie ten model należy do największych bestsellerów czeskiej marki w Polsce i w innych krajach Europy. Dlaczego? Kamiq to praktyczny, dość atrakcyjnie wyglądający samochód. Mieszkańcy miast doceniają w nim wynoszący 188 mm prześwit, pozwalający bez stresu pokonywać wysokie krawężniki, bez problemu zaparkować (auto ma 424 cm długości) i spokojnie dojechać na rekreacyjną działkę nad rzeką. A przy okazji wciąż jest to auto w miarę rozsądnie wycenione.

Pod maską testowanego Kamiqa krył się trzycylindrowy, turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 1.0 TSI i mocy 110 KM. Wyścigówka to nie jest. Na przyspieszenie od zera do setki trzeba poczekać 9,7 s. W praktyce Kamiq z manualną, sześciobiegową skrzynią jest jednak wystarczająco dynamicznym autem na codzienne potrzeby. Czeski crossover nieźle radzi sobie również ze sprawnym pokonywaniem serpentyn. Również na ekspresówkach auto daje radę, choć na autostradzie w okolicach 140 km/h we wnętrzu robi się już nieco zbyt głośno. Przy dystrybutorze nie ma powodu do płaczu. Podczas naszego testu średnie zużycie paliwa (miasto, droga krajowa, autostrada) wyniosło 6 l/100 km.

W przestronnej kabinie kierowca do dyspozycji może mieć cyfrowe wskaźniki z możliwością podstawowej personalizacji. Niestety, również wentylacją steruje się tu za pomocą dotykowego ekranu (na tych, którzy wymyślają takie rozwiązania, powinno czekać specjalne miejsce w motoryzacyjnym piekle). Na szczęście pozostałe elementy wnętrza są już ergonomiczne i praktyczne.

Wady? Co prawda, można zamówić Kamiqa w mocniejszej wersji (z silnikiem 1.5 TSI o mocy 150 KM i 250 Nm, który do setki przyspiesza w nieco ponad 8 s). Można też zażyczyć sobie auto z automatyczną skrzynią, ale czeski producent nawet za dopłatą nie oferuje tego modelu z napędem na obie osie. Szkoda.

Na pochwałę zasługuje za to bagażnik o pojemności 400 l, który po złożeniu tylnej kanapy można powiększyć do 1395 l. W tej klasie to wcale niemało.

Najtańszy Kamiq w wersji Essence z silnikiem o mocy 95 KM i pięciobiegową skrzynią kosztuje 87,7 tys. zł, a z jednostką o mocy 115 KM i sześciobiegową skrzynią – 91,9 tys. zł. W najwyższej wersji wyposażenia (Monte Carlo) Kamiq, z silnikiem 1.0 TSI o mocy 115 KM, kosztuje 114,2 tys. zł z manualną sześciobiegową skrzynią, a 121 tys. z automatem. Najdroższa jest wersja z jednostką 1.5 TSI o mocy 150 KM z siedmiobiegową skrzynią DSG – to bowiem wydatek 127,7 tys. zł. ©℗

# MOTOROLA MOTO G84 5G

Bardzo ładny ekran pOLED, eleganckie wzornictwo, wytrzymała bateria, niemal zupełnie czysty Android 13, modem 5G, przyzwoity aparat główny oraz 12 GB RAM – to największe zalety flagowego średniaka od Motoroli, którego cena od jesiennej premiery spadła wreszcie do całkiem atrakcyjnego poziomu.

Średniak z motorolowskiej rodziny „G" kusi klasycznym, minimalistycznym designem i dobrym wyświetlaczem. Sześcioipółcalowy ekran pOLED ma żywe kolory, głęboką czerń, rozdzielczość Full HD+ (2400 x 1080 pix), maksymalne odświeżanie 120 Hz i maksymalną jasnośćć na poziomie 1300 nitów (całkiem nieźle).

Sercem ważącego 166,8 g urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor Snapdragon 695 5G współpracujący z 12 GB pamięci RAM. Na dane producent przewidział 256 GB. Procesor do najnowszych już dawno nie należy, więc wydajnością ten model nawet wśród średniaków nie wygrywa. Przy standardowym użytkowaniu przycinki zdarzają się jednak stosunkowo rzadko, choć trzeba sobie jasno powiedzieć: to absolutnie nie jest telefon dla wymagających graczy.

Pozytywnie – jak na Motorolę – zaskoczył mnie również całkiem przyzwoity aparat główny. Matryca 50 MP z optyczną stabilizacją obrazu i przysłoną f/1.88 najczęściej daje radę zrobić naprawdę fajne zdjęcia w dobrym oświetleniu. Nieco gorzej jest ze stabilizacją obrazu podczas kręcenia filmików. Niestety, obiektyw ultraszerokokątny z przysłoną f/2.2 nie jest szczytem marzeń dla miłośników cyfrowej fotografii.

Plusami są za to bateria o pojemności 5000 mAh (dzięki niej przy rozsądnym użytkowaniu ten model wymaga ładowania raz na dwa dni), całkiem przyzwoicie grające głośniczki, modem 5G oraz hybrydowy dual SIM. Bez zarzutu pracuje też czytnik linii papilarnych.

Minusy? Jakość zdjęć w gorszych warunkach oświetleniowych nie zachwyca. Ponarzekać można też nieco na długi czas ładowania baterii. Przydałoby się ładowanie 68 W zamiast 30 W. Ważną wadą jest też brak wodoodporności – wskaźnik ochrony w przypadku tego modelu jest na poziomie zaledwie IP54, co oznacza, że jest pyłoszczelny i odporny na deszcz (do kąpieli lepiej go więc nie brać).

W ciekawej wersji ze skórą wegańską w modnym kolorze Viva Magenta (stworzonym we współpracy z Pantone) testowany smartfon kosztuje 1149 zł. W wersji plastikowej (dokładnie PMMA) o granatowym kolorze Moto G84 5G można kupić już za 1079 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**



eprasa.pl a97f8a3e85

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Czarniecki na wyspie Alsen

Wyprawa dywizji Stefana Czarnieckiego do Danii w 1658 r. obrosła trochę w mity i legendy; głównie za sprawą Jana Chryzostoma Paska. Doszło do niej, kiedy Dania została zaatakowana przez Szwecję, a na pomoc ruszyły oddziały cesarskie i pruskie; zarówno elektor Fryderyk Wilhelm, jak i gen. Montecuccoli życzyli sobie udziału wojsk polskich.

Czarniecki ruszył zatem 20 września 1658 r. z obozu pod Wałczem. Żołnierze szli komunikiem, bez taborów, które zostały w obozie nad Notecią. Przyszły hetman zadbał o dyscyplinę, chociaż wojska jechały przez kraj ogołocony z żywności, którą zabrały maszerujące przodem oddziały elektora. 7 października dotarły do Parchimia, gdzie rozłożyły się na

FOT. DOMENA PUBLICZNA

obóz. Pięć dni później dywizja osiągnęła Wandsbek, a 14 października stanęła pod Bordesholmem, już w Holsztynie, gdzie rozłożyła się na kwaterach. Niestety, okolica była spustoszona, brakowało żywności, doszło więc do grabieży i awantur.

Kiedy pod koniec października książę elektor pruski zdecydował się zaatakować Szwedów, nakazał Czarnieckiemu wymarsz do Hadersleben i zajęcie stanowisk w mieście. Po przybyciu okazało się, że okolica jest jeszcze bardziej ogołocona z żywności, doszło więc do kolejnej, największej fali ekscesów i grabieży. Jak podaje Adam Kersten, łupem Polaków stały się wówczas miejscowość Tondern i wiele okolicznych wsi. Niestety, elektor świadomie przeznaczył na kwatery wojsk polskich tereny pozbawione żywności, a ściągająca ją czeladź polska dopuszczała się gwałtów, rabunków i podpaleń, o czym wspominał zresztą w pamiętniku Jan Chryzostom Pasek.

Pierwszymi działaniami wojennymi było opanowanie Koldyngi 12 i 13 listopada, niestety, zamek pozostał w rękach Szwedów, a dysponujacy tylko jazdą Czarniecki nie mógł nawet pomyśleć o jego zdobyciu. Kolejną akcją, która rozsławiła Polaków, było zdobycie wyspy Alsen, której strzegł ufortyfikowany zamek Sonderborg. I tutaj właśnie 14 grudnia nastąpiła sławna przeprawa polskiej jazdy przez cieśninę na wyspę Als; chorągwie na czele z Czarnieckim przebyły wpław lodowate wody. Tyle przynajmniej mówiła relacja Paska, który jednak w opisywanym ataku nie brał udziału.

Historycy długo nie mogli ustalić, czy rzeczywiście Polacy wjechali na koniach do lodowatej wody czy jednak przeprawili się na łodziach, ciągnąc za nimi zmarznięte wierzchowce. Jan Chryzostom Pasek pisał tak: „Było pływać, jako na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku tej odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół stajania. Sam tedy, przeżegnawszy się, wojewoda wprzód w wodę, pułki za nim, bo jeno trzy były, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety, a ładownice uwiązawszy u szyje. Skoro przypłynął na środek, stanął i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potym dalej. Konie już były do pływania probowane; ktory źle pływał, to go między dwoch dobrych mieszano, nie dali mu tonąć". Wiktor Czermak przyjął bez oporu tę wersję, Władysław Czapliński uważał, że część jazdy przeprawiła się na łodziach, a część wpław. Jednak ostatecznie Adam Kersten dowiódł, na podstawie pamiętnika Jakuba Łosia, towarzysza chorągwi pancernej, że żołnierze przepłynęli cieśninę na łodziach, „holując" przy nich wierzchowce. Jak pisał naoczny świadek tamtych wydarzeń: „Wojsko nasze, którego nie było tylko cztery chorągwie kozackie, [...] wpław przy barkach puścili się przez kanał tak szeroki, że go ledwie z dobrej fuzyjej mógł przestrzelić, w tak ciężki mróz, że konie w wodzie od zimna nie pływały, ale jako deszczki na płask, leżąc przeciągane były...".

Szwedzi widząc przeprawiającą się jazdę, wycofali z szańców nad brzegiem piechotę do zamku, pozostawiajac jazdę, która osłaniała jej odwrót. Czarniecki, nie czekając na wszystkie chorągwie, puścił się w pogoń za Szwedami, z których część schroniła się na zamku w Sonderborgu, część zaś wycofała się aż do leżącego na północy wyspy Nordburga. Wróg nie myślał o obronie, przygotowywał skrycie ewakuację i 17 grudnia wycofał się z zamku, pozostawiając tabory i 1,2 tys. koni, które przypadły zwycięzcom. 18 grudnia poddała się druga twierdza, Nordburg, oblężona przez Polaków i sprzymierzone oddziały brandendurskie.

Chociaż miejsce przeprawy nie jest dziś oznaczone, to zapewne znajdowało się ono na północ od dzisiejszego mostu na wyspę, w takiej odległości, aby nie szkodziły mu działa z zamku Sondenborg, który zachował się i jest dostępny do zwiedzania. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

# Owies dla „w gorącej wodzie kąpanych"

Owies nazywany był zbożem barbarzyńców, uprawiały go bowiem ludy północy – Celtowie i Germanie. Obecny w Europie od starożytności, uszlachetniony został na równinach Turkiestanu i na Kaukazie. Nazwa wywodzi się z sanskrytu i oznacza zarówno owcę, jak i jedzenie. To zboże bardzo lubiły konie, więc wraz z ich hodowlą rozprzestrzeniało się w całej Europie. Ale i ludzie wprowadzili je do własnego menu, chociażby w postaci sycącej owsianki. W średniowieczu odkryto też właściwości kosmetyczne owsa. W 1563 r. Mattioli pisał, że „jeśli umyjesz twarz mąką owsianą zmieszaną z białym ołowiem, stanie się ona piękna i jasna". Doceniano także właściwości owsa w walce ze świerzbem i z innymi dolegliwościami skórnymi. Radzono, by kąpać się w wodzie, w której gotowano słomę owsianą. Dzieciom i dorosłym „w gorącej wodzie kąpanym" zalecano spanie na materacach wypchanych słomą owsianą.

Wracając do hodowli koni – ponoć te karmione owsem są bardziej ogniste i być może stąd wzięło się przekonanie, że owies korzystnie wpływa również na płodność u mężczyzn, jak piszą w książce „Atlas naturalnego piękna" Victoire de Taillac i Ramdane Touhami.

Dzisiaj polecamy wykorzystanie owsa na dwa sposoby – w pielęgnacji i w diecie.

W młynku do kawy zmielić po 100 g płatków owsianych, soli gruboziarnistej i rumianku. Wszystko wsypać do płóciennego woreczka i włożyć do wanny z gorącą wodą. Wziąć kąpiel.

A dla mężczyzn, kobiet i dzieci polecamy domową granolę z czekoladą i żurawiną. W okresie Wielkiego Postu może być to zdrowy zamiennik słodyczy, jeśli postanowiliśmy ich nie jeść (chociaż nie wiemy, czy post się będzie liczył, bo to dobre).

## Granola z czekoladą i żurawiną

• 2 i 1/2 szklanki płatków owsianych • 4 łyżki nasion słonecznika • 3 łyżki nasion sezamu • 2 dojrzałe banany • 5 łyżek orzechów laskowych lub nerkowca • 6 łyżek suszonej żurawiny • 1/2 tabliczki gorzkiej czekolady

W misce mieszamy płatki, nasiona słonecznika i sezam, miksujemy banana i dodajemy do miski, mieszamy, masę wykładamy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Pieczemy w temp. 160 st. C przez pół godziny, mieszając w tym czasie. Do ostudzonej granoli dodajemy suszoną żurawinę, orzechy i posiekaną czekoladę, przechowujemy w szczelnie zamkniętym słoju, zjadamy z dodatkiem jogurtu lub mleka.

Wszystkiego najzdrowszego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

# Oszustwa Mikołajka

O przekręcie na wnuczka napisano tyle, że aż dziwne, że wciąż łatwowierni staruszkowie łapią się w sidła oszustów. A jednak system z małymi wariacjami wciąż działa i raz po raz dowiadujemy się o nowych przypadkach.

Gdyby zrobić systematykę oszustw, „wnuczka" należałoby umieścić w kategorii „przestępstw jednodniowych". Znaleźć ofiarę, szybko upolować i w nogi. Ale istnieją też oszustwa rozciągnięte w czasie, wymagające od sprawców długotrwałego wysiłku, wczucia się w rolę, roztropności i perfidii.

Nikodem Dyzma wdarł się w łaski przedwojennej elity, „Konsul" założył konsulat austriacki we Wrocławiu, Anna Sorokin, córka kierowcy z Rosji, podając się za Annę Delvey, córkę niemieckiego miliardera, zawojowała nowojorską elitę. Swoim czarującym i oszukańczym kochankom z Tindera wierzyły kobiety, które zadłużały się dla nich na dziesiątki tysięcy dolarów czy euro.

We wszystkich tych historiach jest jednak moment, w którym oszustowi noga się powija. Wychodzi na jaw jeden przekręt, potem odsłania się całość i konstrukcja się sypie. Dlatego mogę o tym pisać, a czytelnicy (podobno) lubią czytać. Słysząc o jednej z tych historii, każdy może mieć przyjemną świadomość: „Mnie by na pewno nie nabrali"...

Oto historia z Hiszpanii, z roku 2014, więc niezbyt świeża, ale u nas stosunkowo mało nagłośniona, gdyż jak zwykle polskie media skupiają się na własnych awanturach. Teraz przypomina ją dokument Netflixa. Oto Francisco Gomez Iglesias, 20-letni chłopak z robotniczej dzielnicy Madrytu, obdarzony wdziękiem, tupetem i talentem zdobywania sympatii ludzi, wdziera się w madryckie elity gospodarcze i rządowe, fałszując dokumenty, docierając do najwyższych szczebli władzy, aż do króla i królowej. Nikt nie wie dokładnie, kim jest Mały Mikołajek, ale wszyscy mu ufają. Jakże nie ufać komuś, kto jest gościem na przyjęciu koronacyjnym króla Felipe? Pieniądze, limuzyny z kogutami, willa w eleganckiej dzielnicy, koktajle, kolacje. Wszystko idzie dobrze dopóty, dopóki tupeciarz nie wdepnie w grząski teren: służb specjalnych. Tu zaufania nie zdobywa się po paru miłych uśmiechach. I powoli, krok po kroku, 20-latek (który wygląda na 17-latka) zaczyna iść pod wodę...

Hucpa nie opuszcza go do końca. Bo okazuje się, że przestępstwo przestępstwem, może pojawi się i kara, ale za to jaka nagroda! Sława, towar bezcenny! „Konsul" doczekał się filmu, Anna Sorokin sprzedała prawa do swojej historii Netflixowi, Mały Mikołajek także z radością uśmiecha się do kamer Netflixa. Mamy to! ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Ojce przyjechali

Gdy tak sobie szedłem z rolnikami na ich zjeździe do Warszawy, widziałem dość stare twarze. Choć było wielopokoleniowo, to jednak starsi przeważali. I zorientowałem się, że mam do czynienia z ciekawym zjawiskiem. Od dawna się mówi, że młodzi ze wsi i z małych miasteczek pouciekali do wielkich miast, odcięli się od korzeni, a jeszcze nie zagnieździli w metropoliach. Nazywa się ich słoikami, a także lemingami. Słoiki – wiadomo, bo jeżdżą co weekend „do ojców" na wieś i wracają do miast zaopatrzeni w słoiki wiejskiej, zdrowej żywności. Lemingami ich zwą z powodów politycznych, gdyż te zwierzątka (nie najsłuszniej zresztą) podejrzewane są o zachowania stadne, posunięte aż do zbiorowych samobójstw, w ludzkim wymiarze – głównie politycznych. Teraz przemianowano ich na „Jagodzian" po tym, jak pod Wrocławiem stali do godz. 3, by na złość PiS odmrozić sobie polityczne uszy.

Zastanowił mnie ruch odwrotny – to już nie słoiki pojechały „do ojców", skrycie, w swym wstydzie, skąd pochodzą. Tu, w Warszawie, muszą ukrywać swe wyśmiewane pochodzenie, lub – co gorsza – z zaangażowaniem nuworysza atakować swe pochodzenie, również rodziców. To dzisiaj „ojce" przyjechały do nich. I nie po to, by odwiedzić ich w zapożyczonym apartamentowcu, ale by przyjść do miasta władzy po swoje. Ciekawe, czy odwiedzili przy okazji swoje dzieci czy też te patrzyły na „ojców" z góry, ze swych przeszklonych biurowców, udając, że nie wiedzą, kto tam i po co maszeruje.

Tak, spotkały się na zjeździe gwiaździstym dwie Polski. Ja ze zgrozą obserwowałem i obserwuję ten podły proceder napuszczania na rolników miastowych. Mamy tu całe spektrum obelg: zachowania wyższościowe, oskarżanie o onucyzm, zaściankowość, populizm i roszczeniowość. Ciekawe jest tylko, co tak naprawdę mówią „syny" o ojcach? Tam, u siebie w korpo. Czy już przeszli całkowicie na stronę lumpeninteligencji, która wierzy, że jedzenie się bierze z Biedronki, a prąd ze ściany? Czy bronią jeszcze rodziców czy już się całkiem pochowali i ze swym pochodzeniem, i z chłopskim rozsądkiem?

Wygląda to słabo, bo na „dziel i rządź" korzysta rząd. Polacy biorą się sami za czuby i można się z kancelarii premiera tylko przyglądać. Co najwyżej na protesty w sprawie rządu wysłać wiceministra rolnictwa, by ten „pokierował" protestami przeciwko gabinetowi, w którym sam zasiada. Ale mistrza ma doświadczonego – wystarczy sobie tylko przypomnieć, jak za „pierwszego Tuska" dzisiejszy premier, kiedy przyszli do niego protestujący, sam się podpisał pod petycją do samego siebie. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Głodowa dieta lewicy

Zablokowanie przez kierownictwa resortów funduszy wspierających organizacje pozarządowe tłumaczone jest koniecznością sprawdzenia umów zawartych z podmiotami – jak donosi „Wyborcza" – „bliskimi politykom Zjednoczonej Prawicy". Reporterzy „GW" ujawniają, że beneficjentami były „głównie organizacje prawicowe i katolickie". Rozumiem, że dla autorów i pewnie wielu czytelników „GW" fakt wspierania środkami publicznymi organizacji o profilu konserwatywnym czy chrześcijańskim jest skandalicznym nadużyciem, jednak muszą się oni pogodzić z tym, że również obywatele o poglądach narodowych i katolickich mają prawo tworzyć NGO i korzystać ze wsparcia. Pewnie w doktrynie liberalnej tego rodzaju redystrybucja uznawana jest za marnotrawstwo, lecz czy nam się to podoba czy nie, w nasz system zostało wmontowane finasowanie trzeciego sektora grantami pochodzącymi z pieniędzy publicznych. Wrzawa o dotacjach z budżetu dla „tłustych kotów PiS" prowokuje, żeby spojrzeć na finansowanie podmiotów innych niż „prawicowe i katolickie".

Ministerialne granty przyznawane w ostatnich ośmiu latach to zaledwie nieśmiała próba stworzenia elementarnej symetrii w polityce wsparcia dla NGO. Od początku III RP wiele organizacji pozarządowych było zakładanych „odgórnie", najczęściej jako klony zachodnich NGO, a celem ich była agenda kulturowej rewolucji realizowana rzekomo w celu „budowania społeczeństwa obywatelskiego". Podmioty te w ogromnej większości wspierane były z zagranicy, m.in. z pieniędzy George'a Sorosa. Szczególnym przykładem są tzw. Fundusze Norweskie dystrybuowane przez Fundację Stefana Batorego. Tylko z tego jednego źródła, w latach 2013–2017, radykalne lewicowe, proaborcyjne i tęczowe organizacje otrzymały ponad 40 mln zł. Istotę działań organizacji „ekologicznych" ilustruje zaś wojna o Puszczę Białowieską prowadzona przez Greenpeace Polska, w której zarządzie nie ma ani jednego Polaka.

Ogromny strumień zagranicznych pieniędzy płynie nadal, ale nie tylko. Patrząc na politykę dużych miast – Warszawy, Łodzi, Poznania czy Wrocławia – widać nieprzerwane wsparcie dla stowarzyszeń propagujących feministyczną i tęczową agendę. Po zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy, w latach 2016–2021, z warszawskiego ratusza do bliskich ideowo organizacji popłynęło 1 231 833 421 zł. Dla przykładu: Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego założone przez Krytykę Polityczną otrzymało 5 750 000 zł. Z kolei tylko w 2022 r. na wsparcie dla organizacji lewicowych i ekologicznych samorządy opanowane przez ówczesną opozycję wydały 1 149 637 864,59 zł. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

# Kuma, kuma

Bo oni, znaczy ci rolnicy, wyszli na ulicę i protestowali z niewiedzy, tak, tak z niewiedzy. Stop. A że Zielony Ład zniszczy rolnictwo całkowicie. I jeszcze dodawali hasła, że import z Ukrainy bez limitów też zniszczy rolnictwo. Stop. Na szczęście wszystko wyjaśniła posłanka Klaudia Jachira z Koalicji Obywatelskiej, która z mównicy sejmowej rzekła: „Wystarczy mieć pole, a unijne pieniądze płyną". Stop. Może by ją na negocjatorkę rządową wziąć do rozmów z rolnikami? Błyskawiczna byłaby to kariera, jeden błysk...

Rektor uczelni Collegium Humanum Paweł Cz. niósł kaganek oświaty i się poparzył. Stop. Sąd aresztował go udział w grupie przestępczej wydającej tytuły np. MBA za pieniądze, ale za to bez nauki. Stop. Taki tytuł upoważniał np. do zasiadania w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa. Stop. I tu dwie sprawy: elity okołorządowe rządu poprzedniego i obecnego wyzywają się teraz brutalnie: „Ty to chyba Collegium Humanum skończyłeś?", a po drugie trwa ustalanie: Kto zdradził i komu ten biznes przeszkadzał? Stop. Ech, ta ludzka zawiść... Stop.

W swych pierwszych dniach urzędowania minister finansów Andrzej Domański przyznał nagrody w wysokości niemal 3,9 mln zł – doniosły media. Stop. Resort nie ujawnił nazwisk i nam się to podoba, bo by była nagonka na ludzi. Stop. A co złego w nagrodach? Czy ktoś tu, tak z ręką na sercu, by nie chciał? Stop. Znów ta ludzka zawiść... Stop.

Kazimierz Marcinkiewicz, który był premierem, w czasie wywiadu z Tomaszem Lisem postanowił przeanalizować postać swojego byłego szefa, Jarosława Kaczyńskiego. Stop. Mistrz syntezy ujął to lapidarnie: „On nie kuma czaczy". Stop. Z informacji prasowych wynika, że pan Kazimierz nosi się z zamiarem kolejnego ożenku. Stop. Kuma, kuma...

Poseł Konrad Berkowicz z Konfederacji poprosił marszałka Szymona Hołownię, żeby nie trzymał ustaw w zamrażarce sejmowej, a jak już trzyma, to żeby mu przetrzymał też do świąt i zamroził w tej zamrażarce uszka z grzybami. Stop. Wręczył też marszałkowi stosowną torbę i marszałek przyjął ją z empatią i grzybami. Stop. Można? Można! Bez agresji i z apetytem.

Wirtualne media doniosły, że w Telewizji Polskiej, która jest w likwidacji, ale jakoby jej w likwidacji nie było, brakuje trochę pieniędzy na regulowanie zobowiązań także dla pracowników. Stop. Sytuacja podobno robi się napięta, ale niesłusznie. Stop. Misja to misja, a nie jakieś tam, że się wyrażę, pieniążki... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

# Malowane dzieci

Bardzo ciekawa dyskusja rozgorzała podobno na niedawnym spotkaniu szefów państw NATO w Paryżu. Premier Słowacji zaalarmował opinię publiczną, że grupa państw sojuszu rozważa wysłanie swojego personelu wojskowego na Ukrainę. Francuski prezydent Macron potwierdził, że rozwiązania takiego nie należy w przyszłości wykluczać. Niejednoznaczne stanowisko zajął początkowo uczestniczący w żarliwej dyskusji Andrzej Duda. Oświadczył on, że w tej sprawie „zdania są różne", lecz szczegółów zajętego przez Polskę stanowiska nie zdradził. Dopiero gdy od kontrowersyjnego pomysłu odcięli się Amerykanie i Niemcy, także Donald Tusk zapowiedział, że Polska wysłania wojsk na Ukrainę „nie przewiduje". „Uważam, że nie powinniśmy dziś spekulować o przyszłości, czy zdarzą się takie okoliczności, które zmienią to stanowisko" – dodał premier.

Wysłanie żołnierzy na wojnę to decyzja poważna. W polskiej pamięci historycznej głęboko zakorzenione jest wspomnienie o recytowanych przez władze w przededniu drugiej wojny światowej sloganach „Silni, zwarci, gotowi", a następnie o haniebnej ucieczce części elity rządzącej na Zachód. Na prowadzących do Rumunii drogach zaroiło się wtedy od urzędników, wojewodów i ministrów, porzucających walczące wojsko i skazany na okupację naród.

Uleczenie tej traumy wymaga od współczesnej elity państwowej zdecydowanych działań. Armia amerykańska ogłosiła niedawno, że skompletowana została załoga śmigłowca bojowego składająca się w całości z „żołnierzy LGBT". Czy stojąca w obliczu zagrożenia Polska już dziś nie powinna formować plutonów i eskadr składających się z synów i córek polityków, wysokich urzędników państwowych i parlamentarzystów? Tymczasem, poza marszałkiem Hołownią, nasi przywódcy nie informują wyborców o wybraniu przez swych najbliższych kariery żołnierza zawodowego. Jedna jaskółka, niestety, wiosny nie czyni. Wygląda na to, że synowie i córki dzisiejszej elity politycznej dążą raczej do pracy w międzynarodowych instytucjach finansowych i bankach, spółkach energetycznych lub organach Unii Europejskiej. Czas znaleźć dla nich miejsce także na planowanym polu walki. Z samych prezesów i osób zarządzających spółkami Skarbu Państwa stworzyć można brygadę szturmową. „Desantowali" się nieraz, „złote spadochrony" zawsze mają pod ręką, uderzając „hakami", byliby niepokonani w walce wręcz.

Naprędce werbowane kompanie „partyjnych lwiątek" powinny być formowane w garnizonach bliskich granicy ukraińskiej, a nie np. w Szczecinie. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Jasnogród i gnojówka

Obraz francuskich rolników rozrzucających bele słomy i polewających eleganckie ulice Paryża gnojówką przy wtórze podłożonego przez kogoś na Facebooku nagrania piosenki Edith Piaf jest znakomitym obrazem naszej europejskiej cywilizacji. Może Piaf nie była wzorem moralności, ale była częścią europejskiej kultury krytycznej, w której piękno było pięknem, a dobro – dobrem mimo takich czy innych przejawów kryzysu. Demonstracje francuskich rolników są wymownym komentarzem do tego, do czego doprowadziła polityka europejska. W Brukseli policja obroniła skwer im. Bronisława Geremka przed atakiem rolników belgijskich, ale elegancki plac Luksemburski z kilkoma popularnymi restauracjami został zasłany stertami słomy oraz polany gnojówką. Europejski Jasnogród nagle został zmuszony do powąchania efektów swojej polityki.

Dziś trudno nie rozumieć wściekłości rolników, francuskich, belgijskich, polskich i innych. Być może są oni ostatnimi, odważnymi bojownikami o rozum i sprawiedliwość. Sprawy poszły bowiem tak daleko, że tylko w takich odruchach wściekłości można widzieć jeszcze ślady nadziei. Polityczne i kulturowe elity Zachodu już nie są zdolne rozwiązywać problemów, które same stworzyły, a nawet nie są w stanie ich dostrzec. Ktoś w końcu musiał potraktować je gnojówką.

Czy trzeba po raz kolejny przypominać, że śrubowanie ekologicznych standardów produkcji czy dekarbonizacja za wszelką cenę nawet poprzez likwidację hodowli bydła jest ideologicznym szaleństwem zmierzającym jedynie do poprawy pozycji konkurencyjnej państw, które nic sobie nie robią z emisji $CO_2$? Czy naprawdę ktoś przy zdrowych zmysłach mógł sądzić, że wśród milionów migrantów znajdzie się tylu inżynierów, lekarzy czy wynalazców, że przyczynią się do podniesienia konkurencyjności Europy? Czy nie można było przewidzieć, że obciążą oni raczej budżety państw zasiłkami dla bezrobotnych do tego stopnia, że nie będzie już środków na zbrojenia? Czy rzeczywiście można było sądzić, że za dochody z dostaw surowców energetycznych Rosja nie zbuduje armii, która zagrozi bezpieczeństwu Europy? Co za ideologiczni szaleńcy wymyślili hodowlę jadalnych robaków zamiast bydła, które rzekomo emituje metan zagrażający ociepleniem klimatu? Czy nikt już w tym Jasnogrodzie nie widzi związku między „prawem kobiet do aborcji" a kryzysem demograficznym Europy?

**Śrubowanie ekologicznych standardów produkcji czy dekarbonizacja za wszelką cenę to ideologiczne szaleństwo zmierzające tylko do poprawy pozycji konkurencyjnej państw, które nic sobie nie robią z emisji $CO_2$**

Po co w ogóle mówić o „autonomii strategicznej" Europy, skoro jej bezpieczeństwo zależy od obecności armii USA, bez której armie państw Unii Europejskiej nie sprostają Rosji? Przecież wystarczy spojrzeć na rozmiary wydatków zbrojeniowych Rosji, Francji, Niemiec i USA. Mimo szacunku dla osiągnięć historycznych Holendrów trudno liczyć na to, by ich oddziały zachowały się w obliczu przewagi wroga inaczej niż w Srebrenicy. Jest to zresztą cecha charakterystyczna społeczeństw zachodniej Europy. Nie mając nad głową Rosji, nie wyobrażają sobie one, co to jest prawdziwa wojna, a „umieranie za Gdańsk" jak zwykle nie leży w ich usposobieniu. Być może młode pokolenie Europejczyków wyznających ideologię woke obudziło w sobie wrażliwość na cierpienia krów, notabene ignorując przy tym zupełnie uczucia robaków, a także rozumie dylematy identyfikacyjne nikłego odsetka rówieśników – notabene dylematy wzmagane przez „edukację seksualną" i „postępowe" media – ale trudno przypuścić, że obudzi się z równą gorliwością, broniąc swoich domów, nie mówiąc już o domach sąsiadów ze wschodniej Europy. Przed katedrą w Kolonii też nie było chętnych, by bronić kobiet napastowanych przez migrantów. Policja przymknęła oczy, a media sprawę przemilczały. Czyżby w kolejnych wyborach europejscy wyborcy znów zagłosowali na idiotów lansujących postępowe androny, ale pożytecznych dla Rosji?

Pokolenie woke jest wrażliwe na odczucia zmysłowe. Być może więc zapach gnojówki obudzi w tym pokoleniu instynkt samozachowawczy? ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

# KIT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

W przypadku wojny będzie pobór. Obecny pobór to musi być Gen Z i nie jest to nazwisko chińskiego generała, choć fonetycznie pasuje. Jest to nazwa pokolenia ludzi urodzonych w latach 1995–2010. Drobne przesunięcia tych dat nie mają znaczenia, bo liczą się cechy grupy pokoleniowej, a nie dokładne daty urodzenia. Generacja Z to pierwsze pokolenie, dla którego świat cyfrowy jest w pełni naturalny, gdyż obcują z nim od urodzenia. Nie znają świata bez smartfona, bez sieci, bez dostępu. Wychowali się w świecie, w którym już istniały media społecznościowe.

Osoby z Gen Z są też nazywane „płatkami śniegu", bo to generacja ludzi nadwrażliwych i delikatnych jak płatki śniegu. Urazisz słowem – rozpadną się, małe niepowodzenie życiowe – roztopią się, lekki podmuch czegokolwiek porwie ich lub rozszarpie. No to teraz wyobraźmy sobie tych ludzi w koszarach… Oni nie są w stanie oderwać się od komórki, bo całe ich życie toczy się na smartfonie. A na poligonie lub na wojnie ze smartfonem się nie da, masz do obsłużenia karabin i nie możesz się oglądać na komórę albo masz iść w błoto z saperką.

Przy pierwszym posiłku w koszarach okaże się, że 15 proc. z nich odmawia jedzenia, bo to weganie. Na wojnie się żre gotowe racje bez wybrzydzania, a gdy zabrakło, wrzucasz do gara, cokolwiek się akurat trafi, może być gołąb. Gen Z ucieknie do domu z płaczem, a wtedy trzeba ich będzie rozstrzelać za dezercję czy… JAK MAMY SOBIE RADZIĆ Z TAKIM MATERIAŁEM POBOROWYM, PANIE GENERALE?

Po tygodniu w dowolnej pracy Gen Z pyta o awans, więc w koszarach zapytają o to samo: Kapralu, jestem tu już tydzień. Kiedy dostanę pierwszą gwiazdkę na pagonach?

Tacy są i to nie jest ich wina, lecz ich CECHA pokoleniowa. Moim zdaniem armia nie jest przygotowana na spotkanie z tym problemem. Armia w razie wojny wyśle wezwania do poboru i zorientuje się za późno, że tym razem lepiej robić pobór dla starszych, a tych w wieku 18–29 lat zostawić w domu, bo się nie nadają.

***

Płatki śniegu nie nadają się nie tylko do wojny. I to znowu nie ich wina, lecz cecha grupowa. Pomimo że skończyli wyższe uczelnie, nic nie potrafią. Najgorsze, że nie potrafią się uczyć. Niczego nie zapamiętują, bo: „Przecież wszystko zawsze znajdę w sieci. To po co mam sam pamiętać?".

Nie sposób ich zmotywować do żmudnej roboty, bo Gen Z oczekuje stałych wzmocnień. Mają to nabyte z instagramów i fejsbuków – zamieszczają cokolwiek i natychmiast dostają lajki, a to oznacza, że sami siebie wytresowali w kierunku natychmiastowej gratyfikacji za nic. Dlatego Gen Z po tygodniu pracy pyta o awans lub podwyżkę. To pokolenie nie nadaje się na wojnę. Czyli… kto nas będzie bronił? Amerykanie?

Nie. Amerykanie nas nie obronią, bo mają ten sam problem. Liczebność US Army zmniejszyła się o 24 tys. żołnierzy, gdyż brak poborowych. W ostatnich latach stale zmniejszano wymagania i teraz możesz być gruby, możesz nie być w stanie przebiec truchtem 100 metrów, możesz mieć tatuaże na całym ciele i kolczyk w nosie, możesz być zboczony w dowolnym kierunku, bylebyś się zgłosił do poboru. Mimo to w USA brak żołnierzy. Pokolenie płatków śniegu nie ma chęci do wojaczki. To kto nas będzie bronić w razie wojny?

Nikt. A władza nadal wciska kit o NATO i Amerykanach, podczas gdy we wszystkich krajach sojuszniczych jest ten sam problem.

***

Kit służył kiedyś do mocowania szyb, dziś pojawia się częściej w wyrażeniu „wciskać kit". Można też wykitować, czyli umrzeć.

Dawno temu przy drodze na Mrągowo stało ogłoszenie, które nas śmieszyło: Szklarz Urbanek kituje w podwórzu. Dla miejscowych miało aż trzy znaczenia: Urbanek był pijakiem, często leżał na podwórku i wtedy rzeczywiście kitował, czyli zdychał z przepicia, ale innym razem potrafił fantastycznie kitować, czyli wciskać ludziom przeróżne banialuki. Nic z tego, co opowiadał, nie było prawdą, ale brzmiało cudnie. Chciało się słuchać.

Gdy miałeś gorszy humor, wystarczyło zabrać dwa piwa, iść do Urbanka i on cię rozweselił. Zajeżdżałem do niego po wesołe historyjki, które potem sprzedawałem ze sceny na Pikniku Country w Mrągowie. Gdy trzeba było zapowiedzieć zespół, ale artyści grzebali się z przypinaniem kabli, inni prowadzący zawiadamiali o krótkiej przerwie i uciekali ze sceny. Ja… kitowałem kunsztownie i rozrywkowo, za co dziękuję szklarzowi Urbankowi (dziś świętej pamięci).

***

Za komuny człowiek był od urodzenia przygotowany na kit i trudno było ludzi oszukać. Rządowa propaganda była jak kłamliwy szum morza – siedzisz na plaży i po jakimś czasie nie słyszysz tego szumu, nie reagujesz, nie ma na ciebie wpływu; szum staje się tłem bez znaczenia. Wtedy w telewizji mogli powiedzieć wszystko, co chcieli, a ludzie i tak wiedzieli swoje. Kwestia wyćwiczenia. Byliśmy odporni na kit.

Dziś nawet moje pokolenie przestało być odporne. Ktoś przeczyta siedem nagłówków, wszystkie są takie same, jedna narracja, i zaczyna wierzyć, że skoro wszędzie mówią to samo, to to jest prawda. Nie jest. Dla własnego bezpieczeństwa należy zakładać, że jeżeli wszędzie mówią to samo, to to jest raczej perfidne kłamstwo skierowane przeciw nam. Przekonali się Państwo o tym podczas COVID, prawda?

Jak w tych warunkach znaleźć prawdę?

Dla własnego bezpieczeństwa należy zakładać, że WSZYSTKO, co mówi władza, jest kłamstwem, i odwracać ten ich kit o 180 stopni. Kiedy mówią, że coś jest dobre, szczególnie gdy dodają, że jest dobre dla ciebie, wówczas zakładaj, że jest złe lub szkodliwe, i poczekaj chwilę. Samo wyjdzie. Maski i zakaz wchodzenia do lasu…

Władza twierdzi, że jesteśmy gotowi do wojny, doskonale uzbrojeni i mamy sojusze.

Moim zdaniem wszystko kit. ©℗



eprasa.pl a97f8a3e85

**Uwaga: nowe ceny na rok 2024**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# ROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

+

**W PREZENCIE**

# KSIĄŻKA

TOMASZ SPECYAŁ
„KATASTROFY II RZECZPOSPOLITEJ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1368~~ ZŁ

**420,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 948ZŁ**

## CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a97f8a3e85

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

## ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA – POLSKA DMOWSKIEGO CZY PIŁSUDSKIEGO?

**Krew na pierwszych stronach gazet** – Najbardziej ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

**Emigracyjne polskie piekiełko** – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już szli ze sobą na noże

**Biało-czerwony „Nautilus"** – Juliusz Verne chciał, aby kapitan Nemo był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach

**Zaginiona eskadra** – Sowieci bardzo skutecznie postarali się, aby zapomniano o największej polskiej produkcji filmowej II RP sławiącej zwycięstwo Polaków nad bolszewikami

**Niewolna Liberia** – Wyzwoleni Amerykanoliberyjczycy pogardzali tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawili ją wszelkich praw

## I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a97f8a3e85